
LUDWIK STOMMA



**RÓLÓW
POLSKICH**

PRZYPADKI



Czymże bowiem jest naprawdę historia?

– Cierpieniem i wątpliwością, i także przygodą czasem, ludzi ciekawskich. Przestańmy w niej poszukiwać paradygmatów tożsamości, definicji i nauki życia. Jest historia opowieścią o takich samych jak my; szukających nieistniejących prawd, heroicznych i cynicznych, pewnych swoich – na końcu nosa – idei i rozpaczliwie zagubionych.

Zresztą i my też za chwilę już tylko historią będziemy.

ISBN 83-7066-536-5

Ludwik Stomma

**KRÓLÓW
POLSKICH
PRZYPADKI**

Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”

Projekt okładki Marek Zadworny

Redaktor Katarzyna Merta

Ilustracje

Antoni Chodorowski

Redaktor techniczny Halina Staszkiwicz

Korekta

Ewa Kacprzyk

Wanda Makay

© Copyright by Ludwik Stomma

© Copyright by Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”

ISBN 83-7066-536-5

Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”

Warszawa 1993

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie: „AMIGO”, Warszawa

Drak i oprawa: „DROGOWIEC, Sp.zoo. Kielce, ul. Sienna 2

Jadłospis Piasta

O Piaście wiemy od Gallusa. Jego wersja wydarzeń jest dosyć zdawkowa. Oto dwóch pielgrzymów przybywa do Gniezna w dniu postrzyżyn syna księcia gnieźnieńskiego Popiela. Wyrzuceni przez księcia za drzwi, znajdują gościnę na przedmieściach grodu u biednego Piasta. Przypadkowo i jego syn ma być tego dnia inicjowany. Niestety, biedny Piast nie ma za co podjąć gości, jakby pragnął. Dwu zaproszonych do chaty pielgrzymów czyni więc cud: dania ze stołu księcia Popiela przemieszczają się w nadziemski sposób na stół Piasta. W końcu, nie mając innego wyjścia, sam Popiel zmuszony jest do skorzystania z gościny swego poddanego. Pielgrzymi inicjują syna Piasta i przepowiadają mu świetną przyszłość. I w rzeczy samej. Kilka lat później, z woli Boga, Ziemowit, syn Piasta zostaje księciem. Popiel zaś, wyrzucony z Gniezna, znika w pomroce zapomnienia i tylko wiekowi starcy przebąkują, że podobno został zjedzony przez myszy.

Opowieść ta, nazbyt widać lapidarna, była potem przez wieki niejednokrotnie poprawiana i uzupełniana. To właśnie z tych późniejszych wersji ją znamy, bo któż, prócz specjalistów, czyta Gallusa w oryginale. Najpopularniejszą z nich jest zaś, czego dowodzą obiektywnie cyfry nakładu, skierowana do dzieci, czyli „przyszłości narodu”, wersja Kornela Makuszyńskiego.

U Makuszyńskiego, jak i u Gallusa, przyjmuje Piast wyrzuconych przez Popiela pielgrzymów, co jest oczywistym dowodem jego wrodzonej gotowości do przyjęcia symbolizowanych przez przybyszy nowych idei. Ta gotowość usprawiedliwi wkrótce zmianę władzy. Przybysze odwdzięczają się Piastowi pomnażając żywność na jego stole... Dotąd wszystko podobnie.

Są jednak i różnice. U Gallusa nie chodzi wcale o pomnożenie jedzenia w ścisłym sensie tego słowa, a o „przemieszczenie” tegoż jedzenia z dworu Popiela do chałupy Piasta. Dla Makuszyńskiego jest to

pomnożenie w biblijnym bez mała sensie. U Anonima stół Piasta zastawiony był wieprzowiną i piwem, u Makuszyńskiego — chlebem, masłem, serem i kołaczami. W „Kronice” Piast jest biednym oraczem, mieszkającym na przedmieściach Gniezna, u Makuszyńskiego jest to wolny chłop posiadający ziemię („Miał obejście gospodarskie; piękną chatę słomą krytą; i wśród lasu zagon pola; kędy siał srebrzyste żyto.”) Dla Anonima Popiel jest księciem, który nie waha się złożyć wizyty swemu poddanemu, ponieważ „księstwo Polskie nie było wtedy wielkie, a i książęta nie byli jeszcze pyszni ni zarozumiali”. Dla Makuszyńskiego Popiel to suweren okrutny, bezlitośnie uciskający lud („To król Popiel zły i krwawy; mroczny, groźny i brodaty...”) W końcu — to Bóg — w „Kronice” podnosi Ziemowita, jedyne go syna biednego Piasta, do rangi monarchy. W „Za króla Piasta Polska wyrasta” — Piast wybrany zostaje królem przez zgromadzenie ludowe, a co więcej — przez dęby, wodę z jeziora, pszczoły i wiatr, które również głoszą na jego korzyść.

Przyznajcie państwo, że przekonani byliście, że to Piast był pierwszym księciem, a nie dopiero Ziemowit. Górą Makuszyński!

Makuszyński rozbudowuje też opis otoczenia Piasta. Dowiadujemy się więc, że jego chałupa była bielona i strzechą kryta; że pod tą strzechą wiły gniazda jaskółki. W okolicznym zaś lesie mieszkały sobie wilki, dziki, niedźwiedzie (jeden z nich, oswojony, pomagał Piastowi w pracach domowych). Rodzina Piasta żyła prawdziwie demokratycznie: wszystkie decyzje podejmowano kolektywnie, kolektywnie też pracowano. A w chwili koronacji wykonał Piast symboliczny gest — położył pług u stóp tronu.

W „Kronice” żywność znika ze stołu Popiela, aby w cudowny sposób znaleźć się w posiadaniu Piasta. Ukazuje nam to proces przekazania władzy. Piast powołany zostaje cudowną mocą i staje się Żywicielem ludu w miejsce Popiela. Ten ostatni akceptuje poniekąd nowy stan rzeczy przybywając na ucztę do Piasta. Można tu zauważyć swoistą kontynuację. Piast zastępuje Popiela, ponieważ w przeciwieństwie do księcia zrozumiał przesłanie pielgrzymów. Odłożywszy na bok przenikliwość Piasta, nie ma tu antagonizmu między dwoma mężami. Nawet różnica statusów społecznych: książę/chłop pomniejszona zostaje komentarzem, że w tych czasach książęta nie byli jeszcze tacy książęcy. To prawda, że Popiel znajdzie potem niegodną śmierć (pożarty przez

myszyl!) ale stanie się to przecież dopiero wtedy, gdy od dawna pozbawiony już będzie książęcego tytułu. Historia jego zgonu nie ma więc bezpośredniego związku z historią Piasta.

Dokładnie odwrotnie dzieje się u Makuszyńskiego. Cała jego opowieść oparta jest na przeciwstawianiu Piasta i Popiela.

— W chałupie Piasta słyszy się śpiewy i pogwarki; w zamczysku Popiela panuje śmiertelna cisza.

— W otoczeniu Piasta wszystko jest przejrzysto-jasne. Siedem razy występuje tu w opowieści przymiotnik „biały”, sześć razy „jasny”, dwa razy „promienisty”, dwa razy „srebrzysty” etc. U Popiela dominują kolory czerniawe: „mroczny” cztery razy, „ponury” trzy razy, „szary” etc.

— Piastowi dobrowolnie pomagają niedźwiedź, Popiel trzyma złe psy łańcuchowe.

— Piast żyje z pracy własnych rąk, Popiel jest wyzyskiwaczem.

— Piast jest „dobry”, „pilny”, „uczciwy”, „szanowany”, „uprzejmy”, „życzliwy”...; Popiel „okrutny”, „zły”, „groźny”, „wojowniczy”...

— Piast reprezentuje życie w kolektywie i harmonii; Popiel — indywidualny egoizm.

W porządku mitycznym tego rodzaju przeciwieństwa są wyrazem opozycji między życiem a śmiercią, społeczeństwem a jednostką, integracją a dezintegracją. Żadna kontynuacja nie jest tu możliwa. Nic dziwnego, że cud pomnożenia żywności ma u Makuszyńskiego biblijny wymiar. Jego funkcją staje się bowiem ukazanie prawdziwego króla. OTO KRÓL! Popiel to tylko uzurpator, król fałszywy. Piast nie jest więc niczym następcą. Jest PIERWSZY.

Obraz skonstruowany w ten sposób nasuwa oczywiście pytanie o tożsamość Popiela. Kim był? Czyż Polak może być tak okrutny i zły. Odpowiedź — zasugerowana już poprzez ilustracje do „Za króla Piasta...”, na których wszyscy są blondynami i tylko Popiel rudy — dana jest explicite w innych książkach dla dzieci. I tak na przykład w „Jak myszy zjadły Popiela” Anny Świerszczyńskiej czytamy: „miał żonę cudzoziemkę” i dalej: „a żona jego niemieckich krajów córa” — co odsyła nas wprost do innej legendy polskiej: o Wandzie, która nie chciała Niemca. Porównanie tych dwóch postaw (Makuszyński ewokuje Wandę w pierwszych wersach swojej książki) służy za wyjaśnienie: Popiel to zdrajca. On nie był NASZ.

Powróćmy wreszcie do kuchni. Gallus był człowiekiem przybyłym z Zachodu i wykształconym, nie mógł więc nie znać najzagorzalszych wrogów Świętego Kościoła Rzymskiego (już pierwsza krucjata obaliła w tym względzie wszelkie wątpliwości): Żydów i Muzułmanów. Nie przypadkiem stawia też na stole wieprzowinę i alkohol, czyli to właśnie czego tknąć nie wolno Żydom (wieprzowiny) i Muzułmanom (ani jednego, ani drugiego). Przesłanie jest proste: tak, Piast to poganin, ale dobry poganin. Poganin zdolny do nawrócenia, nie związany z tymi, którzy walczą z prawdziwą wiarą. Makuszyńskiego to nie obchodzi. Nie musi już udowadniać chrześcijaństwa Polski. Zmienia więc jadłospis. Długa karta dań, którymi karmi Piasta, daje więc nam inną wskazówkę: Piast jest wegetarianinem. Jako wegetarianin nie zabija zwierząt. Jest to informacja podwójnie istotna:

1. Piast nie zabija, bo zabijanie nie leży w jego naturze.
2. Piast nie zabija zwierząt, ponieważ żyje w symbiozie z naturą.

Pierwszy aspekt uwypuklony jest przez przeciwstawienie bezbronnego Piasta — Popielowi — myśliwemu. Piast nigdy nie nosi broni. Nawet topora — jego oswojony niedźwiedź wyręcza go w rąbaniu drzew. Aspekt drugi osiąga apogeum, kiedy to wiatr, pszczoły, jeziora i drzewa same chcą Piasta za króla. To już więcej niż symbioza! Piast nie jest nawet częścią natury. Jest naturą samą!

„Mit — pisze Roland Bartjes — usiłuje zmienić kulturę w naturę. To co społeczne, kulturowe, ideologiczne — w naturalne...” Makuszyński jest tego doskonałym przykładem. Piast — Natura jest wieczny. Nie ma już kwestii pochodzenia Polaków, początków polskiej państwowości. Polacy są tutaj od zawsze, jedynie i prawdziwie prawomocni.

I oto już program ideologiczny gotowy:

- Polacy jedynie i od zawsze prawomocni na swoich ziemiach.
- Polacy zawsze łagodni i nienawidzący przemocy.
- Polacy zawsze pod szczególną opieką boską.

Oto historia narodu prawie kompletna. Gotowa matryca do osądu przyszłych zdarzeń.

Jest oczywiste, że Gall Anonim i Kornel Makuszyński mieli na uwadze zupełnie inne cele opowiadając legendę. Anonim — uwypuklić legalność dynastii Piastów; Makuszyński (w czym nawiązuje do wiekowej tradycji od Kadłubka i „Kroniki Wielkopolskiej” począwszy) —

prawomocność narodu. Ale przecież była to ta sama legenda...

Wymowny to dowód, jak można zmienić dzieje zmieniając tylko kartę dań.

Tak to już jest z historią. Każdy ma o niej swoją opowieść.

Ta nasza będzie może przekorna nieco, nawet pod włos czasami, nie zgryźliwa przecież, a tylko osobista. Nie będzie to też opowieść ideologiczna. Raczej z oddalenia poczęta i białego wina po trosze. „Ja bezumno wlublion w eti dietskije plieczy, w etu krowgałubych koroliej...” — śpiewał Wertyński princessie Irenie. „Dziecięce plecy” ukochanej i „błękitni królowie”. Może ważkim jest to przypomnieniem. Gdy pod Grunwaldem starło się ze szczękiem żelastwa polskie i krzyżackie rycerstwo, w okolicznej wiosce dziewczka traciła cnotę na sianie; ksiądz pleban położył pierwszy kamień pod kościół, który zwać się kiedyś będzie „zabytkiem gotyckim”; w rzece topiono czarownicę; kos uwił gniazdo i wysiedział małe...

I nie wiadomo do dzisiaj co właściwie było najważniejsze.

A w ogóle wszystko było inaczej.

Mieszko I, czyli przyszłość za miedzą

O Mieszku I, w czym nie ma nic dziwnego, zarówno nieświadomy przechodzień przez dzieje, jak i dziejów wyspecjalizowany znawca, wiedzą bardzo niewiele. Zabawne jest jednak, że wiedzą zupełnie co innego.

„Mieszko I doceniając groźę niebezpieczeństwa niemieckiego przyjął chrzest z czeskich, nie niemieckich rąk” — czytamy w przedwojennym podręczniku gimnazjalnym. Szkoła Polski Ludowej podtrzymała tą wizję rzeczy wzbogacając ją dodatkowo przypomnieniem zwycięstwa pod Cedynią powstrzymującego ponoć germański Drang nach Osten. W małym tym nadodrzańskim miasteczku postawiono też w 1972 okazały pomnik ze stosownymi mozaikami.

W rzeczywistości nawet imię władcy jest co najmniej niepewne. Semkowicz twierdził, że chodzi tu o biblijne Misach; Dowiat optował za Michałem, Otrębski za Kazimierzem, Łowmiański za Dagobertem; Rospond z kolei wynalazł Myszka... Potwierdza to tezę Bronisława Geremka, że jest mediewistyka domeną historyków inteligentnych — lubiących karkołomne interpretacje i jednocześnie leniwych — wołających, by źródła do studiowania było minimum. Ostatecznie przyjął się Mieszko, ale w dowodach osobistych częściej figuruje zaproponowany pomyłkowo przez Marcina Kromera Mieczysław. Nie mamy oczywiście pojęcia, jak książę wyglądał, ile lat żył, ile miał żon (od dwóch do dziewięciu), ile rodzeństwa, ile dzieci... Czy wiemy więc coś na pewno? — To przede wszystkim, że był konsekwentnym i lojalnym przyjacielem oraz wasalem Cesarstwa.

Czym było Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego (termin zresztą grubo późniejszy, w czasach Mieszka po prostu Cesarstwo) na przełomie X i XI w. — Luźnym zbiorem królestw, księstw i marchii połączonych wspólną cywilizacją romańską i uznających tego samego

elekcyjnego suwerena. Rozciągało się Cesarstwo od Burgundii po Chorwację i od kanału La Manche po Rzym. Czytając kroniki z epoki z trudem brniemy przez skomplikowane opowieści o ulotnych waśniach i malowniczych walkach między lokalnymi dostojnikami. Kończą się one niejednokrotnie wiarołomnymi mordami, często zmianą konstelacji matrymonialnych układów, najczęściej zaś sądem rozjemczym nadzrędnego autorytetu — Cesarza. Jego to bowiem osoba gwarantem jest i rękojmą neorzymskiego marzenia o jedności Lombardów, Burgundów, Szwabów, Sasów, Czechów etc.

W sławetnej bitwie pod Cedynią, 24 czerwca 972, starły się nieliczne hufce margrabiego saskiej Marchii Wschodniej Hodona i brata mieszkowego Czcibora, którego imię pojawi się przy tej okazji po raz pierwszy i ostatni na zmurszałych kartach roczników. Polanie wzięli górę i hodonowi „z podartymi proporcami uciekli ku rzece”. Jeżeli prawidłowo rozszyfrowali uczeni pole zmagania (bo i to nie jest pewne), miały one miejsce na ziemiach margrabiego Teodoryka (Dytryka), który wszakże w konflikcie udziału nie wziął. Choć Germanin pełną gębą nie pospieszył wesprzeć ziomków. Wkrótce pod niskimi sklepieniami chłodnych komnat kwedlinburskiego zamku podyktował cesarz zwaśnionym prowizoryczny kompromis. Sprawa odeszła w zapomnienie.

Cel wyprawy Hodona, przyznają specjaliści, jest dla nas zupełnie niejasny. Czy chodziło o dominację nad Wolinem? A może o osobistą obrazę? A może *cherchez la femme*? Był-li to konflikt Hodona z Mieszkiem, czy tylko z Czciborem? Co krok pytania. Żadne jednak nie naprowadza nas na najmniejszy choćby ślad owego złowieszczonego niemieckiego zagrożenia. Choć wbrew to pobieranym w szkołach naukom, wbrew radosnemu i wszechobecnemu rzutowaniu status quo w przeszłość i wbrew tradycji piśmienniczej; zdobądźmy się jednak na zachwałność przyjęcia do wiadomości, że tysiąc z okładem lat temu nie było jeszcze sprzeczności interesów Polski (raczej kraju Polan) i Niemiec (raczej Cesarstwa). Jeden mamy na to dowód niezbity i jak omal się to w historii nie zdarza definitywny: chrzest Polski.

Napisano tysiące razy, że widział Mieszko w chrześcijaństwie czynnik unifikujący społeczeństwo i wzmacniający władzę centralną. Trudno zanegować. Być może był na tyle dalekowzroczny. Doraznie przyjęcie chrześcijaństwa oznaczać jednak musiało dezintegrację społeczną, opór, bunt i wartości pomieszenie.

Niewiele, prócz tego, że byli, wiemy o pogańskich kapłanach naszych ziem. Czy nosili długie szaty druidów? Rozczochrane brody derwiszów? Biel rzymskich celebransów? Także o ich bogach mętne mamy tylko wyobrażenie. Domyślić się jednak możemy, co w obliczu utraty władzy i dochodów mówić musieli swemu księciu i szeptać po kątach: — Spójrz książę na dziedzictwo ojców i praojców naszych, na święte ludu tradycje... Kto nam pomagał w okrutnych zawieruchach losów? Komu zawdzięczasz swój tron? A poza tym (i nie był to argument bez znaczenia), jesteśmy małym narodem — czyż nie roztopimy się i nie zagubimy swojej tożsamości w chrześcijańskim bezmiarze? Nie masz u nas kapłanów ich wiary, sprowadzać będziesz więc musiał cudzoziemców, z obcym ich językiem, obcym obyczajem i pogardą dla nas, którzyśmy inni i czyści. Opamiętaj się książę! — Tutaj głos tężał nagle, choć wzrok pozornie korny omiatał grubo ciosane płyty posadzki. — A gniewu bogów się nie boisz? Jedyłą prawdę chcesz sprzedać za cesarskie talary? A jeśli lud nie da się zbałamucić i opór stawi? — Nie będzie świętokradcza ręka ścinać naszych świętych drzew. Nie będą przybłądy dyktować nam swoich bezbożnych praw...

I wiedział Mieszko jak ciężkim jest zadaniem łamanie utrwalonego, które mieni się odwiecznym; lokalnego, które wierzy w swoją uniwersalność; zamkniętego, które lęka się przeciągów. Ale był już w Kwerfurcie, oglądał harmonię lasu kolumn umykających w niespodziewane melodie stropów i widział pancerze o tyle od żupanów doskonalsze, że ześlizgiwała się po nich słowiańska strzała. Pamiętał też klęski, jakie poniósł z rąk awanturniczego grafa Wichmana nie z braku odwagi, czy siły swoich wojów, ale zapóźnienia techniki i militarnej wiedzy... Lecz właśnie — zapóźnienie — czy wychodząc ku pysznym wieżom kwedlinburskich kościołów nie ustawiam się w pozycji gorszego, pouczanego i lekceważonego? Może mieli rację moi kapłani? Są przecież ewentualne alternatywy: koalicja słowiańska?, Bizancjum?...

Duszny znój wątpliwości, których i nam w najcodzienniejsze nawet nieraz dni nie dane jest uniknąć: dokąd zmierza historia i jak dorównać jej kroku? Przyjmując chrzest postawił Mieszko na Cesarstwo. Cesarstwo, które było wtedy Zachodem i było Europą. Ironia losów zechciała, że w końcu panowania Mieszka granice jego państwa niemal się z dzisiejszymi naszymi pokryły, jego dylematy z dylematami naszymi.

Wątek czeski (przypomnijmy, że były Czechy częścią składową Cesarstwa) jest więc najzupełniej drugorzędny i wynika z doraźnej taktyki dyplomatycznej, a może, czemu nie, czemuż wyrzekać się romantycznej legendy, z miłości Mieszka do Dąbrówki (znów imię niepewne, ale mówiąc o uczuciach nie wchodzi się w detale). W takim przypadku, gdyby była Burgundką, byłby chrzest z rąk burgundzkich, gdyby była Szwabką — z rąk szwabskich. Że istotnie na dłuższą metę żadnego nie miało to znaczenia świadczą imiona sprowadzanych przez Mieszka misjonarzy. Pisze się w podręcznikach, że „pochodzili oni z Niemiec, Włoch i Francji”. — Przebóg, ilu też tam było tych Włochów i Francuzów, by nie zadać brutalnego pytania: co to znaczy Włoch i co Francuz w owych czasach?

Czy rację mieli pogańscy kapłani? — Owszem, częściowo. Chrześcijaństwo niosło ze sobą niemczyznę. Cała przyszła terminologia administracyjna, czy wojskowa jest nią przesiąknięta: Ritter — rycerz, Burgemeister — burmistrz, Vogt — wójt, Rüstung — rynsztunek etc. etc. Kopia niemieckiego jest też polski obyczaj rycerski, prawo magdeburgskie normą będzie niedługo w polskich miastach, osadnictwo też na germańskiej legislaturze będzie się wzorować... — I cóż? — Ano właśnie. — Co z tego wynika? — Bardzo niewiele.

Tak jak niewiele wiemy o Mieszku I (ta cyfra I też niepewna, iluż było przed nim tegoż imienia w rodzie?), to tylko, że świadom był tragedii dziejów i wagi wyborów. A mimo to nie zląkł się podjąć decyzji. Wbrew sile bezwładu, wbrew tradycji i wbrew kapłanom...

Historia przyznała mu rację? — Tak. Ale to właśnie mało nas obchodzi. Ważniejsze, że dzieje Polski zaczynają się tak pięknie — od aktu odwagi cywilnej. I mądrości politycznej: po cóż szukać abstrakcji „własnych dróg”, kiedy widzi się przyszłość za miedzą.

Bolesław i Przecława, czyli geopolityka

Bolesław, podobnie jak i jego ojciec, przyszłość Polski widział w związku z Zachodem. Zmienne okoliczności zewnętrzne powodują, że jego politykę wobec Cesarstwa podzielić można na dwie wyraźnie odrębne części.

W pierwszym okresie dominuje pryncypium ścisłego sojuszu z Ottonem III. Marzenia cesarza o odbudowie Imperium Rzymskiego (tytułować się kazał „Romanorum imperator augustus”) były dla Mieszko-wego syna obiektywnie korzystne. W zespolonym państwie chrześcijańskim byłby on przecież najpotężniejszym z wasali kresowych — jedynych, którzy mogliby powiększać swój stan posiadania i w konsekwencji pomnażać znaczenie; co zważywszy elekcyjny ustrój Cesarstwa, do najśmielszych upoważniało marzeń.

Śmierć Ottona i bankructwo jego uniwersalistycznych projektów, zmieniają całkowicie polityczną postać rzeczy. Do tronu zgłaszają pretensje: książe bawarski Henryk, Herman Szwabski i margrabia miśnieński Ekhard. Wprawdzie Henryk stosunkowo szybko eliminuje konkurentów, jednak, korzystając z ogólnego zamieszania udaje się Bolesławowi opanować Pragę, co wynosi go do rangi najpotężniejszego z książąt Rzeszy. Logicznie odmawia więc Henrykowi II lenna z Czech i w porozumieniu z margrabią Shweinfurtu — Henrykiem i rodzonym bratem nowego cesarza — Brunonem, rozpoczyna wojnę. Koncepcja skoordynowanego ataku z dwóch stron jest dobrze pomyślana. Henryk II okazuje się jednak szybszy. Pomimo posiłków polskich szybko rozbija buntowników w Bawarii i wsparty przez zrażonych okrucieństwami Bolesława Czechów, odbiera mu Pragę. Rozpoczyna się długi cykl toczonej ze zmiennym szczęściem walk między Bolesławem a Henrykiem II. Walk, których wymiar militarny ma właściwie drugorzędne znaczenie. Decyduje subtelna gra dyplomatyczna na szachownicy skłóconego i rozkawałkowanego Cesarstwa. Ani przez chwilę nie ma tu

opozycji Polacy : Niemcy, czy Słowianie : Germanie. Jest to rozgrywka o pozycję WEWNĄTRZ zdominowanego przez Rzeszę Zachodu, w której Henryk II (skądinąd kanonizowany i patron Sienkiewicza) ucieka się bez najmniejszych uprzedzeń etnicznych do sojuszków z pogańskimi i słowiańskimi Wioletami, czy Rusią kijowską; posiłkują zaś Bolesława longobardzki Arduin albo margrabiowie miśnieńscy... Pobici w 1003 Bawarczyzy chronią się pod opiekuńcze skrzydła polskiego księcia, słowiańscy Czesi oddają warowne miasta cesarskim... Różnica między postawą Mieszka i Bolesława w tym się jedynie wyraża, że o ile ten pierwszy pukał dopiero nieśmiało do bram Cesarstwa, ten drugi z imponującym rozmachem narzucił się jako ważki uczestnik jego życia politycznego.

Ciężki to orzech do zgryzienia dla narodowych historyków. Pisze na przykład Zientara, że nie można „transponować na wiek XI dziewiętnastowiecznych idei walk o niepodległość”. Zaraz potem wyjaśnia jednak, że Bolesław sprowokował wojnę z Henrykiem w 1003, gdyż wiedział, że dla Niemców powstanie niepodległego państwa słowiańskiego na wschodnich rubieżach jest nie do przyjęcia. Niestety, są te tezy wzajemnie sprzeczne. I tylko pierwsza z nich może być prawdziwa. Horyzonty myślowe księcia z Gniezna, jakkolwiek byłby genialny, wybiegać nie mogły wiele wieków naprzód. Walczył toteż nie o narodowe państwo polskie, czy etniczne — słowiańskie, ale o silny piastowski organizm polityczno-administracyjny, którego władca współdecydować mógłby, prawem realnej siły, o losach cywilizowanej Europy. Cywilizowanej, czyli chrześcijańskiej, cesarskiej, romańskiej i rzymskiej, a w praktyce sprowadzanych do kraju kapłanów, mnichów, osadników i rycerzy przede wszystkim niemieckiej; secundum non datur.

Czytając, nawet u nienawidzącego Bolesława Thietmara, o starciach i bitwach między Polakami i henrykowymi, odnajdujemy rodzące się ideały rycerskiego mitu: uwalnianie na słowo wojów przeciwnika, barwne szarże, akty książęcych wspaniałomyślności... Jakże zmienia się ów obraz, gdy tylko obróci się Bolesław na wschód. W 1017, organizując dywersję na tyłach przeciwnika, sprzymierza się cesarz z Jarosławem kijowskim. Bolesław, chcąc rozbić niebezpieczny alians, proponuje natychmiast poślubienie siostry jarosławowej — Przeclawy. Wierny opcji niemieckiej książę Kijowa odmawia. Błąd. Ledwo pokój z Henrykiem zawarty (Budziszyn 1018) ruszają Polacy, wspomagani, o cynizmie polityki! przez trzystu pancernych cesarskich, na dziką Ruś.

Nie masz ci tu obowiązujących między równymi względów. Szlak wojsk bolesławowych wyznaczają łuny bezinteresownych pożarów i krew żywego, co w zasięgu miecza. Miast użalać się nad słusznym losem barbarzyńców i schizmatyków, oddajmy głos Gallusowi: „A król Rusinów z prostactwem właściwym temu ludowi właśnie wówczas łowił z czółna ryby na wędkę, gdy mu niespodziewanie doniesiono o nadejściu króla Bolesława. Zrazu nie mógł w to uwierzyć, lecz nareszcie, gdy mu to jedni za drugimi donosili, przekonał się i wpadł w przerażenie. Wtedy dopiero włożył do ust palec duży i wskazujący, obyczajem rybaków pomazujących śliną wędkę, na hańbę swemu ludowi (...) i nie tracąc słów rzucił się do ucieczki...” Nigdy nie opisałby kronikarz podobnie żadnego zachodniego, najpośledniejszego choćby królewiatka. Nie pozwoliłby, by patos sakry i wyniesienia ośmieszony został zaślinionymi paluchami. Lecz w dzikim jesteśmy przecież kraju. Przy tym plugawiąc godność Jarosława, usprawiedliwia jednocześnie Anonim swojego bohatera. W międzyczasie bowiem „Bolesław bez oporu wkroczył do wielkiego i bogatego miasta i dobywszy z pochew miecza uderzył nim w Złotą Bramę, gdy zaś ludzie jego się dziwili, czemu to czyni, wyjaśnił im to wcale dowcipnie: Tak jak w tej godzinie Złota Brama miasta ugodzona została tym mieczem, tak następnej nocy ulegnie siostra najtchórzliwszego z królów, której mi dać nie chciał. Jednakże nie połączy się z Bolesławem w łożu małżeńskim, lecz tylko raz jeden, jak nałożnica, aby pomszczona została w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie. Tak powiedział i co rzekł, to spełnił.”

W opowieści tej jedno jest na pewno fałszywe: słynna Złota Brama kijowska wybudowana została dopiero w roku 1037, nie miał więc w co Bolesław uderzać, czyli, wstyd powiedzieć, nigdy nie było żadnego Szczerbca. Natomiast gwałt na Przecławie, który potwierdzają zapisy ruskie, wydatuje się, przeciwnie, wydarzeniem prawdziwym.

„Taka była epoka — napisze Zientara — a Bolesław był jej nieodrodnym synem. Tak go nauczono i tak postępowali wszyscy współcześni władcy...” Jeszcze bardziej tolerancyjny jest Kosman: „Można odczytać to jako tanią sensację, czy też eksponować rzekomą lubieżność władcy polskiego. Postępowanie jego w stosunku do siostry nieprzyjaciela było jednak konsekwentne, nie chodziło mu o prywatę, lecz działał w kategoriach państwowych — dokonywał zemsty, dokumentował swe zwycięstwo nad Jarosławem. Ofiara — Przecława — była tu

przedmiotem, a nie podmiotem działania...” Nie jest to zbyt przekonujące. Owszem, czasy były twarde i na przykład dwadzieścia trzy sposoby, na które torturował dobroduszny Otton III antypapieża Jana XVI wpisać można na pewno do ponaddziewiętej antologii makabry. Prześcigano się w wymyślności zadawania śmierci, a i szafowano nią bez najmniejszych oporów. Pomimo to gwałcenie księżniczek krwi nie mieściło się w obyczajowości epoki. Również stosunek Bolesława do jeńców, których najchętniej, jak Przybwoja, Odylena, czy Bolesława Rudego, oślepiął, nie budził jednomyślności współczesnych...

Nadano mu przezwisko „Chrobrego”, lub, jak woli Gallus — „Sławnego”. Nie jest to przydomek typowy dla epoki. Spójrzmy bowiem, kto panuje równolegle z Bolesławem. Na Węgrzech (1001-1038) Stefan I Święty; w Cesarstwie, jak wiemy Henryk II Święty (1002-1024); na Rusi (978-1015) Święty Włodzimierz, a po nim (1015-1054) Jarosław Mądry — tak, tak, to ten od paluchów, inaczej widać ocenili go własni poddani, niż polska propaganda; w Irlandii (1002-1014) Święty Brian; w Norwegii (1016-1030) Olaf II Święty; we Francji (996-1031) Robert II Pobożny etc. Dostyc łatwo uzyskiwali wtedy władcy kanonizację. Wystarczyło właściwie zasłynąć powodzeniem i siłą, krzewić chrześcijaństwo i budować kościoły. Wszystkie te trzy warunki Bolesław z nawiązką wypełniał. Czegóż mu więc zabrakło do jakże politycznie i dynastycznie pożądanej świętości? Toż wylewnie wychwala Anonim i jego prawowierność i pobożność i poszanowanie dla ubogich; nawet „wieśniaków swoich nie napędzał, jak surowy pan, do robocizny, lecz jak łagodny ojciec pozwalał im żyć w spokoju.”

Dzieje Stefana, Olafa, Henryka, Briana podobne są właściwie do bolesławowych. I krew sroga i wrzask mordowanych. Święty Stefan nie wahał się, nim głowę oddali pod miecz, torturować publicznie buntowników spod znaków Koppany'ego czy Ajtony'a; Święty Włodzimierz zgładził bez skrupułów rodzzonego brata Jaropełka... Wszystkie te czyny pozostają jednak w dżentelmeńskiej normie swoich czasów. Myli się, kto myśli, że gdzie moralność inną jest od naszej, tam zgoła jej nie ma. Owszem jest, i niekiedy bardziej nawet rygorystyczna, acz na innych być może poziomach i inne akcentująca wartości. Dopóki w zgodzie z nią wybijał Chrobry wszystkie zęby poddanym nie przestrzegającym postów, był władcą prawowiernym i wielkim. Kiedy zwabiał Bolka Rudego do Krakowa, by go tam podstępnie wtrącić do beznadziejnych lochów, był także w pełni w prawie epoki. Po cóż mu jednak było

bezsilnego brańca okaleczać? Ale i to by uszło. Dopiewo postępowanie wobec chrześcijańskiej bądź co bądź Rusi zaszokowało i zraziło opinię. Krzywda pięknej Przecławcy, która miała być hańbą i obelgą dla jej rodaków, złowieszczym rykoszetem uderzyła w Chrobrego.

Skąd ów błąd jednak? Skąd metamorfoza z rycerza na zachodzie, w niepohamowanego okrutnika na wschodzie? Wydaje nam się, że rozumiemy. Zafascynowany kulturą Cesarstwa i tylko w jej ramach widzący dziejową przyszłość, był jednocześnie Bolesław tej kultury neofitą. Im bardziej imponowały mu uczyty z Ottonem, równego z równym walki z Henrykiem, przyjacielskie dysputy z Arduinem i włócznie świętego Maurycego (aczkolwiek było ich około dziesięciu w Europie); tym bardziej pogardzał nieokrzesanym Wschodem bez romańskich łuków, o przynależność do którego nazbyt często go pomawiano. Ruś była dla niego *quantite negligeable*, terenem li-tylko wzbogacania skarbu najbrutalniejszą grabieżą i połowu niewolników. Nie tylko Przecławca, ale i cały lud ruski ukazywał mu się, jak elegancko to wyraża Kosman „przedmiotem, a nie podmiotem działania”.

Oczywiście, mruga już do nas szydercze oko świętych, narodowych tradycji. Z upływem wieków stał się Bolesław władcą omalże pansłowiańskim, a w każdym razie obrońcą powszechnym przed germańskim „Drang nach Osten”. W latach czterdziestych XIX wieku, z inicjatywy Edwarda Raczyńskiego zmieniono kaplicę Mariacką katedry poznańskiej w mauzoleum pierwszych Piastów. Odsłonięcie w nim spiżowego pomnika Mieszka I i Bolesława Chrobrego, podług projektu Christiana Raucha, miało jednoznacznie, co potwierdzają wszyscy świadkowie... antypruską i antyniemiecką wymowę. Po 1945 powrócił Chrobry w tej samej roli, jako patron granicy na Odrze i Nysie. „Zachodni-niemieckim podżegaczom wojennym i rewizjonistom przypomnimy słupy graniczne Wielkiego Bolesława”.

Nie są to anegdoty. Ale jeśli nawet tak je potraktujemy, to uznać musimy, iż uczyło Polaków wspomnienie o Bolesławie manichejskiego wciąż przekonania, że podziw dla Zachodu równoważny jest wrogięj pogardzie dla kierunku przeciwnego i odwrotnie.

Widział Chrobry Polskę przedmurzem, lecz nie pomostem.

I to jest właśnie piastowska koncepcja dziejów.

Niestety, wiecznie w ofensywie.

Mieszko II wykastrowany

Po ojcu odziedziczył Mieszko państwo ponad stan. Wieloletnie wojny Chrobrego, które, by utrzymać stan posiadania, należałoby kontynuować, kosztowały bardzo drogo. Wśród zaciskającej pasa ludności wrze więc coraz jawniejsze niezadowolenie, przeradzające się tu i ówdzie w otwarty bunt. Co gorsze, pomimo natychmiastowej koronacji legalność władzy Mieszka może być łatwo kwestionowana. Żyje przecież Bezprym — syn pierworodny Bolesława. Chmury zbierają się też na geopolitycznych horyzontach. Konrad II, korzystając z pomocy Burgundii, nazbyt łatwo szachuje opozycję w Cesarstwie; Ruś pała żądzą odwetu za niedawne zniewagi; papież Jan XIX, dotąd życzliwy Polsce, w zamian za korzyści we Włoszech rezygnuje praktycznie z mieszania się w sprawy Północy. Historia podpałała lont. Mieszko czekać może tylko na wybuch. I nie czeka długo.

Ofensywa Konrada II w 1029 zostaje jeszcze odparta. W kontrataku wdzierają się nawet mieszkowi w głąb Saksonii, którą srogo pustoszą (styczeń 1030). Nieszczęsna to inicjatywa. Owszem był Sasem Henryk II; Konrad pochodzi natomiast z Frankonii toteż łupienie lenn saskich jest dlań właściwie korzystne — osłabia potencjalnych konkurentów i zraża opozycję do ewentualnego paktowania z Piastami. Mieszko zostaje sam.

W tej sytuacji kolejne uderzenie Konrada, skoordynowane tym razem z Jarosławem Mądrym zwieńczone zostaje łatwym powodzeniem. Osadzony na tronie Bezprym odsyła cesarzowi insygnia królewskie poprzedników. Mieszko ucieka do Czech.

Pisze Gallus, że „Czesi schwytali go zdradziecko na wiecu i rzemieniami skrępowali mu genitalia tak, że nie mógł już płodzić potomstwa, za to, że król Bolesław, jego ojciec, podobną im wyrządził krzywdę, oślepiwszy ich księcia, a swego wuja...” Wykastrowany, strącony został do lochu... Tak oto za niepotrzebne okrucieństwo Chrobrego

zapłacił w trzydzieści lat później jego ukochany syn. Mściwy upiór Bolesława III Rudego powstał z grobu.

Ale okrucieństwo okrucieństwu nie równe. Oślepienie nie miało w oczach ludzi średniowiecza charakteru hańbiącego. Było zabiegiem technicznym niejako: uniemożliwić miało praktyczną aktywność polityczną i tyle. Któż nie pamięta ślepego króla Czech, Jana Luksemburskiego szarżującego między dwoma nakierowującymi mu konia giermkami po dumnych polach Crecy „ku podziwowi i radości obu armii, aże niektórzy, patrząc na tak rycerski czyn, ze wzruszenia serdecznie płakali”.

Co innego kastracja. Kastrowano poddanych, którzy cudzołożyli wiarołomnie z żonami swoich panów (tak na przykład Filip Piękny wytrzebić kazał braci d'Aunay — kochanków swoich córek), gwałcicieli i sodomitów; a więc winnych czynów plugawych, dyskwalifikujących w rycerskim honorze. Same już określenia „eburne”, „bougre de hongre”, „emascule”, odpowiadające naszym: „trzebieniec”, „wałach”, „czyszczony”, były dla rycerza francuskiego owych czasów najwyższą, krwią zmazania wymagającą obelgą. Wałachów z chórów dworskich otaczano najgłębszą pogardą i lokowano w odrębnych pomieszczeniach. „Nie wnidzie czyszczony w kościół” — stanowi Biblia królowej Zofii.

Żaden władca polski nie znalazł się nigdy na takim dniu upadku i upokorzenia. Pozbawiony królestwa, osamotniony, zhańbiony, uwięziony...

Ale wtedy właśnie poznajemy prawdziwe oblicze tego wilczego dziecięcia. Nic nie potrafi go złamać. Zdałoby się, że wręcz na przekór: to przeciwieństwa właśnie dodają mu sił, a cierpienia krzepią. Kto widział więźniom przeznaczone wilgotne piwnice wież, do których strącenie nie było bynajmniej przenośnią, a strawę spuszczało się na długich i anonimowych sznurach, zrozumieć musi obezwładniającą w nich beznadziejność i rezygnację. Ileż hartu ducha potrzeba, ileż odwagi i zdecydowania, by w głębi ostatecznego pogńębienia podjąć jeszcze śmiałość walki.

Nie dowiemy się już nigdy, czy miał Mieszko współników, czy kupił ich sobie przyrzeczeniem, fałszem pokory, czy omamem litości. W każdym razie listy dochodzą gdzie trzeba. Pełne obietnic — bo któżby ich szczenił w rozgrywce bez żadnego atutu w rękę, zapewnień i zobowiązań. Czy ich to był skutek, czy splotu przypadków niezależnych,

dość, że niezbędny sztylet grzęźnie pod lewą bezprymową łopatką. W krztuszącym strumieniu krwi buchającej z ust toną ostatnie słowa. Chwila jeszcze i wszyscy zapomną. Nawet w „Poczcie królów polskich”, pod redakcją Garlickiego, gdzie uwzględnia się zupełnie teoretycznego Waława III i hipotetycznego Siemowita III Mazowieckiego, zostanie pierwszy syn bolesławowy ze szczeniem pominięty.

Uwięziony Mieszko dysponuje nareszcie argumentem odzyskanej legalności. Argumentem na tyle w jego sytuacji mizernym, że widząc go w dwa miesiące później na polskim tronie wnosić musimy o dyplomatycznym geniuszu. Tym bardziej, że i wygrywanego przeciw niemu rodzzonego braciszka Ottona zabiera rychło z tego świata tajemnicza choroba pozostawiająca posępne, czarne plamy na ciele; a kolejny rywal, potomek jednego z młodszych synów Mieszka I, Dmytryk, sam, dobrowolnie, widać czymś nastraszonego, wycofuje się ze szranek.

W niecałe trzy lata od chwili klęski straszliwej i sądzić by można niepowetowanej, jest Polska zjednoczona na powrót pod Mieszkowym berłem. Cud prawdziwy politycznego zmartwychwstania. Trzeba doprawdy maksimum złej woli, by ograniczyć dzieje panowania tego króla do jednej tylko sceny kastrowania, jak zrobił to Gall; jawnej zaś pogardy dla faktów, by jak Długosz ukuć Mieszkowi wzgardliwy przydomek „Gnuśny”, który pokutuje w podręcznikach aż po nasze dni.

„Lecz gnuśny syn Mieczysław kraje te postradał, Co je sławnym swym szczerbcem ojciec był zawładał...” Jest jednak w tej brutalnej niesprawiedliwości wobec Mieszka nieubłagana, historiozoficzna — rzecz by się chciało logika. Tak się otóż składa, że nie przeżywamy nigdy Złotego Wieku. Ma on nastąpić, lub był u zarania — to już kwestia wiary. Jedno pewne, że nie jest naszym udziałem. Nasz czas codzienny, utkany z przerażeń i nadziei, naznaczony jest piętnami geniuszu i małości ludzkiej po równi. A przecież postrzegamy go jako konsekwencję i kulminację przeszłości. Musiały być w niej więc i dobre i złe chwile, i patos i marność, i dobrzy i źli władcy. O, tak, dobrzy władcy są konieczni. Potrzeba bowiem przykładu, punktu odniesienia, mitu. Nie ma historii żadnego kraju bez przywódców-emblematów, które pozwalają ufać.

Problem w tym, że nie ma wielkości i małości w sobie, a tylko w stosunku do czegoś. Gdyby żył święty Franciszek pośród samych wzorowych,

kochających się chrześcijan, jego świętość przeszłaby niezauważona. Na szczęście grzeszników nie brakowało. Podobnie władca wielki i dobry przeciwstawiony być musi gorszemu. Im większy kontrast, tym chwała wielkości dobitniejsza.

Od chwili, gdy wystąpił Filip IV Piękny o uświetnić mającą sławę dynastii francuskich Kapetyngów kanonizację Ludwika IX, rozpoczyna się w piśmiennictwie dworskim i kościelnym, a w konsekwencji w pamięci społecznej, systematyczny proces degradacji opinii o poprzedniku i następcy świętego — Ludwiku VIII Lwie i Filipie III Śmiałym. Gros zasług Ósmego przyznanych zostaje Dziewiątemu; Filip okazuje się wkrótce trwoniącym li-tylko dorobek ojca nieporozumieniem na tronie. Charakterystyczna dla epoki jest tu argumentacja seksualna. Ludwikowi Lwowi, ojcu czternaściorga dzieci, trudno odmówić jurnej wydolności. Oskarżony więc zostaje o... niemożność wstrzemięźliwości — zmarł, gdyż oddalony od małżeńskiego łoża nie mógł oddawać się cielesnym stosunkom... — Pisz to osoba duchowna, a jakże, kanonik de Puy-laurens. Z kolei Filip Śmiały jest w łóżku cherlakiem uciekającym od małżeńskich obowiązków w mrzonki poezji i śpiewy rozmiędalonych bezprzedmiotowo trubadurów. Ludwik IX, już święty, jest natomiast: „męski”, „mocny”, „wierny”, „cnotliwy”, „płodny”, „zmysłowy” ale i „powściągliwy” — wszystko, co trzeba.

Ta sama dokładnie figura rzeczy w „Kronice polskiej”. O Mieszku I dowiadujemy się, że był ślepy do siódmego roku życia, „napastował sąsiednie ludy”, żył w grzechu wielożeństwa (lubieżnik znaczy się) aż do poślubienia Dąbrówki, i pod wpływem tej ostatniej ochrzcił Polskę. O Mieszku II, prócz kastracji, iż: „powrócił wprawdzie z niewoli, lecz żony więcej nie zaznał. Lecz zamilczmy o Mieszku...”

Państwo tworzy Bolesław, jeśli wierzyć Gallusowi, praktycznie z niczego. Żonę (o dwóch poprzednich ani się kronika nie zająknie) miał mądrą i roztropną, którą kochał... — przymiotniki można przenieść z hagiografii świętego Ludwika. Im bardziej płaska okolica tym zacnie imponujące nasze konstrukcje. Jak Szymona Słupnika kolumna pod Antiochią.

Wzgardziła w ten sposób tradycja narodowa legendą o wiecznym powrocie, o podnoszeniu się z dna nicości i odwadze noszenia hańbiącego piętna. Przeniosła ponad nią, może to jednak dowód, żeśmy nie tacy wyjątkowi, opowieść o butnej sile, rzekomych szczerbach na mieczach,

narodowej pięści żelaznej i gwałceniu ruskich księżniczek. O fajerwerkach roku tysięcznego, gdy sam cesarz nas zaszczycił, nie wspominając.

Niestety, choć z bólem, musimy poświęcić cię Mieszku. Dziewięć wieków minęło. Tobie już wszystko obojętne. My jeszcze chcielibyśmy się załapać? Fanfary, parady, ojczyzna, czuj duch? Nowy, wspaniały świat?

Czy warto się narażać, by bronić nagle kastrata?

A Żyda?

A heretyka?

A pedała?

A masona?

— O, nie, nie warto — trzeba.

Kazimierz i dylematy

Panowanie Kazimierza, syna Mieszka II, stwarza historiozofii narodowej trzy zasadnicze problemy. W porządku chronologicznym: relatywizmu preferencji niebiańskich, relatywizmu niewiedzy i relatywiźmu wdzięczności.

Po śmierci Mieszka II struktury państwa piastowskiego ulegają gwałtownej dezintegracji. Kazimierz przepędzony zostaje z kraju. Korzysta z tego książę czeski Brzetysław i wdziera się na północ. Szybko opanowuje Małopolskę z Krakowem, zostawiając po sobie bezinteresowne zgłiszcza i racjonalnie puste skarbcze. Wkrótce dociera do Gniezna, miasta świętych Wojciechowy eh relikwii. Tu, Czesi, któź im miana prawdziwych odmówi i szlachetnych rycerzy, „wszystką zdobycz za nic mając, żądali wydania im samych tylko drogich szczątków świętego ciała umęczonego za Chrystusa.” Który jednak targnąć się hardo ośmiał na trumnę męczennika, nie tylko wieka ruszyć nie mógł, lecz tracił nagle, niczym piorunem porażony, zmysły głosu, czucia i wzroku na długie trzy godziny. Wyjaśnił rzecz sam święty Wojciech, ukazując się we śnie biskupowi Sewerowi: „To powiedz księciu i jego komesom. Ojciec z nieba da, o co prosicie, jeżeli nie powtórzycie grzechów, których odrzekaliście się w zdroju chrztu”. Zrozumiał biskup przesłanie, i tak na jutrzni przemówił do rycerzy: „Niech będzie aby wasze małżeństwa, które dotąd mieliście nierządne i podobnie do dzikich zwierząt wspólne, teraz według postanowień kanonów aby były prawne, aby były właściwe, aby były nierozzerwalne, tak mianowicie, abyście żyli poprzestając na jednej żonie i żona na jednym mężu. Jeśli zaś żona mężem lub mąż żoną wzgardzi i niezgoda między nimi doprowadzi aż do rozstania (...) jakakolwiek by to była osoba, będzie wygnana na Węgry.” Potem zaś dodał surowo: „Karczmę zaś, która jest korzeniem wszystkiego zła, skąd wywodzą się kradzieże, morderstwa, cudzołóstwo

i inne grzechy, i kto zakłada, i kto by założoną nabył, niech będzie wylkły! Który karczmarz byłby przyłapany jako gwałciiciel tego dekretu, niech będzie na środku rynku przywieszony do słupa i smagany aż do zmęczenia siepacza i ogołocony z włosów (...) napoje zasię będą wylane na ziemię, aby nikt nie splamił się obrzydliwym pićciem. Pijacy zaś, jeżeli będą przyłapani, nie prędzej wyjdą z więzienia, aż do skarbu księcia złożą każdy trzysta monet!” I odpowiedział książę: „Że tych rzeczy nadal nie będziemy czynili, zaręczamy razem naszą i waszą przysięgą!” Wówczas biskup „po wezwaniu imienia Trójcy Świętej i wzięciu młota, podczas gdy inni duchowni śpiewali siedem psalmów i inne temu świętemu odpowiadające modlitwy, zaczął z wolna odwälać wieko grobowca, rozburzając go aż do głębi świętego skarbu, i gdy otworzyli trumnę, wszyscy, którzy byli w kościele, zostali owiani tak silnym zapachem najśłodszej woni, że przez trzy dni jakby nasyceni tłustymi potrawami zapomnieli posilać się pokarmem, ba! o tej samej godzinie także i bardzo wielu chorych zostało uzdrowionych. (...) Wnet książę i biskup bez przeszkody podnoszą z trumny ciało tego, którego grobu trzy dni temu nie mogli dotknąć. (...) Cóż więcej? — Z całym świętym ciężarem przybyto do Czech pomyślnie i radośnie w przeddzień świętego Bartłomieja apostoła...”

Tyle Kosmas. Kroniki polskie nazywają uparcie przeniesienie relikwii do Pragi rabunkiem albo grabieżą. Cudownym znakom i ofierze ludu czeskiego, który odrzekł się od pijaństwa i stosunków pozamałżeńskich, przeciwstawiają racje buchalteryjne: myśmy to przecież zapłacili dzikim Prusom za zwłoki Wojciecha tyle złota, ile ważyły (a dodajmy, że był to mąż korpulentny). Z naszego to skarbcza złoto i z naszych podatków. Mamy pokwitowania. I oto problem pierwszy: cóż jest w procesie dziejowym ważniejsze — solidna, podpieczętowana faktura, czy nadprzyrodzone kaprysy? Tym bardziej, że nie dotrzymali Czesi słowa; świadectwem znamienity pilznerek, jak i fakt, że niecałe jeszcze ich niewieście pogłowie przepędzone zostało na Węgry...

Odszedł wreszcie Brzetysław, odwoząc do Pragi „na więcej niż stu wozach olbrzymie dzwony i wszystek skarb Polski i niezliczony tłum znakomitych mężów z rękami skrępowanymi żelaznymi pętami i zdławionych obręczami na szyje”. Nie było już Czechów, nie było Kazimierza, wrócili też do domów objuczeni łupami Rusini i Pomorzanie. I oto pojawia się w historii narodowej pięćioletnia (1034-1039) czarna dziura, nicłość, bezźródłowość, wyrwa. Wyrwa wysoce niepedagogiczna i

niestosowna. Czyż wypada bowiem szanującemu się państwu mieć strefy próżni w życiorysie? Problem ten rozwiązywano, w zależności od ustroju i intelektualnej mody, wypełniając zapoznane czasy już to powstaniem antyfeudalnym, już to renesansem pogańskim, już to dyktaturą złowrogiego mazowszańskiego Maćława. Jak to często bywa w naukach humanistycznych, tyleż argumentów na każde jedno, co na każde przeciwne. Tak naprawdę tyle wiemy, że szumiały knieje, kmieć garnki lepił, kobiety rodziły, rzeki płynęły i proso dojrzewało. Czarna dziura.

W tą czarną dziurę wjeżdża galopem dzielny Kazimierz na czele poczty rycerzy. Już znowu jest historia. Już słysząc rżenie koni, już widać grudy błota spod kopyt. Już błyszczą w przyjaznym słońcu dumne tarcze i rozwiane proporce. Ale tu właśnie problem trzeci. Zmrużwszy oczy odczytać już możemy na tych tarczach i proporcach znaki. Jest ci lew Palatynatu z połową orła po prawej stronie — herb z samym cesarzem spowinowaconego rodu Ezzonidów; są czarne orły Brandenburchyków i niebiesko-białe, skośne szachownice domu Wittelsbachów. Biały, piastowski orzeł zagubił się pośród obcych insygniów. I śpiew już słysząc: Christ ist erstanden... Śpiewa i sam książę. Za chwilę ruszą do boju.

Zaiste patrzącym na historię w narodowym wymiarze trudno życzyć Kazimierzowi w tym boju zwycięstwa. Toż rozleje germański oręż ojczystą krew, wielkopolską, kujawską, mazowiecką... Niemieckie też będą po skończonej walce toasty. Zresztą i samemu księciu łatwiej się w tym języku mówi. Syn Niemki, w Niemczech kształcony i wychowany... Napisze Kraszewski, że późniejsze małżeństwo Kazimierza z kijowską Dobroniegą „powstrzymało zupełne wynarodowienie dynastii”. Na razie nie ma jednak jeszcze ruskiej wybranki u boku, za to trup polski ściele się gęsto...

Przyszłość nada Kazimierzowi chwalebne miano „Odnowiciela”. Co odnawiało niemieckie rycerstwo na słowiańskich ziemiach? Czego bronił dowodzący nim młody Piast? Trudno nawet powiedzieć, że chodziło o państwo. Znawca tematu, Janusz Bieniak, twierdzi, że „możnowładcy, którzy doprowadzili do detronizacji Piastów, nie zmierzali do rozbicia państwa i nie reprezentowali separatyzmów plemiennych.” Również i chrześcijaństwo przetrwałoby kryzys, zresztą na Mazowszu, w Gnieźnie, czy Krakowie nie było ani przez chwilę zagrożone. Więc tylko partykularny, dynastyczny interes?

Tak, tyle że egoistyczny ów interes wyznaczał obiektywnie miejsce Polski na mapie Europy. Przypomnijmy tylko, że był Kazimierz po kądzieli potomkiem... bagatela... Karola Wielkiego (poprzez dynastię Ludolfingów, z której, też po kądzieli, pochodziła jego matka Rycheza — wnuczka Ottona II i siostrzenica Ottona III). Spowinowaceni byli też Piastowie z królami Czech, Węgier, Danii, Szwecji, Francji... Zajmowali więc pełnoprawne miejsce w europejskiej elicie władzy swojego wieku. W ciągu niecałych siedemdziesięciu lat wyczyn to zaiste imponujący, z pozycji nieznanych nikomu i nieokrzesanych dzikusów z odległych puszczy, wybili się do rangi współtwórców chrześcijańskiego świata. Dlatego też żaden Maćław, choćby i najzdolniejszy, ani żaden z „poronionych książąt” — jak ich wzgardliwie nazywa Gall, nie mógł być dla Piastów alternatywą. Bez względu na wolę i dobre chęci cofali by Polskę o siedemdziesiąt lat wstecz. Dopiero wpraszać by się musieli do Kwedlinburga, dopiero ubiegać o Rzym, marzyć tylko o Kolonii, gdzie, w kolegiacie Panny Marii ad Gradus (obecnie katedra) spoczną właśnie niedługo doczesne szczątki Rychezy — żony i matki Piastów. Siedemdziesiąt decydujących lat!

Za dwa wieki Konrad Mazowiecki, spadkobierca regionalnych horyzontów myślowych Maćławów, sprowadzi do Polski Krzyżaków. Nieświadom, o czym dobrze wiedzieli uczestniczący w europejskiej grze pierwsi Piastowie, że przewaga cywilizacyjna przetwarza się nieuchronnie w militarną. Trzeba było, by naprawić grzech zaściankowej naiwności, dalszych dwóch wieków do Grunwaldu i jeszcze pięciu z połową do definitywnego (?) załatwienia sprawy.

Polska stająca pod Grunwaldem z dodatkiem ponad pół wieku opóźnienia... Bez obecności w Europie. Gdyby Zbyszko z Bogdańca nie przyjaźnił się z panem de Laroche... Toż Litwa pierzchła...

I oto ostateczny dylemat narodowej wdzięczności: czy należy pomnik wystawić tym germańskim wojownikom, którzy, pod rozkazami Kazimierza, mordując bezlitośnie polskich wojów, lecz i płacąc krwią własną w cierpieniu od słowiańskiej nie różną, zapewnili Polsce przetrwanie?

Niewygodna to zaiste historyczna figura. Niech nas poucza, że rzadko spotkać w ocenie dziejowych wydarzeń jednowymowne sztance. Niebiańskie — ziemskie, zdradzieckie — zbawienne... Dajmy historii nabrać tchu w płuca. Chwilę oddechu. Ale i potem nie śpieszmy się z potępieniami. Pomyślmy o tym maćławowym rycerzu, którego zwłoki,

z brzeszczotem w żebrach, odkryły po wiekach łopaty archeologów. Cóż wiedzieć mógł o znakach przeznaczenia? O tym, co następcy na słuszne i niesłuszne rozdziela? Bił wroga, oddał życie, wierzył... Owszem, historia dwudziestego wieku udowodniła, że są momenty wyborów jednoznacznych i niezbywalnych. I tak bywa. Lecz rzadkie są chwile ostateczne. Brodzimy w mroku na co dzień. Łatwo przywoływać abstrakcje moralne, gdy nie ma odpowiedzialności na barkach. A najłatwiej, gdy się już jest w przyszłości i przeszłość osądza.

Lecz za jedną przyszłością przychodzi następna...

Bolesław Szczodry — przyczyna paradoksu

„Jakim zaś sposobem został król Bolesław z Polski wypędzony, długo byłoby opowiadać, lecz to powiedzieć wolno, że pomazaniec na pomazańcu nie powinien mścić się cielesnie za jakikolwiek grzech. Tym bowiem bardzo sobie zaszkodził, że do grzechu dodał grzech, gdy za bunt (zdradę?) skazał biskupa na obcięcie członków. Ani więc biskupa-buntownika (zdrajcy?) nie uniewinniamy, ani króla mszczącego się tak szpetnie nie pochwalamy, lecz tu przerwijmy...” — tyle i właściwie TYLKO tyle wiemy o tragicznym konflikcie pomiędzy Bolesławem Szczodrym i biskupem Stanisławem ze Szczepanowa.

Mało który fragment narodowych kronik poddany został równie szczegółowej egzegezie, jak tych kilka zdań Galla Anonima. Ot, na przykład „traditor” oznacza tu zdrajcę, czy buntownika? — Tadeusz Grudziński przeanalizował wszystkie przypadki użycia w kronice pojęć „traditor” i „traditio”, by w sumie przychylić się do buntownika raczej. Inni jednak nadal pozostają przy zdrajcy. I tak z każdym słowem właściwie...

Co wydaje się oczywiste? — Że z jakichś powodów przeciwstawił się biskup prawomocnej władzy królewskiej, za co został zasądzony na obcięcie rąk, nóg i głowy, co stanowiło w owej epoce zwykłą karę za zdradę. Wykonanie wyroku 11 kwietnia 1079 zaszkodziło jednak politycznie władcy i przyczyniło się do jego wypędzenia z kraju.

Pomimo ujawniających się zaraz po śmierci Stanisława kontrowersji w interpretacji wypadków, aż do połowy XII wieku nie sposób znaleźć jakichkolwiek śladów czci lub kultu skazanego biskupa, ani też „czarnej legendy” Bolesława. Przeciwnie, data śmierci Szczodrego wpisana jest w kalendarzu katedry krakowskiej bez wzmianki nawet, że umarł na wygnaniu, czy też w konflikcie z duchowieństwem. „Najwi-
doczniej — komentuje Trawkowski — następcy Stanisława na tym

biskupstwie nie potępiali króla.” Jest to zrozumiałe w warunkach dominującej w kraju, aż po śmierć Bolesława Krzywoustego, idei silnej władzy centralnej. Wspomnieć też trzeba, że dokonał Szczodry (stąd zapewne ten jego przydomek) wielkich nadań terytorialnych na rzecz Kościoła, zmieniających zasadniczo jego materialną, a w konsekwencji i społeczną pozycję. Rzecz nie bez znaczenia w momencie, gdy buduje Kościół dopiero swoją polityczną potęgę.

Sytuacja zmienia się zasadniczo w sześćdziesiąt lat później, gdy okrzepły już Kościół aspiruje do roli arbitra w walce między książętami-juniorami a wyznaczonym w testamencie Krzywoustego seniorem — Władysławem II. Biskupi stają po stronie buntowników i oto nagle przy imieniu Stanisława pojawia się znamienne słowo „sanctus”. Dalej oddajmy głos autorom monumentalnej, opracowanej na KUL „Hagiografii Polskiej”: „Sprzyjająca rozwojowi czci Stanisława koniunktura polityczna szybko minęła. Po wygnaniu w 1146 Władysława II można władcy wysunęli na tron Bolesława Kędzierzawego, dalsze więc propagowanie kultu musiałyby się niekorzystnie odbić na jego pozycji. W 1173 tron krakowski opanował niepopularny w Małopolsce Mieszko Stary, zwalczany m.in. przez biskupa krakowskiego Gedkę. Mieszko panował krótko. Już w 1177 seniorem został Kazimierz Sprawiedliwy, cieszący się sympatią kleru i możnowładztwa. Jest bardzo prawdopodobne, że ze względu na Kazimierza kler krakowski zrezygnował z kultu i kanonizacji Stanisława...” Istna propagandowa sinusoida!

W międzyczasie jednak w odległej Anglii zamordowany zostaje na rozkaz Henryka II arcybiskup Canterbury — Tomasz Becket. Natychmiastowa niemal kanonizacja ofiary okazuje się potężnym argumentem w rękach opozycji. Nie uchodzi to uwagi polskiego episkopatu, tym bardziej, że w miarę rozdrabniania się państwa perspektywa „divide et impera” coraz bardziej się staje i kusząca i realna.

Już w parę lat po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego komponuje więc Wincenty Kadłubkiem zwany nową zupełnie wersją krakowskich wydarzeń. Stanisław przeciwstawia się tu królowi-okrutnikowi, który „nawet niewiasty niewierne, którym mężowie przebaczyli, z tak wielką prześladował potwornością, że nie wzdragał się od przystawiania do ich piersi szczeniąt po odtrąceniu niemowląt, nad którymi nawet wróg by się ulitował.” Kiedy wreszcie biskup grozi mu klątwą, król, jak był

zwrócony w stronę nieprawości, w dziksze jeszcze popadł szaleństwo” wpada do kościoła i morduje oponenta podczas mszy i przy ołtarzu, „poszczególne członki rozsiekuje na najdrobniejsze cząstki...” „I ujrzano, że z czterech stron świata nadleciały cztery orły, które krążąc dosyć wysoko nad miejscem męczeństwa odpędzały sępy, żeby nie tknęły ciała męczennika...” Wbrew ironiom współczesnego historyka, dziwne nie są tu sępy same w sobie, te obserwowano bowiem na ziemiach polskich jeszcze i w 1949 roku (ostatnie potwierdzone gniazdowanie w 1882), lecz sposób, w jaki wlecieć by miały do kościoła — toż zabójstwa dokonano przy ołtarzu... Aliści żart to oczywiście; nie ocenia się legend miarą racjonalistycznych logik.

Dzieło Kadłubka, już w bezpośredniej perspektywie kanonizacji kontynuuje na zlecenie biskupa Iwona Odrowąża jego kapelan, kanonik krakowski Wincenty z Kielc. Jest on autorem dwóch kolejnych biografii Stanisława ze Szczepanowa, tzw. „Vita minor” (Żywotu mniejszego) i „Vita maior” (Żywotu większego). Zajmijmy się tym drugim przede wszystkim, gdyż determinuje on ostatecznie hagiografię, a pośrednio pewną wizję historii. — Jakim jawi się tu Bolesław?

Jest okrutnikiem i mordercą. Tu brat Wincenty nie wysilił się zbytnio, powtarza bowiem niemal dosłownie wersję Kadłubka, z przystawianiem psów do kobiecych piersi włącznie.

„I oto siódmy rok już mijał, a on rzadko przebywał w kraju, ciągle w obozie, a zawsze wśród wrogów. Przebywając zaś wśród pogan i współżyjąc z nimi, nauczył się ich spraw i służył ich niegodziwościami.” Zważywszy, że kampanie swe toczył Szczodry w Czechach, na Węgrzech, a przede wszystkim na Rusi; pod pojęciem „pogaństwa” kryje się najprawdopodobniej prawosławie. Byłby więc król również heretykiem.

„A po niedługim czasie, mianowicie w drugim roku swego wygnania, zapadł na okropną chorobę, popadł w szaleństwo i sam śmierć sobie zadał.” O szaleństwie akurat wspomina już autor parokrotnie wcześniej, nowością jest tutaj tylko śmierć z własnej ręki. Samobójca i wariat.

Wreszcie zarzut czwarty: „Porzuciwszy zamiłowanie do cnót pogrzyżył się we wszelkich występkach, a ulegając niecnym skłonnościom, jak koń i muł, który nie ma rozumu, ogarnięty złością i niegodziwością, idąc za pożądlivością ciała zamienił chwałę swoją na hańbę, a naturalny sposób życia na taki, który sprzeczny jest z naturą.” Sens jest jasny.

Identyczne oskarżenie przedstawione zostanie już niedługo (aczkolwiek użyta będzie metafora „Byka i osła”) aresztowanym przez Filipa Pięknego Templariuszem. Jest również Bolesław II pederastą albo zoofilem.

Zauważmy, że w zaproponowanym przez Wincentego z Kielc ciągu: wróg Kościoła — heretyk — zbrodniarz — szaleniec — samobójca — zbrojeniec, wszystko się zazębia. Kto jest wrogiem Kościoła, jest heretykiem i człowiekiem wyzutym z poczucia moralności, nie tylko więc zdolnym, ale i skłonny; nie tylko skłonny do, ale będącym już potencjalnym...

Explicite odnajdziemy tę łączność w późniejszej o dwa i pół wieku literaturze antyczarowniczej. Cóż definiuje cioty? — Działanie na szkodę Kościoła świętego, świętokradztwo w mowie lub w czynie, zaparcie się wiary, stosunki odtłyne z diabłem-koźłem, zbrodnicze działania na szkodę otoczenia...

Niech nas nie zadziwia jednorodność pomówień. Brat Wincenty z Kielc z całą świadomością przypisywał Bolesławowi Szczodremu cechy czarownika, czyli diabelskiego sługi. W ten sposób konflikt między królem i biskupem przeniesiony zostawał w wymiar ostateczny i bezwzględny, którego ludziom nie rozstrzygać ani oceniać: w wymiar ostatecznej konfrontacji między Bogiem i Szatanem, niebem i piekłem, złem i dobrem.

W następnych stuleciach dopełnił się zestaw przeciwstawień. Bolesław był zabójcą, więc Stanisław okazał się wskrzesicielem (opowieść o Piotrowinie); król był heretykiem, więc biskup — wyznawcą (choćby: „Nie miał zwyczaju na stole swoim stawiać licznych i obfitych potraw, a ponieważ był mężem wstrzemięźliwym, więc wzdrygał się przed długim przesiadywaniem i nocnymi pijatykami. Zakorzeniony ten bowiem i naganny zwyczaj wywodzi się ze starych błędów pogańskich i do dziś dnia starym obyczajem na ucztach u Polaków słyszy się pogańskie pieśni, klaskanie w dłonie i przepijanie do siebie nawzajem. A niech Bóg broni, aby tego rodzaju objawy zepsucia mogły mieć miejsce przy stole biskupa i męczennika Chrystusowego, którego przecież nigdy troska o ciało nie przywiodła do namiętności i pożądliwości.”); król był szaleńcem, więc Stanisław roztropnością wcieloną; Bolesław — zbrojeńcem, więc czystość i niewinność biskupa podkreśla się do obsesyjnego znużenia...

W ten sposób osiągnęła propaganda kościelna punkt, z którego nie ma już powrotu. O Bolesławie, prócz historii zatargu z biskupem wiadomo wiele innych rzeczy, można więc sprawę niuansować, jak choćby w „Kolędzie dla Ludu na rok 1861”: „ten król już w 17. roku życia

wielkie męstwo pokazywał, i był bardzo walecznym dużo krajów zabrał, i dużo dobrego narobił, — ale cóż kiedy go potem Pan Jezus jakoś opuścił, że się tak zapomniał, że Ś. Stanisław biskupa, za to że mu nie dał złego życia prowadzić, i cudzołożyć, własną ręką przy ołtarzu na Skalce w Krakowie zabił. On też to potem pilnie odpokutował, i Pan Jezus mu darował, ale szkoda że się tak zabaczył, bo żeby nie to! to by Polska była miała z niego wiele pociechy i szczęścia.”

Sam Bolesław II może mieć różnorakie oblicza. Legenda św. Stanisława ma sens tylko w przeciwstawieniu do króla-potwora, w zderzeniu dobrej wiary ze złą władzą, świętości Kościoła z bezbożnością państwa; jest tylko opozycją, inaczej nie istnieje.

Paradoks w tym, że jest św. Stanisław patronem Państwa Polskiego.

Tylko u nas tak bywa, że symbolem państwa jest symbol antypaństwowy.

Ojciec i synowie

Uczono mnie pod szkolną lipą (i nie tylko mnie zapewne), że jest narodowa nasza historia dobroduszna, relatywnie bezkrwawa, wolna w każdym razie od podstępnych mordów Borgiów, czy Makbetów. Zaprzecza tej nauce odległa wprawdzie, wyrazista jednak historia ojca i dwóch synów.

Ojciec nazywał się Władysław Herman i był młodszym bratem Bolesława Szczodrego. Przed wypędzeniem Bolesława przez buntowników niewiele o Władysławie słyhać. Potem dowiadujemy się, że zajął jego miejsce. Stanisław Trawkowski dokonuje niemałej gimnastyki intelektualnej, by nie znalazłszy wystarczających dowodów winy, stwierdzić pobłażliwie: „prawda, przyjął z rąk buntowników władzę, lecz nie wygnał brata ani z nim nie walczył.” Dziwnie niedowierzamy zasłużonemu historykowi. Po pierwsze, zapomina on o prastarej zasadzie „cui prodest?” A kto skorzystał na zwycięstwie rebelii? Po drugie, trudno sobie wyobrazić, by podjęli buntownicy ryzyko oddania rządów w ręce najbliższego krewnego ich wroga, nie mając pewnych dowodów, że jest ów krewniak w stosunku do nich lojalny. Lojalny w stosunku do nich, a więc nielojalny wobec brata. Dochodzi jedna jeszcze, paskudna dosyć historia. Oto władza Władysława Hermana, nawet po śmierci poprzednika na dalekich Węgrzech, nie jest bynajmniej prawomocna. Żyje przecież syn bolesławowy — Mieszko, który, co gorsze, powraca w 1086 do kraju. Nie na długo; w trzy lata później umiera, w wieku dwudziestu lat, tajemniczą śmiercią, najprawdopodobniej (Gallus nie ma co do tego wątpliwości) otruty. I znowu: cui prodest? I znowu oczywiście nie ma dowodów. Bardzo tu wszystko mętne... Najmętniejsza już ze wszystkiego osobowość Władysława.

W znojnjej praktyce rządzenia wyręcza się Władysław niejakim Sieciechem z rodu Starzów, wojewodą i palatynem, przypuszczalnym

przywódcą buntu przeciw Bolesławowi. Zaznaczyć od razu należy, iż bez względu na to, czy był to wybór zupełnie obiektywny, czy też forma zapłaty na oddane usługi, nie ma nic złego w przekazywaniu przez władców władzy wykonawczej w ręce ministrów. Nie musi też być to bynajmniej, o czym pouczają przykłady francuskich Ludwików, dowodem monarszej słabości. Pech w tym, że butny Sieciech budzi wśród książęcych poddanych nazbyt mieszane uczucia, a nie ma widać dość siły, by wymusić powszechną sympatię. Zaczynają się więc spiski, a wraz z nimi wypływają na szerokie wody wielkiej polityki władysławowi synowie.

Jest ich dwóch. Starszy (to plus) Zbigniew, zrodzony jest z Polki, a więc poddanej Piastów (to minus), poślubionej przy tym tylko podług starosłowiańskiego rytuału, bez ceremonii kościelnej (to kolejny minus). Młodszy (minus) Bolesław ma po kądzieli odpowiednie, dynastyczne pochodzenie i przychodzi na świat nie tylko ze słusznym zawartego małżeństwa, ale co więcej za osobistym i cudownym wstawiennictwem świętego Idziego (aż trzy istotne plusy).

Pierwszy pojawia się Zbigniew. Odtrącony przez macochę — matkę Bolesława i zesłany do żeńskiego (sic!) klasztoru w Saksonii, nawiązuje kontakt z krajową opozycją. Wkrótce, na czele rokoszan, pojawia się we Wrocławiu. Bunt wymierzony jest oczywiście, toż kochamy się w rodzinie, w Sieciecha, nie Władysława. Może się więc Władysław okazać wspaniałomyślny. Uznaje prawa Zbigniewa i nadaje mu Śląsk tytułem uposażenia. Ale zły Sieciech intryguje nadal. Zmusza Zbigniewa do ucieczki ze Śląska, bierze pod Kruszwicą do niewoli i wtrąca do lochu jednego z prywatnych swoich zamków. Gdzieżby kochający ojciec więzić miał własnego syna...

Tymczasem dorastać zaczyna powoli Bolesław ogniskując wokół siebie, on tym razem, nadzieje malkontentów. Nie sądzmy małodusznie, że chodzi ojcu o możliwość wygrywania synów przeciw sobie nawzajem. O to mogłoby chodzić tylko złemu Sieciechowi. Po prostu przypomina sobie nagle, ze współczuciem i rozrzewnieniem, że jego pierworodny już od czterech lat nie widział światła dziennego. Natychmiast wzywa go przed swoje oblicze i oto przy okazji konsekracji odbudowanej katedry gnieźnieńskiej odbywa się wielkie pojednanie. Nawet Sieciech cały w uśmiechach. Niestety, nikt już uśmiechom nie dowierza.

Kolejny spisek (przeciw Sieciechowi oczywiście, nudzi nas powtórzenie tych truizmów) organizują już obaj bracia razem. Nie zupełnie się udaje za pierwszym razem, za to druga próba pełnym się kończy powodzeniem. Sieciech wygnany zostaje z kraju (potem, przy próbie powrotu, oślepiony), wraz ze swoimi zausznikami. Książę Władysław wyzwolony od złych wpływów bezczelnych karierowiczów, otoczony w zamian czułą, synowską miłością, umiera taktownie (aż podejrzenie taktownie) niedługo. Kończy się dramatu akt pierwszy.

Kochający się bracia stają teraz twarz w twarz i na wszelki wypadek szukać zaczynają sojuszników. Bolesławowi tak się spieszy, że nie doczekawszy nawet końca żałoby po ojcu, już żeni się ze Zbysławą, córką księcia kijowskiego, a siostrą rządzącego na Wołyniu Jarosława. W odpowiedzi zawiera Zbigniew porozumienie z Czechami. Ludzie Bolesława przekupują więc księcia praskiego Borzywoja. Co raz okazuje się młodszy brat, zwany coraz powszechniej ze względu na deformującą usta bliznę „Krzywoustym”, szybszy i skuteczniejszy. „Mistrzostwo w intrydze i walce — pisze Trawkowski — okazał podejmując już od lata 1102 roku stałe wyprawy łupieskie na Pomorze, skrupulatnie jednak unikając naruszania nadodrzańskiej jego pości. Od niej bowiem śląskie posiadłości Krzywoustego oddzielał jedynie wąski pas ziem Zbigniewo wy eh. Uderzanie natomiast na środkowe Pomorze pozwalało Krzywoustemu zdobywać łupy, a narażało Zbigniewa na wyprawy odwetowe. Próby zaś naprawienia stosunków z Pomorzanami, podejmowane przez Zbigniewa, łatwo było napiętnować jako wchodzenie w sojusz z poganami.” Innymi słowy prowokowanie najazdów wrogich wojsk na ojczyste ziemie wchodzi do arsenału zbanalizowanych narzędzi międzybraterskiego konfliktu. Wkrótce wszystkie środki staną się dobre.

Zbigniew jest wciąż jeszcze seniorem (plus starszeństwa), ale bolesławowa propaganda dobrała się już do minusów. Przedstawiany jest jako bękart, syn zwykłej nałożnicy, pół-chłop właściwie. Do tego bezbożnik — znosi się przecież z Poganami, ongiś uciekł z klasztoru... I wreszcie zdrajca! Z bezczelnym cynizmem oskarża Krzywousty Zbigniewa o to właśnie, w czym sam celuje: zawiązywanie aliansów z obcymi dla partykularnych interesów. Jak łatwo się domyśleć, przechwycone zostają rozliczne listy Zbigniewa, w których dowodów zdrady, wyłożonych czarno na białym, bez zbędnych tam jakichś szyfrów i aluzji, wystarczyłoby do przekonania najnieumiejszego niedowiarka.

Tego zaś Krzywousty, w trosce o dobro ojczyzny, tolerować nie może. Z bólem serca, boć kocha brata, daje hasło do wymarszu. O dziwo, wszystko jest jakby od dawna precyzyjnie przygotowane, nawet posiłki ruskie i węgierskie czekają na podporządkowaniu, choć niby nie tak blisko ani z Budy, ani z Kijowa. Błyskawiczna ofensywa zastaje Zbigniewa zupełnie nieprzygotowanego. Rzecz dziwna, toż on przecie miał grozić Bolesławowi, on miał być podstępny agresorem... Wątpliwości są zbyt powszechne, by nie wskrzesić raz jeszcze w sercu Krzywoustego słonecznych promieni braterskiej miłości.

Zbigniewowi, tym razem jako lennikowi, nie zaś udzielnemu władcy, przyznane zostaje Mazowsze (1106). Spory między władcami interesują opinię publiczną, są elementami rozgrywki politycznej, ocen możliwych tego świata. Sporów między panem a wasalem być zgoła nie powinno. Jeśli już zaś następują, winien być winien wasal. Przecież ślubował suzerenowi bezwzględne posłuszeństwo. Gdyby był posłuszny, czymże mógłby pana swojego rozszalać? Tym, że samym istnieniem podważa czyjąś prawomocność? — Czyż takie formalne drobiazgi posiadać mogą niezgodę między rodzeństwem?

Po paru miesiącach efemerycznego lennikowania, tym razem nikt się nie wstawi, bo kogóż obchodzą sprawy lokalne i na domiar prawnie pokomplikowane, wypędzony z Mazowsza, chroni się Zbigniew na zażenowanym, ale poczuwającym się jednak do winy, dworze czeskim. Zaczynają się długie i jedne po drugich podobne dni wygnania. Tolerowany, ale nie dopuszczany do żadnych spraw publicznych; honorowany, ale trzymany na dystans, czuje księżę jak życie przecieka mu przez palce. Ileż czasu spędzić można na bezpłodnym rozpamiętywaniu. Czym zakłamać beczynność i beznadziejność...?

Aż nagle list przychodzi. List tak wymarzony, że nieoczekiwany: Brat kocha jednak, brat wybacza, brat wzywa do swojego boku! Natychmiast rusza Zbigniew w drogę. Jakiż mógłby tkwić tu podstęp? Cóż warta skóra zrezygnowanego i gotowego służyć wygnańca? Czyż można mieć do z kretesem przegranego jakiegokolwiek jeszcze pretensje?

Okazało się, że można. Natychmiast po przekroczeniu granic polskich zostaje Zbigniew aresztowany, za zdradę znowu, jakby miał możliwości zdradzać cokolwiek w czeskim odosobnieniu, i skazany na oślepienie. Dodajmy od razu, że w przeciwieństwie od metody ruskiej, gdzie oczy wypalano rozgrzanym szpikulcem lub końcówką miecza;

w zachodniej Europie, a więc i w Polsce obowiązywało oczu „wydar-
cie” za pomocą, dokładnie to opisuje Froissart, odpowiednich cęgów.
Jeżeli nie udało się zmusić skazanego do otwarcia oczu, wrywano
gałki razem z powiekami.

Dalszy ciąg możemy sobie tylko wyobrazić. Gałki uciekające w
przeróżającą nagle płytkość oczodołów, wdzierające się w głąb żela-
stwo, ryk bólu, trzask pękającej spojówki, wypływająca ciecz.

Twierdzą jedne źródła, że zmarł Zbigniew od razu, podczas zabie-
gu; inne, że w parę miesięcy później musiał go jeszcze Krzywousty
dobić. Gdyby te drugie miały rację, mógłby się pochwalić choć jednym
wobec brata rzetelnym uczynkiem miłosierdzia.

W pięcioosobowej rodzinie: Szczodry, jego syn Mieszko, brat Wła-
dysław i synowie Władysława: Zbigniew i Krzywousty, mamy: morder-
stwo pewne jedno (brat — brata), niemal pewne też jedno (stryj — bra-
tanką) i jedno domniemane (synowie — ojca), trzykrotne wygnanie z
kraju i wyzucie z włości (dwa razy brat — brata i raz ojciec — syna),
wojen synów przeciw ojcu i między braćmi co najmniej sześć, podstęp-
nych pozbawień godności (brat — brata i stryj — bratanka) trzy... Cze-
go miałyby się tu Borgia powstydzic? Własnego chyba niedostatku hipokryzji.

Sielanka narodowa. Pocziwa piastowska rodzinka.

Przemysław II, czyli proces poszlakowy

17 grudnia 1283 roku zamordował Przemysław podstępnie żonę swą, jasnowłosą Ludgardę. Donosząc nam o tym powołuje się Długosz na śpiewane za jego czasów „po polsku ułożone za dopuszczeniem bożym niezgrabnie przez wieśniaków pieśni ludowe”. Od razu w głowie etnologa zapalają się alarmowe światełka. To prawda, iż XIX-wieczne śpiewy dziadowskie opowiadają nam na przykład, zwróćmy uwagę na precyzję danych, „O strasznej rozpaczy młodego chłopca, który zginął ze świata śmiercią męczeńską w powiecie radomskim we wsi Struniec”, czy „O strasznym czynie ojca, który zamordował pięcioro dzieci w powiecie tarnowskim wioska Krzyże”. Tyle że w protokołach policyjnych są to fakty najczęściej zgoła nie znane, a jeśli już, to nie w tarnowskim, a w krośnieńskim, nie ojciec pięcioro dzieci, ale czworo dzieci ojca i nie zabiło, a tylko sprąta orczykiem. Czyli innymi słowy: na dworze w Wiedniu tańczył Janosik z cesarzową. Przytoczona przez Długosza opowieść nie odbiega w niczym od ludowych schematów: „Kiedy przeczuwała, iż mąż przeznaczył ją na śmierć, ze łzami w oczach błagała go, by nie pozwolił odbierać życia żonie i niewinnej kobiecie, ale pomny na cześć dla Boga i honor zarówno małżeński, jak i książęcy, pozwolił ją odprowadzić choćby w jednej koszuli do ojcowskiego domu, a zniesie spokojnie każdy, nawet nędzny los, byleby ją tylko pozostawiono przy życiu.” Jest tu wszystko co trzeba: i niechybna kobieca intuicja i łzy i bezsilna niewinność i ostatnia koszulina... Zapomnijmy jednak na chwilę zimne gwiazdy tamtej nocy i przedstawmy bohaterów dramatu.

On: Przemysław II, książę poznański, syn pogrobowiec Przemysława I i wychowanek bezdzielnego księcia kaliskiego Bolesława Pobożnego, dziedzic obu spadków, czyli całej Wielkopolski, mający też realne nadzieje objęcia sukcesji na Pomorzu Gdańskim. Ona: Ludgarda, córka księcia meklemburskiego Henryka I Pielgrzyma i wychowanka

(ojciec przesiedział 27 lat w saraceńskiej niewoli) księcia Zachodniego Pomorza Barnima I Dobrego. Pisze rocznikarz wielkopolski: „A gdy ją ujrzał, spodobała mu się jej osoba.” Tak, jakby mogło sobie książątko w tych czasach pozwolić na małżeństwo z miłości. Wystarczy spojrzeć na mapę, by zrozumieć podwójną z aliansu korzyść: Pomorze Zachodnie osłaniało północną flankę ziem Przemysława, a z nimi razem ujmowało w żelazne cęgi brandenburską Nową Marchię; Meklemburgia chroniła z kolei zachodnie skrzydło Pomorza grożąc jednocześnie brandenburskim tyłom.

Otóż, rzecz warta podkreślenia, w roku 1283 geopolityczne znaczenie tych układów nie tylko nie uległo zmianie, ale wręcz wydatnie wzrosło na skutek prestiżowego konfliktu między Przemysławem i księciem wrocławskim, Henrykiem Probussem. Niebezpieczeństwo wojny zawisło teraz bowiem również i nad południowymi rubieżami księstwa. Rozumiemy jednak, jak uciążliwe jest błądzenie po zapomnianych granicach nieistniejących włości. Podsumujmy toteż krótko: nigdy bardziej nie potrzebował Przemysław swojej połowicy, niż owej fatalnej zimy właśnie. Może jednak posepny poryw nienawiści okazał się nad kalkulację silniejszy; może — jak sugerują historycy — brak potomka tak gwałtownie mu dopiekł (czemu akurat w tej chwili — a czemu niby nie — toż wiadomo, że przypadkowa kropla dzban przelewa). ... Porwał się z twarzą chmurną, pociętą głębokimi brudami oszalałej wściekłości i... No, co dalej właściwie? — Otruł? — Uduślił? — Już w tej mierze źródła sobie przeczą. Przypomnijmy wszakże, że zabił, upudrował zwłoki, cynicznie ogłosił żałobę i szedł za truchłem na cmentarz z aktorską łzą w oku. To się zdarza. Nie ma w tym w końcu nic nadzwyczajnego. nuż to widziano morderców z postronkowymi nerwami.?

Tymczasem, jeśli wierzyć Długoszowi, plotka się rodzi, potężnieje, obiega dwory i wsie, pobudza chłopską lutnię... I nic? Pięć co najmniej widzimy instytucji, które winny by od razu zareagować: Kościół, dwór pomorski, dwór meklemburski, Henryk Probus i Brandenburczycy oczywiście. Reagują, acz z dużym opóźnieniem, tylko ci ostatni. Rzecz jasna, nie żałują sobie, ale przecieć nie żałowaliby sobie w żadnym, najnaturalniejszym nawet i najsolenniejszym poświadczonym przypadku. Wojnę psychologiczną nit w XX wynaleziono wieku. A może ta wzmiankowana przez Długosza „niezgrabność” „po polsku ułożonych pieśni” to wynik miernego tłumaczenia? — Ale nie posuwajmy się w pochop.

Dlaczego nie oburzył się Kościół? — Benedykt Zientara tłumaczy, że Jakub Świnka, który objął właśnie archidiecezję poznańską był „politykiem, nie moralistą” i, że choć kandydatów do zjednoczenia Polski było z tuzin, postawił na Przemysława jako potencjalnie najbliższego celu. Otóż eksplikacja taka niezbyt jest do utrzymania możliwa. Przemysław mógł być ewentualnie panem sytuacji, ale tylko w przymierzu z Pomorzem Zachodnim i Meklemburgią, które morderstwo przekreślało. Co więcej ojciec zmarłej był — nie zapominajmy — krzyżowcem, którego interesy reprezentowało papieżstwo, a samozwańczo również Zakon Krzyżacki, dla którego istna by to była propagandowa jutrzienka. I nic? A potężni stryjowie nieszczęsnej — Mikołaj, Jan i Popon? A Barnim pomorski? A cyniczny i dwulicowy, jak sam przydomek wskazuje, Henryk Probus. — Też nic? Dziwne. Coraz dziwniejsze. Najdziwniejsze zaś, że właśnie po śmierci Ludgardy przymierze antybrandenburskie odnowi się i skonsoliduje. Można oczywiście łatwo wyjaśnić, że racje stanów stały zawsze ponad moralnością i ułudą krewniaczych solidarności. Równoznaczne byłoby to jednak uznaniu, iż skomplikowane gry dynastycznych komeraży, na których przez tysiąclecie opierała się europejska dyplomacja, psu były na budę. Ale tego chyba jednak nie zaryzykuje żaden historyk. Może więc zbrodnia to była doskonała, która wszystkich w pierwszej chwili zmyliła prócz zdrowego sumienia maluczkich (ach, ten mistyczny „chłopski rozum” i ci chłopci lepiej poinformowani niżli arcybiskup). I zbrodniarz był doskonały — chłodny, w aktorstwie nieomylny (niedługo król szwedzki da mu bez wahania własną córkę i to z niemałym posagiem), wszelkie zawczasu uwzględniający okoliczności gry...?

Przeskoczmy lat trzynaście. Przemysław koronowany jest już królem Polski. Już z książątka zrobiło się panisko, to i zabawić się może. Jest okazja, bo akurat zapusty. Nietrudno sobie wyobrazić ten bal. Czas to wszakże Filipa Pięknego we Francji, Adolfa Nassauskiego w Cesarstwie, czy też oskarżanego później o herezję miłośnika festynów i przepychu Bonifacego VIII w Rzymie — dosyć więc mamy udokumentowanych przykładów. Ręczymy za pokraczne karły wylewające wino raz do kielichów, raz na złotogłowie tkane obrusy, panie i panienki z biustami prawie na wierzchu (taka wtedy była salonowa moda) i radosny zachłyst ostatecznego pijaństwa cnotą będącego, a nie jakąś tam przywarą, co wymyślili medycy dopiero wiele wieków później. Pary tarzające się w błocie z winem pomieszanych sosów, nie wiedzące już,

czy akt miłości spełniają, czy ostatni wieczora taniec. Walny rycerz w rozpiętym kubraku ze śpiewem „Bogurodzica dzie”... na ustach topiący się w tłustym kremie do jeleniej pieczeni... Aż nikt już nie stał na nogach. Trzask bierwion dopalających się w kominku i mrozu za gomółkami okien zakłócały teraz jedynie różnobarwne pochrapywania z ław, komnat i spod niedogryzkami powalanych stołów. I tylko na drodze i we wrotach kamienne, zimne straż strzegły surowo książecego snu.

Niestety, to ostatnie zdanie jest fałszywe. Pijana w sztok obstawa nie zauważyła ani usłyszała nawet kilkudziesięciu jeźdźców ociętym galopem wypadających z lasu. Nie problem śpiących rozbroić. Król tylko, ten-ci musiał mieć głowę, porwał się do miecza. Jak jednak walczyć, gdy przeciwnik w oczach dwoi się i troi? — Ciężko ranny przywiązany został do siodła. Już po paru minutach jazdy, widoczny nawet przy mdłym blasku pochodni czarny ślad krwi uprzytomnił napastnikom, że nie ma po co opóźniać pochodu. Przecięli sznury i zostawili dogorywającego Przemysława na ośnieżonej drodze. Lelek przeleciał i zakwilił krótko. Tak 8 lutego 1296 zginął wiorstę niecałą od Rogoźna pierwszy król jednoczącej się na nowo Polski. Uroczysty pogrzeb celebrował w Poznaniu arcybiskup Jakub Świnka. Płacz powszechny rozległ się po ulicach.

Historia ta, a raczej dwie, o lat trzynaście odległe historie, tyle zawierają nieprawdopodobieństw, że brwi same etnologowi podnoszą się w górę. Coś tu nie jest tak. Najpierw postawa Świnki. Założmy nawet, że w pierwszej chwili robiąc bilans ewentualnych strat i zysków przełożył politykę nad najelementarniejsze swoje kapłańskie obowiązki. W takim jednak wypadku panosząca się plotka musiała i w niego rykoszetem wprawdzie, ale bardzo boleśnie uderzyć. Cóż to bowiem za namiestnik chrystusowy, który ukrywa zbrodnię i popiera mordercę. Podważenie autorytetu moralnego i prestiżu pociągać zaś za sobą musiał osłabienie pozycji politycznej, czyli unieważnić zasadność pierwotnego wyboru. Był Jakub Świnka zbyt doświadczonym i przewidującym mężem stanu, by tego nie rozumieć. Jeżeli więc w owych przerażonych dniach 1283 roku rzucił swoje imię na szalę, opierać się musiał na jednym w dwóch przekonaniach: albo uważał plotkę za fałszywą, albo na tyle mętną i nieprecyzyjną, że można było robić dobrą minę do złej gry i omamić większość zainteresowanych lub co najmniej utrzymać ich w niepewności. Ta druga rzeczy figura wymagała jednak głębokiej wiary w dojrzałość i odpowiedzialność Przemysława, oraz żelazne jego

nerwy. Świnka znał księcia dobrze. Nam dane jest poznać go bliżej dopiero pod Rogoźnem. I cóż się okazuje? Oto człowiek dźwigający na barkach nadzieje na rezurekcję scentralizowanej monarchii piastowskiej, który z tegoż tytułu wrogów ma na pęczki i jeszcze więcej, przystępuje do zapustnej biesiady nie rozstawiając wart i beztróska nijak się zgoła nie zabezpieczając. I to gdzie!? — W Rogoźnie, o dzień jazdy od brandenburskich i kujawskich granic, pod bokiem siedzib rodowych Nałęczów i Zarębów... w gnieździe os chciałoby się powiedzieć. Dezynwoltura granicząca z głupotą, brawura z lekceważeniem misji dziejowej. I o tym musiał mądry Świnka wiedzieć.

Zaś „lutni chłopskiej” niejedno można podszeptać. A chętnych podszeptawczy nie brakło. Dowodem Rogoźno.

Krew wsiąkła w karty historii i nie dowiemy się już nigdy, co się naprawdę zdarzyło na zamku poznańskim 17 grudnia 1283. W międzyczasie literatura i tradycja przemieniły domniemania w pewność i plotkę w fakt. Nic w tym oryginalnego. Często tak się zdarza z ulubionymi naszymi faktami. Za czasów Przemysława nie istniała jeszcze zasada domniemywania niewinności oskarżonego. Ale gdyby nawet i istniała nie stosowałyby się przecież do niego. Zbyt wiele w rzemiośle władania doraźnych interesów, emocji, ambicji i ideologii, by możliwa była kiedykolwiek równość praw obrońcy i oskarżyciela. Nie ma domniemania niewinności dla polityków. Dlatego też nie należy ich pochopnie stawiać przed sądami. Nie w imię przebaczenia, ale sprawiedliwości reguł. Pozostanie zawsze Bóg.

W historię nie wierzę.

Żal za Wacławem

Dzieli Warszawę, w linii prostej, ta sama niemal dokładnie odległość od Berlina, Pragi, Budapesztu i Berdyczowa; co Pragę od Wenecji, Padwy, Bazylei, Kolmaru, czy Kolonii... Dalej z Krakowa do Witebska, niż z Pragi do Paryża. Czemuż pozbawiać się uroków history-fiction? Gdyby unię polsko-litewską zastąpiła polsko-czeska... O tyle bliżej byłibyśmy najważniejszych centrów zachodnioeuropejskiej cywilizacji. A przecież wszelkie były ku temu szanse. Oto w święty dzień Jana Chrzciciela 1300 roku, za „zgodą i wolą społeczeństwa polskiego”, korona Mieszków i Bolesławów włożona została na skronie Czecha — Wacława II, przedstawiciela dumnego, spowinowaconego z Piastami, cesarzami Niemiec, królami duńskimi i węgierskimi, rodu Przemyślidów. Zjednoczone pod jednym berłem ziemie od Bałtyku sięgają niemal po Dunaj.

Był Wacław, jeśli wierzyć kronikom, mężczyzną raczej cherlawym. Nie lubił, co zgoła dla epoki nietypowe, wypraw wojennych, łowów i turniejów. Zdziwiwał natomiast gruntownym wykształceniem. Władał w mowie i piśmie (sic!) paroma językami, zaczytywał się w poezji rycerskiej i sam nawet popełnił parę miłosnych poematów w języku górnoniemieckim. To ostatnie, połączone z miłą aparycją (o randze nie wspominając), zapewniało mu, nawet w czasach tak wielce rozkochanych w osiłkach, głośne i może nawet nazbyt głośne sukcesy miłosne. Bał się ponoć piorunów; wreszcie, co kroniki podkreślają parokrotnie, nie znosił miauczenia kotów.

To ostatnie interpretować można na trzy sposoby:

Najpierw, jako kaprys melomana. Średniowiecze gustowało bowiem w tak zwanych „kocich organach”. Wsadzano do małej skrzynki dwadzieścia odpowiednio dobranych zwierzaków tak ciasno, by nie mogły się ruszać. Przez odpowiednie dziurki wyciągano ogony na

zewnątrz. Pociągający umiejętnie za ogony artysta uzyskiwał przewidywany zestaw miauczeń. Jeszcze w 1549 tym właśnie instrumentem witała starszyzna Brukseli Filipa II, który zachwycony był zestawem kotów od altu do basu. Inny wariant, wynaleziony w XIV w. przez ojca Kirchera zakładał ogonów nie ciągnięcie, ale nakłuwanie. Może więc po prostu wolał Wacław skrzypce?

Po drugie, jako lęk metafizyczny. Był kot przecież symbolem diabelskim. Miotła i kot, to dwa elementarne atrybuty czarownicy. Trudno się więc dziwić, że w cywilizowanych krajach (we Francji przede wszystkim, ale są świadectwa i z Czech) utarł się szlachetny zwyczaj palenia kotów żywcem z okazji świąt kościelnych. Jeszcze 24 czerwca 1604, ku czci świętego Jana Chrzciciela, kazał Henryk IV spalić na placu de Greve beczkę kotów, czyli na oko jakieś sto sztuk. Odnotowano, że trzyletni późniejszy Ludwik XIII rozwrzeszczał się pod niebiosa żądając ułaskawienia. Prośby jego nie zostały wysłuchane. Na usprawiedliwienie Henryka zaznaczymy wszakże, że były to koty czarne.

Istnieje też wreszcie wyjaśnienie psychologizujące. Pisał wielki Georges Buffon: „kot jest niewierny, fałszywy, pełen perwersji, która rozwija się z wiekiem pomimo pozorów oswojenia. Żyje tylko dla siebie, kocha tylko interesownie, łąsi się, żeby wykorzystać...” Co podsumował Marcel Mauss słynną formułą: „Kot — jedyne zwierze, któremu udało się oswoić człowieka”. Może więc w kocie brzydził się Wacław anarchii i niezależności? — Nie są to przecież cechy możliwe do pogodzenia z prawdziwym, o ładzie świata stanowiącym, pełnym monarsze oddaniem.

Prawdziwe są najpewniej wszystkie trzy interpretacje jednocześnie. Był Wacław i estetą i mistykiem (po każdej nowej kochance, a było ich, jak wspomnieliśmy niemało, pokutował, pościł i poddawał się surowym biczowaniom) i monarchą ambitnym, wielką mającym wizję swego powołania...

Ścierały się podówczas na dworze praskim dwie zasadnicze koncepcje polityczne: optująca za ekspansją na północ — ku Bałtykowi i kusząca wyobraźnię królewską ciepłymi plażami Adriatyku. Tę pierwszą reprezentowali przede wszystkim zwolennicy Habsburgów, tę drugą ojczym i wychowawca Wacława — potężny Zawisza z Falkensteinu i jego bliscy. To jedni, to drudzy brali górę, zyskując fortuny w chwilach wyniesień i płacąc głowami za momenty niełaski (Zawisza ścięty zostanie w 1301, przy czym kat nie topora użyje do egzekucji, ale... byle

jak zaostrożonej deski). Divide et impera. Patrząc, jak neutralizują się wzajemnie i wykrwawiają skłócone koterie, realizuje Wacław politykę własną, polegającą po prostu na obu opcji połączeniu. I na północ i na południe! Nigdy bodaj wizja wielkiego, środkowoeuropejskiego organizmu politycznego nie została dobitniej sformułowana.

Na co dzień mówił Wacław po niemiecku, otaczał się Niemcami i to — jak słusznie podkreśla Benedykt Zientara — nie miejscowymi nawet, ale ściągniętymi z Bawarii i Szwabii. Również pośród kochanek, co każe nam w gust władcy trochę jednak powątpiewać, przeważają Niemki nad Czeszkami. Modlitewnik miał niemiecki i kłął, zwierciadło to podświadomości, także po niemiecku.

Dlaczego więc arcybiskup Jakub Świnka, sztandarowy polski germanożerca, koronuje tak zniemczalonego osobnika na króla Polski nie tylko bez zastrzeżeń, ale wręcz z entuzjazmem i upodobaniem? — Otóż rozumiał wyrafinowany ten polityk, że w jakimkolwiek języku wyrażone, są koncepcje Wacława politycznie obiektywnie antyniemieckie. Mocarstwo czesko-polsko-węgierskie (już w 1301 zapewnia Wacław swemu synowi koronę węgierską), byłoby nie tylko gwarantem pokoju od Grecji po Kurlandię, ale także definitywną zaporą dla imperialnych zakusów Habsburgów.

Niestety, inni też zrozumieli. Antyfrancuski, a więc proniemiecki, papież Bonifacy VIII poprze natychmiast opozycję na Węgrzech, kwestionując madziarską koronę Wacława. Z kolei opozycja węgierska sfinansuje Łokietka... I otośmy w oku cyklonu dziwołagów i sprzeczności historii. Wszystko można ocenić na jaki sposób zda się. Występował Łokietek w imię obcych interesów przeciw koronowanemu i prawowitemu królowi Polski? Walczył przeciw okupacji czeskiej? Uniemożliwił stworzenie środkowoeuropejskiej konfederacji? Odtworzył narodowe państwo polskie? Zjednoczył, czy zjednoczenia mało co nie przekreślił? Dla uzupełnienia obrazu pozwólmy sobie dorzucić, iż popierana przez papieża, przeciw francuskim interesom, dynastia Andegawenów była, jak łatwo się już domyślić, francuska z krwi i kości...

Jedyną odpowiedzią jaką dać może historia, jest odpowiedź następstw empirycznych. Łokietek wygrał i zrodził Kazimierza. Kazimierz zastał drewnianą, a zostawił murowaną, potem był Grunwald... Historia, i słusznie, nie zajmuje się dylematami co by być mogło. — Życie udowodniło. Problem w tym, że życie niczego nie udowadnia,

a tylko przyjmuje zaszłości za reguły, podnosząc najbezsposobniejsze przypadki do rangi fatum. Jak się stało, tak się stać musiało... Przebóg, cóż rozgrzeszamy w takiej formule! Lecz, jeśli nie tak, to wówczas...

— Wówczas żałować by przyszło wielkich waclawowych projektów, na które dzisiaj, po siedmuset niemal latach zaczynamy coraz tęskniej spoglądać.

Przyznaje obiektywny Zientara, że rządy Wacława w Polsce doprowadziły do uspokojenia i wzbogacenia kraju, że usprawniona została administracja, a jego „reformy pieniądza i prawo górnicze miały ogromny wpływ na dalszy rozwój gospodarki i organizacji regaliów...” — Dlaczego więc tradycja nasza jest w ocenie konfrontacji Wacław : Łokietek, aż tak jednostronna, że nawet polskim pająkom każe się czynnie opowiadać po stronie Władysława i tkać pajęczyny, które maskując wejście do groty zmylą skutecznie wraże pogonie? Dlaczego już za osiemdziesiąt lat zaakceptowany zostanie ruskojęzyczny, pogański barbarzyńca; choć tak niedopuszczalny był czeski europejczyk i katolik?

Typowy to przykład rzutowania wstecz grubo późniejszych uprzedzeń i idei. W rzeczywistości władza Wacława w Polsce miała solidne podstawy. O wszystkim raz jeszcze zadecydował przypadek. Umiera Wacław przedwcześnie, w trzydziestym czwartym roku życia, po długiej i mocno pachnącej trucizną chorobie. W trzynastym miesiącu później zasztyletowany zostaje w Ołomuńcu jego siedemnastoletni syn. Wygrywa Łokietek krwawym walkowerem i to bodaj nawet bez osobistej zasługi, gdyż twierdzi większość znawców, że nie on nasłał i opłacił morderców... Potem niestety rozeszły się polskie i czeskie losy i rozchodzą do dzisiaj. Cóż dziwnego, że zlekceważona została pamięć Wacława, a Łokietek urósł nad miarę. Czy może dlatego po trochu, by zagłuszyć wyrzuty sumienia?

Wróćmy więc do history-fiction. Kraj nasz już jednolity, toż pod koniec XIII wieku polsko-czeskie różnice językowe były jeszcze minimalne, ze stolicą w Pradze! Havel na Wawel, a właściwie to odwrotnie...

Jest pięć miast, które lubiłem i myślę, że nie najgorzej poznałem: Jasło, Kraków, Paryż, Sewilla i Warszawa. Jasło, Paryż i Sewilla — bagatela! Lecz mroczne golemu spotkasz tylko w Pradze, hebrajski znak na domu, Hardczany w oparach piwa, sprzedawczyni dziwów

przechadzające się o zmierzchu bulwarem, strach Kafki i jędrność Hrabala, narkotyczną mękę zachwycenia...

A poza tym moglibyśmy się powymieniać mitycznymi emblematami: my im Koziętulskiego, oni nam Szwejka; my im Skargę, oni nam Husa... Przydałoby się obu stronom.

W „Cygańskiej Romancy” Hrabala: „spod jednej pierzyny wygramolił się mały Cyganek w koszulce z żabocikiem, stanął na skraju zagajnika i wystawiwszy kutaska, szczał łukiem na cała, Pragę, która leżała u stóp wzgórza. — Patrz pan! — wykrzyknął stary dozorca, wskazując chłopca. — Być może to przyszedł prezydent... Któż to wie?”

Nikt dotąd w literaturze polskiej nie naszczał łukiem z kopca Kościuszki na Kraków.

Zmarłeś przedwcześnie Wacławie.

Szkoda.

Łokietek i prawdziwi Polacy

„W roku Wcielenia Pana naszego Jezusa Chrystusa 1312 — odnotowuje Rocznik kapitulny krakowski — mieszczanie krakowscy rozpaleni wściekłym germańskim szałem, przyjaciele zdrady, zakapturzeni i skryci wrogowie pokoju, przeciwko panu swemu Władysławowi księciu krakowskiemu i sandomierskiemu i panu całego królestwa polskiego — tak jak Judasz Jezusowi pocałunek — w miejsce wierności dając zdradę, zbywszy się bojaźni Bożej, zbuntowali się i Bolesława, księcia opolskiego, sprowadzili, który na koniec z rzezonym Władysławem Łokietkiem pogodził się (...) ustąpił z miasta i do siebie powrócił. Zaraz potem najjaśniejszy książę Władysław, wkraczając do wspomnianego miasta, niektórych mieszczan pochwycił i zamknął pod strażą w więzieniu. Tych uwięzionych okrutnie po całym mieście włóczył końmi i przywleczonych poza miasto na szubienicy w pożałowania godny sposób zawiesił i tam musiały zwłoki wisieć tak długo, dopóki zgniłe ścięgnięta nie rozwiązały spojenia kości.”

Zacznijmy jednak naszą opowieść dwadzieścia lat wcześniej. W 1291 dwudziestoletni (jakże postarza go Matejko!) król czeski Wacław, korzystając z nieustannych kłótni między piastowskimi książątkami bez trudu opanowuje Małopolskę. Wkrótce groźbą i kruszczem skłania do hołdu władców ziem okolicznych, co pozwala mu całkiem logicznie i prawomocnie koronować się w 1300 królem całej Polski. Monarchą jest młodym, ale nie naiwnym. Rozumie, że lojalność nowych wasali mierzy się tylko ciężarem beczek złota w skarbcu, długością bata nad głową, lekkością ulotnych mrzonek o wielkiej słowiańszczyźnie i chwilą roztargnionego konformizmu. Trzeba więc promować ludzi nowych, najlepiej niepopularnych lub szerzej nieznanych, jemu więc wszystko zawdzięczających i przez to wiernych, bo na wierność skazanych.

Nie jest to trudne. Umiera na przykład w 1295 świętobliwy Prokop, biskup krakowski. Wyboru biskupów w ówczesnej Polsce dokonuje „kanonicznie” kapituła diecezjalna za zatwierdzeniem metropolity gnieźnieńskiego. Lecz oto pojawia się przed zgromadzonymi kanonikami niejaki Hinko z Dubu, rycerz czeski.

— Biskupem ma zostać Jan Muskata, tak życzy sobie król.

— Muskata? — szemrzą duchowni — toż nawet przydomek ma od skłonności do słodkiego wina, a jego życie nierządne, a skandaliczne stosunki z Gersą, córką wójta sądeckiego... — Niepodobna!

— Przewielebni — uśmiecha się Hinko — widzę, że nie zrozumieliśmy się dobrze. Kto odmówi wysokiemu życzeniu pozbawiony zostanie w ciągu tygodnia wszelkich dóbr dziedzicznych, toby zaś trwał w nierozsądnym a skądinąd daremnym uporze, pożegnać będzie się musiał z pięknym naszym królestwem...

Nowy biskup rozumie oczywiście nieubłagane prawa wdzięczności. Dostanie odeń Hinko 500 grzywien, którymi obciążono mieszczan w Sławkowie, oraz trzy wsie w dziedziczne posiadanie: Turów, Choroń i Biskupice; jego syn dodatkowo providę stu grzywien z Przybyłowic. Można już liczyć na Muskatę i... Hinkę za jednym zamachem.

Wkrótce poprze biskup krakowski Waclawa nawet i przeciw papieżowi. Jakże wiele mówią formuły z oficjalnej korespondencji. Waclaw o Muskacie: „Venerabilis princeps noster dilectus et vicecancellarius regni nostri” (Nasz ukochany czcigodny książę i wicekanclerz naszego królestwa). Papież: „Czcigodny nasz biskup krakowski, jeżeli czcigodnym można by go nazwać.” Już nie ma Muskata odwrotu. Tak się oto tworzy „naszych ludzi”. Divide et impera!

W ciągu czternastu lat pozyska sobie Waclaw liczną i oddaną klientelę powiązaną z Pragą również więziami personalnymi (krewniaczymi niekiedy, jak szwagier Waclawa książę Bolesław mazowiecki), kulturalnymi i ekonomicznymi przede wszystkim. Naturalną koleją rzeczy po przedwczesnym wygaśnięciu dynastii Przemyślidów (zmarł Waclaw II licząc lat 34, jego syna jedynaka zamordowano w 17. roku życia) wiąże ona wszelkie nadzieje nie z Łokietkiem, przeciw któremu konsekwentnie optowała, i który ma zresztą własną spragnioną stołków ekipę, lecz ze spadkobiercą swego dobroczyńcy — spowinowaconym z nim rodem luksemburskim.

Łokietek wie o tym dobrze, nie czeka więc z atakiem. Już w lipcu 1306 rozpoczyna jego zausznik, arcybiskup gnieźnieński, Jakub Świnka

przesłuchania świadków mogących obciążyć Muskatę oskarżonego rzecz jasna ze wszystkich możliwych paragrafów, że ograniczymy się do zdrady, mężobójstwa, krzywoprzysięstwa, rabunku klasztorów, symonii, jedzenia mięsa w wielkim poście... Proces jest w pełnym toku, a już antycypując wyrok zajmuje Władysław jeden po drugim biskupie zamki. Pozbawiony militarynych podstaw swojego politycznego znaczenia ucieka Muskata do Wrocławia. Świnka wyklina Muskatę, Muskata w odpowiedzi rzuca klątwę na Łokietka. Impas. Łokietek proponuje rozmowy i pod przysięgą zapewnia biskupowi bezpieczeństwo na swoich ziemiach. W Krakowie jednak (co tam ślubowania, beatus qui tenet) zostaje Muskata bezceremonialnie aresztowany. Tym razem wtrąca się papież (już nie rzymski, ale avignoński) i za pośrednictwem sufragana wrocławskiego, Pawła z Banczu, zatwierdza muskatową ekskomunikę. Ekskomunika ekskomuniką, ale co ona pomoc może zakutemu w pleśniejacej wieży. Z głębi lochu odwołuje więc biskup krakowski swoje klątwy i najuroczyściej poręcza, iż postara się o unieważnienie wszelkich pism, jakie by zostały wystosowane przez papieża lub legata przeciw Łokietkowi. Czyż mamy dodawać, przecież nikt o tym nie wątpi, że wypuszczony zmienia natychmiast zdanie...

Owo zabawne dla nas, acz nieco skomplikowane *qui pro quo* obserwują skażeni współpracą z Przemyslidami w rosnącym napięciu. — Kto następny zapłacić będzie musiał za książeczą niefaskę?—Do jakich środków odważy się Władysław sięgnąć? Co jeszcze mu podszeptą zawistni doradcy? I strach i domysły i tysięcznoplotka. Strach plotkę żywi, plotka strach podsyca. Tak rodzi się przerażenie, a z przerażeniem spisek.

Spiskowcy mają zresztą i całkiem racjonalne argumenta. Łokietek stracił właśnie Pomorze, więc handel z Niderlandami staje pod dusznym znakiem zapytania. Natomiast bogaty rynek czeski o trzy staje, zaś poprzezeń Węgry, Adriatyk i hen, aż po Konstantynopol! A z drugiej strony nie przesadzajmy z tym Władysławem. — Kujawski półpanek. Czymże on jest wobec Jana Luksemburskiego, cesarskiego syna... Poza tym, i tu przyjdzie się nam zgodzić, dumne to i podniosłe urodzić się Polakiem, ale równie podniosłe i dumne — Czechem.

Zawiodły, jak zwykle nad Wisłą, koordynacja i geopolityka. Luksemburczyk, kto czytał Dantego wie o co chodzi, wdał się Akurat w zawiłe spory między Gwelfami i Gibelinami w odległych Włoszech i podesłać chwilowo może polskim zwolennikom tylko Bolka opolskiego

bez wojska i bez pieniędzy. Bunt też wybucha chaotycznie, to tu, to tam. Istna manna dla Łokietka, który po kolei wybierać może przeniewierców jak ryby z saka.

Bo przecież nie tylko o Kraków chodzi. — Za spiskowcami opowiedzieli się między innymi: Wieliczka, Bochnia, Sandomierz, zakon dominikański, potężny opat Bożogrobców z Miechowa... Za Łokietkiem: Nowy Sącz, klaryski ze Starego Sącza, opat tyniecki, Cystersi z Jędrzejowa, wójt lelewski... Poszatkowana mapa przedziwnych po tej i tamtej stronie wysp i archipelagów. Jak z niej wyczytać jedynie słuszną prawomocność, dziejową sprawiedliwość i wolę przodków? A i w samym Krakowie nie prościej. Rajcy Der Gewize i Kremer są aliantami Łokietka, Petzold i Katscher twardymi przeciwnikami... I cóż tu da się wydedukować z brzmienia nazwisk”? A jeszcze ten Bolko opolski — taki sam Piast jak Władysław, a nawet trochę lepszy, bo prawnuk Mieszka Płatonogiego, krew z krwi Krzywoustych i Chrobrych...

Łokietek w pełni jest świadom dwuznaczności sytuacji. Jak jednak przemianować wulgarną wojnę domową na krucjatę wolności, gdzie odnaleźć niezbywalną i niepodzielną prawowitość? I oto propagandyści dworscy podsuwają pomysł. Pod Sandomierzem jeszcze i mowy o tym nie było, pod Bochnią pokątnym gdzieś półgębkiem. Dopiero w żupach Wieliczki rodzi się skrzydlate hasło: Zbuntowały się Niemce! Celny cios i zacny wynalazek. „Rozpaleni wściekłym germańskim szałem, przyjaciele zdrady...” Czujcie zew krwi i rasy! A jednak udało się sprowadzić konflikt do powszechnie zrozumiałych, namacalnych wymiarów. Bij Szkoła!

W Krakowie Bolesław opolski czuje się nagle nieswojo. Ma wprawdzie po swojej stronie potężne mury miasta, żołnierzy Albertowych (w tym czasie posiadał wójt krakowski uprawnienia wojskowe) i znaczne szanse na odsiecz Luksemburczyka. Niezbyt mu jednak wygodnie w roli germańskiego przywódcy. Jemu, który reprezentować sądził inną tylko wizję historycznego aliansu... Wie wszakże, że nie ma dla wielbłądów tłumaczenia. Waha się więc, zżyma, klnie po polsku i niemiecku, popada na przemian w ataki złości i melancholii, obraża dworzan i damy... Łokietek przychodzi praktycznie na gotowe. Wypalony wewnętrznie Opolczyk przekazuje mu bez walki klucze do bram miasta. W ostatnim porywie solidarności wypertraktuje jeszcze zgodę na wywiezienie ze sobą głównych przywódców nieudanego puczu z wójtem Albertem na czele. To wszystko. Smętny poczet Bolesława znika w okolicznych lasach i z kart historii zarazem.

Na ulicach Krakowa panuje tymczasem prawo zwycięzców. Nawet sprzyjający Łokietkowi autor kapitulnego rocznika zaznacza, że poczynął sobie „okrutnie” i „w pożałowania godny sposób”. Zaś „Rocznik Krasieńskich” informuje wprost, że Władysławowi żołdacy wywlekali mieszczan z domów bez względu na wiek i płeć, i by wytępić germańskie plemię powtarzać kazali „Soczewica, koło, miele młyn”. Kto prawidłowo nie wymówił, dawał głowę pod miecz. Biada sepleniącym, Żydom, jakałom... Niemcy bowiem akurat dosyć dobrze byli zasymilowani.

Spadł deszcz i zmył do Wisły kałuże krwi. Bliższe nam rzezie przesłoniły i unieważniły paroksyzm cierpienia wcześniejszych. Jak to w historii...

Zdarzenia krakowskie anno domini 1312 uczą nas wszakże trzech rzeczy: po pierwsze, że winny zawsze się znajdzie; po drugie, że propaganda większą ma moc od materialnych faktów; po trzecie wreszcie, i to najważniejsze, wiemy już jak odróżnić prawdziwego Polaka.

Soczewica, koło, miele młyn.

Kazimierz Wielki

Kazimierz jest jeszcze królewiczem, Elżbieta już królową. Kazimierz lubi siostrę i chętnie ją odwiedza na węgierskim dworze. Któż lepiej niż starsza siostra zrozumie i zaspokoi braterskie zachcianki. Oto kwiecień 1330. Za wysokimi oknami zamku w Budzie siąpi kolejny już dzień przytęskliwy, zimny deszczyk. Połowa rycerzy kaśla bez żenady i smarka w rękawice. Kazimierz kładzie się do łóżka. Zaniepokojona Elżbieta spieszy z rojem dworek do braterskiego wezgłowia. Lecz czy to widok dla kobiet — zakatarzony mężczyzna w negliżu? Dworki, prócz jednej — pięknej Klary Zach zobowiązanej do podawania choremu gorącego mleka z czosnkiem i miodem, zostają więc odprawione. Po chwili oddała się i królowa. Wynikiem sam na sam, które następuje jest, jak podaje Długosz, iż „dziewica Klara zgwałcona została przez księcia Kazimierza i do syta wykorzystana.” Ciężko dziś ustalić, czy była Klara rzeczywiście dziewczicą i czy mówić można o gwałcie, skoro, co wiemy skądinąd, opieranie się samcom królewskiej krwi nie było specjalnie w modzie u pańienek owej epoki. Pewne jest natomiast, bo tak dzieje się każdego czasu, że zawistne dworki i zblazowani dworzanie dokrasili zdarzenie pikantnymi lub zgoła obelżywymi szczegółami, domysłami i bon-motami.

I stary Zach się wściekł. Biegł długimi korytarzami bełkocąc coś bezrozumnie o hańbie, czy sprzeniewierzeniu, aż wpadł do królewskiej komnaty. Pewnie zatrzymałby się jeszcze i opuścił świętokradczy miecz, lecz ironiczne spojrzenia i szepty paziów w paroksyzm go wpędziły mrocznego zapamiętania. Zanim wierni rycerze przyboczni (dziś mówi się obstwa) rozsiekają szaleńca, straci królowa Elżbieta cztery palce u prawej ręki, a król zraniony został lekko w przedramię.

Miara zbrodni wyznacza miarę kary. Następnego dnia trzydzieści części poćwiartowanego ciała Felicjana Zacha rozesłanych zostało do

wszystkich ważniejszych miast królestwa. Jego syn i kuzyni, oddajmy jeszcze raz głos Długoszowi, „przywiązani do końskich ogonów tak długo włóčení byli po drogach i ulicach, dopóki kości nie zostały całkiem gołe, a oni nędźnie nie wyzionęli ducha”. Piękną Klarę czekał los szczególny. Po ucięciu jej w Budzie nosa, warg i, palców u rąk, obwożona była w żelaznej klatce po odpustach i jarmarkach całego kraju na przestrogę i pośmiewisko. Podobno żyła jeszcze pięć lat błagając, wśród wycia podnieconego motłochu, o niemożliwe przebaczenie.

Mamy wszelkie podstawy przypuszczać, działo się to wszakże zanim jeszcze opuścił Budę i było widowiskiem dla miłujących dobrego króla Karola Roberta ściśle obowiązkowym, że asystował Kazimierz przy egzekucji swojej kochanki. Czy odczuwał litość?

— Jest to sentymentalne pytanie spoza porządku dziejów. — Zapewne. Ważniejsza była jednak racja stanu. Skoro cztery palce i lekkie draśnięcie ręki monarchów Węgier warte było ponad czterdziestu zabitych, jakąż mogła być cena za bluźniercze skarżenie się, choćby i własnemu ojcu, na postępowanie następcy tronu Polski? Jeśli miałoby ono podlegać krytyce byle ochmistrzyni, czymże byłby majestat dynastii i państwa? Rozumiał to dobrze Kazimierz, wkrótce już „Wielkim” zwany, toteż nie spuścił wzroku po ostatnich trąbach heroldów. Jesteśmy też najzupełniej pewni, że obserwujący go spod oka Węgrzy dojrzeć mogli tylko na ustach ironiczny uśmieszek. Skąd mogli wiedzieć, że była to zaduma nad historyczną obowiązków władcy kondycją?

W następnych latach będzie miał Kazimierz, już jako król, kochanek wiele. Tylko jedna z nich wszakże, w legendę przybrana, emocje wzbudzi i kontrowersje przyszłych pokoleń: piękna Żydówka Esterka. „Kto wie, co śpiewają ptaki? — Może z każdą nową wiosną — Powietrznymi lecąc szlaki, — Nuć dawną pieśń miłosną — O Kaźmierzu, o Esterce?... — Wszędzie, zawsze — miłość, serce!” (K. Gliński). Jedni historycy zgoła odmawiają Esterze prawa do istnienia; inni, jak Jerzy Wyrozumski, przesadne może mają o świętość faktów troski (gdy chodzi o polskie mieszczy pod piastowską pierzyną, lubo też megalians, wątpliwości tych nie ma): „mogła być również Żydówka. Czy jednak nie była to plotka, czy tradycja ustna nie dorobiła tej Żydówki, aby wyjaśnić zyczliwość króla względem Żydów...” Kazimierz i względem mieszczan wielce był zyczliwy.

My akurat przekonani jesteśmy o realności Esterki i mamy na to nawet, acz nie bezpośredni, istotny wszelako antropologiczny argument.

Otóż w 1347 nawiedza zachodnią Europę „czarna śmierć”. W ciągu trzech lat ofiarą dżumy pada we Francji, w zależności od regionu, 25-75% populacji. W Niemczech groza cyfr kształtuje się podobnie. Gdzie Chińczyk z rozpaczą poddałby się fatalizmowi, cywilizowana Europa szuka zawsze, do dziś jej to zostało, związków przyczynowo-skutkowych. Jest kara, więc musi być grzech; jest grzech, więc muszą być winni. Czyż może być winniejszy nad Żyda? — I rzeź się staje na miarę i strachu plugawego i najostatniejszej męki.

Eksplozjom religijno-narodowościowych urojeń towarzyszą w mroku, ponadczasowa to reguła, urojenia erotyczne. Równoległe z zatrutowaniem studni i fontann oskarżeni zostają więc Żydzi o wszelkiego rodzaju seksualne wynaturzenia. Naoczny czasów tych świadek — kronikarz Jean de Prens d'Outremeuse opisuje, przed czym bardziej, niż przed samym mordem wzdraga się jego bogobojne serce, że trupy zabitych Żydówek obnażane były przez gawieź sprawdzającą czym się fizjologicznie od chrześcijanek różnią. Bo jakże inaczej wytłumaczyć ich złowrogą uwodzicielską moc? Czyż nie bliskie jest temu swojskie nasze, ludowe przekonanie, że „mają Żydówki w poprzek”? Urojenia rosły w ciemne fantasmagorie. Fantasmagorie w mit.

Uciekającym na wschód żydowskim niedobitkom, tym właśnie, których Kazimierz życzliwie przygarniał, towarzyszyła niepokojąca, mroczna, ale i ekscytująca erotyczna legenda. Toż nie darmo zanotował Froissart: „Powiadają niektórzy, że Żydzi raj mając sobie zamknięty, tu na ziemi za występłą kobiet swoich wysługą wszelakich najgrzeszniejszych uciech się cielesnych dopuszczają, sługom wiary prawdziwej szczęścia wiekuistego zazdroszcząc.” Mógł-li pozostać Kazimierz na wieści takie nieczułym? — Może się więc, o to nie będziemy kruszyć kopii, inaczej nazywała, ale znając upodobania monarchy, że „była również Żydówka” gotowiśmy przed potomnością solennie poręczyć.

Wysuwany zaś często argument opinii publicznej i maluczkich zgorszenia? — Od zwracania uwagi na tak zbywalną przyziemność, co najpełniejszym jest dowodem jego zrozumienia wagi sakrum i potęgę majestatu, czuł się Kazimierz słusznie najzupełniej zwolniony. Dowodem matrymonia.

29 września 1341 poślubia Kazimierz młodziutką córkę Henryka Żelaznego — Adelajdę Heską. Przyznaje nawet biorący jej stronę Długosz, że była „piękniejsza przymiotami serca niż urodą”, co między wierszami oznacza tyle, że już szpetniejszej od niej darmo by szukać w

promieniu trzech dni klusem od Wawelu. Nic dziwnego, że wkrótce innych król pragnie widoków. Nałożnic rzecz jasna mogliby mu dworzanie sprowadzić po cztery kopy dziennie. Niestety, z biegiem lat staje się Kazimierz nieco romantyczny. Niebezpieczna to, szczególnie u monarchów skłonność, której ulegając na niejedną się można narazić niewygodną sytuację. Wywoływanie wilka z lasu. I oczywiście trafi władca (każdemu się to pewnie zdarzyło, ale pocieszające, że pada i na wielkich świata) na taką; co da, ale i nie da, powiedz, że mnie kochasz, tak — czyli właściwie nie, weź te ręce, a w ogóle to tylko po ślubie...

Ożenek? — Ostatecznie, gdy się rządy dzierży, nie taka to znów skomplikowana sprawa. Opat tyniecki Jan z chętną usłużnością co trzeba było sprawnie odcelebrował. Złośliwi twierdzili wprawdzie, że mało w świecie bywała Krystyna Rokiczanka wzięła opata za biskupa, nie jesteśmy jednak skłonni tym insynuacjom uwierzyć. Sam fakt, że wy mogła odbycie ceremonii w tyneckim klasztorze, którego dzwony, gdy głos po Wiśle dobrze niesie, słychać na Wawelu, świadczy o jej spryście i ambicji. Celowo dążyła do skandalu. I rzeczywiście — Adelajda się obraziła. Zamknęła na klucz łożnicę — niby przed mężem, jakby się tam wpychał; płakała, wyżalała się na prawo i lewo, przestała dbać o makijaż, w końcu oświadczyła, że wyjeżdża.

Toteż cały Kraków o niczym innym nie mówił. Nie znano wtedy jeszcze kawy i eo ipso kawiarni, plotkowano więc po szynkach, zajazdach, kościołach... Wydawałoby się, że i biskup dłużej milczeć nie może. A jednak cisza z tej strony zupełna. Czym wytłumaczyć dziwną tak, że chciałoby się rzec niestosowną powściągliwość? Czyżby był Biskup Bodzanta, skądinąd zajadły wróg Kazimierza, tak dalece na moralność publiczną nieczuły i tak dobrotliwy, by okazję przegapić? — Aby rzecz wyjaśnić cofnąć się musimy lat siedem.

Jawnogrzesznictwo królewskie jest już wtedy tajemnicą poliszynela, źródłem uciесznych anegdot i przykładem z góry. Wysła więc biskup na Wawel wikariusza i kaznodzieję katedralnego Marcina Baryczkę. Ten, wypomniawszy Kazimierzowi bezbożną rozpustę, której liczne wyliczał przykłady ze sprawą Klary Zach na czele; rozpustę tak jawną, że Kościół dłużej już oczu przymykać nie może, wspominał wreszcie mimochodem o niesprawiedliwym nałożeniu poradnego na poddanych wsi biskupich w kluczu zlockim koło Sandomierza. Sugestia była klarowna i ludziom małego serca zdałaby się zapewne do rozważenia zdana.

Nie darmo był jednak Kazimierz monarchą wielkiego formatu, o honor dbałym i przewidującym.

Skinął dłonią i zakuci w żelazo przyboczni pod dowództwem zaufanego Kochana rzucają się na księdza. Zima była ostra owego 1349 roku i Wisła stała skuta lodem. W mdłych blaskach pochodni, pośród spiętrzeń kry długich rzucających cienie niełatwo było odnaleźć przerebel. A może kuć ją dopiero musieli niezdarnymi bojowymi toporami? — Potem wyobrazić już sobie możemy rozpaczliwy opór skazanego, szamotaninę, sine kłęby pary ze zdyszanych ust, ręce czepiające się lodu i miażdżące te ręce buciory.

Teraz nie było już mowy o frywolach. Zabójstwo księdza równało się klątwie, więc i pertraktacje na inny przeniosły się poziom. Po długich i trudnych dyskusjach wielokrotnie zrywanych stanęło na budowie na koszt państwa kilkunastu kościołów. Ekskomunikę zdjęto, wyznaczono budowlane parcele... Trzeba przyznać, że niewiele Kazimierz stracił. W jego imponujący program inwestycyjny („Zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.”) budowa kościołów była i tak wpisana. Co natomiast zyskał? — Ano cóż, duży budynek stawiało się podówczas lat kilka, kilkanaście, a i — bywało — kilkadziesiąt. Przez cały ten okres złapał Kozak Tatarzyna. Każdy nowy konflikt z monarchą równał się zawieszeniu ugod dotychczasowych i w konsekwencji nie dyktatowi już, ale renegocjacji, w trakcie której równie dobrze można było zyskać, co stracić. Znając zaś inteligencję i upór królewski raczej to drugie, niż pierwsze. Po cóż więc ryzykować.

Przekonawszy się przy okazji małżeństwa z Krystyną, że ryba chwyciła, z całą dezynwolturą posunął się Kazimierz jeszcze dalej biorąc sobie do kolekcji trzecią równoległą żonę — Jadwigę Żagańską. Jasienica nazwał to „bigamią do kwadratu”. Związek pobłogosławił jednak uroczyście biskup poznański Jan Doliwa. I kto kogo mógł teraz szantażować?

Taka jest historia pewnego politycznego majstersztyku.

Podaje „Encyklopedia Katolicka”: „męczeńską śmiercią zyskał Baryczka opinię świętości; w katedrze wawelskiej zachował się obraz z XVII w. przedstawiający go w szatach kapłańskich, trzymającego w jednej ręce lilię (symbol niewinności), w drugiej wyrok klątwy na króla. (...) Zachowały się także przekazy o nadzwyczajnych zjawiskach nad miejscem kaźni Baryczki oraz cudach, które działy się przy jego grobie.”

Kazimierzowi przyznała zaś wdzięczna potomność dumny przydomek „Wielkiego”.

To prawda: był Kazimierz Wielki i rozwiązał i do szpiku kości cyniczny. Kto jednak twierdzi, że mają być politycy bogobojni i cnotliwi akurat? Z punktu widzenia skuteczności, czyli szczęścia doczesnego obywateli, udowadnia historia z reguły rzecz nieelegancko odwrotną.

A z cudami nad grobem Baryczki nie będziemy się klócić. I Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek... — Może na tym właśnie polega dziejowy kompromis?!

PS. Co w monografii Wyrozumskiego „Kazimierz Wielki” (Ossolineum 1982) stoi o Esterce, tośmy już cytowali. Klary Zach broń Boże ani kwiatkiem Kazimierz nie ruszył. Natomiast nazwiska Baryczki nie ma nawet w indeksie.

Ważniejsza lipa, niż opowieści.

Ludwik Niedoceniony

Dwóch było na tronie polskim królów o przydomku „Wielki”: Kazimierz, oraz jego następca Ludwik. I lubo ten drugi okrzyknięty tak został przez Węgrów, nie wstyd za nimi powtórzyć.

Był ten potomek w prostej linii Ludwika VII Lwa, jednego z największych królów Francji, mężczyzną słusznego wzrostu o jasnych, kędzierzawych włosach i takiejże brodzie. Oczy niebieskie, twarz pogodna, zeszecona tylko nazbyt mięsistymi wargami. Chorowity z natury (przypuszczalnie gruźlik) nie przepadał za ucztami, łowami i kobietami. Był więc krótko mówiąc, a jego gruntowne wykształcenie tylko nas w tym upewnia, królem najzupełniej nierycerskim. Zresztą wcale się z tym nie krył. W 1381 ogłosił na przykład krucjatę przeciw hereetyckim Bośniakom. Obdarzony przez Innocentego VI tytułem „chorążego Kościoła” wzmacnia się ochotnikami walki za wiarę, by następnie, bez wypowiedzenia wojny, rzucić ich do otwierającego Węgrom dostęp do morza, zdradzieckiego ataku na chrześcijańską Wenecję. Rozumie, że czasy już się zmieniają. Precz legendy! — Przed skutecznością pochyli czoło Rzym, a tym bardziej objuczeni łupami, bogatsza Wenecja od Bośni, niedoszli krzyżowcy. Jest prekursorem, sto lat prawie przed Ludwikiem XI, pierwszym europejskim władcą nowego wieku.

Pisze Szajnocha z obrzydzeniem, iż „jako raczej administrator niż rycerz, sprzyjał on głównie wszelkiej nieszlachcie”. Jest to prawda. Jeżeli był Kazimierz „królem chłopów”; Ludwikowi przyznać trzeba tytuł patrona mieszczan, handlu i przyływu, cały kraj wzbogacającego, pieniądza.

Żadnemu królowi polskiemu — w tym wszyscy historycy zgodni są z Długoszem — „nie wpływały podatki i dochody tak regularnie i tak nie uszczuplone, jak Ludwikowi.” Decyduje o tym konsekwentna i dalekowzroczna polityka ekonomiczna. Straty fiskalne kompensowane

są podatnikom zwolnieniami od ceł, prawami składu, monopolami handlowymi, przywilejami prawnymi. Wie też podatnik za co płaci. Milicje królewskie zapewniają wyjątkowe w ówczesnej Europie bezpieczeństwo na drogach, któremu nadziwić się nie mogą nawet oczerniające zwykle wszystko co polskie kroniki krzyżackie. Wieść o tym niesie szeroko. Przeszają bać się polskich kniei kupcy z najodleglejszych nawet stron. Rozkwita handel. Do listy miast bogacących się i rozbudowujących już za Kazimierza dołączają: Biecz, Bochnia, Czychów, Kalisz, Konin, Nowy Sącz, Ostrzeszów, Sandomierz, Słupca... A zamki w Bolczowie, Chocz, Dziegielowie, Gołańcu, Pisu, Pułtusku, Raciążku, Tropsztynie... — wystarczy spojrzeć na lata budowy...

W stosunkach z Kościołem stosuje Ludwik poprawioną receptę swojego ojca — Karola Roberta. Ten-ci zobowiązał się w chwili słabości do odmawiania codziennie dwustu „Ojczy nasz” i tyluż „Zdrowaś Maryja”. Oprzytomniawszy, najpierw uzyskał z Rzymu abolicję do piętnastu pacierzy dziennie, potem zezwolenie, by odmawiał je „w imieniu” upoważniony łaskawie kapelan. Oczywisty błąd kolejności: coby to szkodziło księżulkowi pomodlić się te dwieście razy dziennie. Rzeczą jest szlachetną i pobożną nadawanie Kościołowi majątności. Jakby się to upowszechniło, byle kto mógłby pretendować do łask niebieskich, a i równowaga społeczna niebezpiecznie została by zakłócona. Zakazuje się więc darem lub testamentem zapisywania dóbr ziemskich duchownym. Można natomiast, a jakże, scedować je władcy z miłą Bogu intencją. Władca będzie lojalny — przekaze Kościołowi. Tyle, że są biskupi i biskupi, zakony i zakony. Trudno się zaś Ludwikowi dziwić, że woli biskupów kooperujących. Przy okazji pokazuje się pozostałym, co się bardziej jak gdyby opłaca. Nie ma obawy, wkrótce i oni, z własnej nieprzymuszonej woli, wszelkie zaczną za króla odmawiać pacierze. Jeżeli chodzi o zakony, miał Ludwik zrozumiałą sympatię do węgierskich z proveniencji Paulinów. Buduje im eremy, powierza wsie, nadaje także, za pośrednictwem Władysława Opolczyka, górę koło Częstochowy zwaną „Jasną”. Jest niejaki paradoksem, że to serce polskości zawdzięczamy francuskiemu, zniemczalemu, zmadziaryzowanemu i zitalianizowanemu, słowem kosmopolitycznemu na wskroś rodowi Andegawenów (Anjou). Ej, popłatane te nasze dzieje i ostrzem dekretu ich nie rozwiążesz.

Lecz panowanie Ludwika w Polsce, jeśli wierzyć podręcznikom, które do tego je właściwie sprowadzają, to przede wszystkim przywilej koszycki. O co w nim chodziło? — Mówiąc prostacko: za przyznanie korony jednej ze swoich córek obiecywał Ludwik szlachcie zniżki podatkowe i parę jeszcze pomniejszych dogodności. Za tym banalnym zdałoby się przetargiem kryje się jednak istna rewolucja bardziej nawet obyczajowa niż ustrojowa.

Pisze współczesny Ludwikowi, zakochany i liryczny Petrarka: „Kobieta jest prawdziwym diabłem, wrogiem pokoju, źródłem rozterek, przyczyną zbędnych kłótni zakłócających równowagę ducha...” Sekunduje mu Filip de Mezieres: „Wrodzona nieczystość kobiet i naturalna ich głupota, odbierają im prawo do jakichkolwiek sprawowania urzędów.” Identycznych racji dowodzili, przydając im aureolę naukowości, profesorowie Akademii Krakowskiej. Cytowano wyrok uczonych z Sorbony sprzed pół wieku zaledwie, iż ani kobieta nie może dziedziczyć tronu, ani też (nikt nie może przekazywać czego nie posiada) nie można dziedziczyć przez kobietę. Była to zresztą zasada bliska rodzimej praktyce prawnej. Toż, jak przypomina Szajnocha, były u nas kobiety „wykluczone od dzieciństwa, liczyły się też za nic w szlacheckości lub nieszlacheckości małżeństwa; mąż szlachcic nadawał, mąż nieszlachcic odbierał szlachectwo żonie...” Gdy dodamy do tego mnożące się złowrogie przepowiednie i znaki na niebie, zrozumiemy łącznie, że zmierzających do Koszyc rycerzy ogarniał na myśl o panowaniu niewiasty metafizyczny wręcz lęk.

Gdy w grę obok faktów wchodzi też przyzwyczajenia i przeświadczenia najgłębsze, wtedy oczywiście cena zazwyczaj rośnie. To logiczne. Stąd też zapewne, z proporcji do królewskich zysków, pokutujący upór przy sądzie, podnoszący przywilej Ludwika do rangi „podwaliny szlacheckich wolności”, że w Koszycach tak wiele dobrze urodzeni zyskali. W rzeczywistości zyskali bardzo mało. Czym innym bowiem słowa, czym innym realia. Tymczasem sprytny Andegawen z istną wirtuozerią dyplomatyczną sprzedawał swym poddanym Niderlandy za Niderlandami. Główny punkt przywileju: rezygnacja z podatku poradlnego z wyjątkiem dwóch groszy z łanu. Ależ owo poradne od dawna ściągane już nie było, a nawet, w braku odpowiedniego aparatu kontroli fiskalnej, być również nie mogło! Ograniczenie obowiązku szlachty do pomocy w budowie fortyfikacji? — A kiedyż to ostatni raz obowiązek takowy wyegzekwowano? I tak dalej, niemalże paragraf po paragrafie.

Zresztą, w odróżnieniu od autorów szkolnych podręczników, zrozumieli to dobrze sami w Koszycach zebrani. Dla drobnej szlachty owe dwa grosze z łanu były wręcz nowym i nieoczekiwanym obciążeniem. Za diabelski pomysł osadzenia baby na tronie kazano im jeszcze płacić! Najbardziej kłótniwi i knąbrni, jakże ten świat się zmienia, byli w owych czasach Wielkopolanie. Oni też postanowili sejm zerwać opuszczając ostentacyjnie obrady.

Łatwiej uchwalić, niż wykonać. Gdyby szukać precedensu przeciw „liberum veto” — oto on. Bramy miasta zastali Wielkopolanie zawarte, straża na murach potrojone i w zgoła inną niż zazwyczaj poglądną stronę. Poczuli wtedy, jak pisze kronikarz, że „kuso z nimi”. Król się wyżywi. Cóż zrobią oni, jeśli areszt przedłuży się na tygodnie, miesiące, a nawet lata? Zgrzytając zębami i „z niemałym sromem” podpisali.

Słusznie więc zauważa Szajnocha, że „nie Polacy, jak późniejsze głosy wołają, wymogli ten akt na królu. Wymógł go król na Polakach.”

A przecież legenda urosła szybko. Już w 1585 mówił w sejmie Stanisław Czarnkowski: „To już wiadomo jest wszystkim, iż od Luisa wolności nasze brać incrementa poczęły swoje.” Cóż, dwa wieki jednak upłynęły. Znał zapewne Czarnkowski tekst koszyckiego przywileju; nie zdawał sobie jednak sprawy z jego realnego, w żywym kontekście czasów, znaczenia. Pamiętał literę, lecz zapomniał ducha.

Poucządzający to zaiste przykład całkowitego odwrócenia się po latach wymowy zdarzeń, radykalnej zmiany rzeczywistego sensu podpieczętowanych uroczyste słów. Dwa wysnuć zeń można morały.

Pierwszy, najbanalniejszy w świecie, iż zrozumieć można rzeczy tylko w ich dziejowym kontekście. Te same czyny i te same słowa już z dziesięciolecia na dziesięciolecie sens swój zmieniają. Cóż dopiero mówić o wiekach. Nadużyciem jest więc zawsze przemieszczanie w epokach cytatów i biografii. Nie powołujmy się na świętych Stanisławów, Chrobrych, Sobieskich, Piłsudskich. Inne słońca, inne tury w kniejach, inne dziewczyny.

Drugi morał jest jakby ogólniejszy. Kwestia wagi słów. Głównym zajęciem ludzkości jest, od jej zarania, gadanie. Prawdziwa historia świata, to biliony bilionów wypaplanych podmiotów, orzeczeni dopełnień. Mniej, ale też astronomia, przeniesionych na papier. Tradycyjne targi książki w paryskim Grand Palais. Jednoroczna tylko zachodnioeuropejska produkcja. Miliony tomów. Nie ma już rzeczywistych specjalistów

od współczesnej literatury francuskiej, bo nikt nie przeczyta trzech tysięcy książek rocznie. Na każdy temat paręset opinii. O błogie czasy analfabetyzmu i elitarnego piśmiennictwa! Tyle, że one z kolei inne niosły zagrożenia. Słowo pisane we władzy jednej tylko grupy nacisku. Czyż nie zależało szlachcie na maksymalnym uantycznianiu swoich uzurpowanych prerogatyw? Więc może to tak, świadomie i spiskowo padło na Ludwika?

„W czasie swego panowania — pisze Andrzej Wyrobisz — stworzył lub umocnił stworzone przez swych poprzedników podstawy potęgi gospodarczej i politycznej Polski, na których oprzeć się miała w przyszłości świetność doby jagiellońskiej.”

Dodajmy, był władcą trzeźwym. Kiejstutowi, żeby się nie wymigał, przyjęcie chrztu zaprzysięgać kazał na pogańskich jego bożków. Nad przyszłe interpretacje słów przynosił doraźne konkrety. Pełny brzuch poddanych nad ideologię. Podeptał zabobony, dając tron Polski kobiecie. Był też konsekwentnym, acz dolustrzanym pijakiem.

Bywaj imienniku! Bardzo cię lubię!

Ofiara Jadwigi

W końcu lat tysiąctrzysetnych przyszła do Polski moda strojów męskich mniej niż dawniej pstrokatych, zdobionych za to obficie perłami i złotogłowiem; tak obcisłych, że skrepowani sznurówkami rycerze często po krótkim nawet marszu tracili oddech lub dostawali mdłości. Fryzury wypadało nosić z pasmami włosów przemienne lokowanych i prostych. Kształt i kolor bród (przeważnie sztucznych) zmieniano „według stopnia uroczystości”. Na policzkach i czole róż wyparł bielidło; brwi przeważnie czerniono, acz zdarzały się również złocone i srebrzone; starannie ogładzone paznokcie malowano często wielokolorowo...

Latem 1385 wjeżdża do Krakowa narzeczony Jadwigi, księżę Styrii i Karyntii, Wilhelm Habsburg. Piętnastoletni ten młodzian, bliski powinowaty Filipa II Burgundzkiego — jednego z największych wykwintniśiów epoki, zdążył już sobie zasłużyć na elokwentne przydomki „Dworskiego”, „Wytwornego” czy jeszcze „Ceremonialnego”. Zaiste, miały co oglądać krakowskie mieszczyki. My niestety, na podstawie monety, odtworzyć możemy tylko hełm o długim, opadającym na plecy pokrowcu, zwieńczony złotą koroną, spinającą z kolei wysoki wachlarz pawich piór.

Z jakąż niecierpliwością czekała młodzianka Jadwiga (12 lat), córka francuskiego rodu Anjou (Andegaweni), spadkobierczyni krwi Ludwika VIII Lwa, na to spotkanie. Łączą ją z Wilhelmem nie tylko dziecięce śluby zawarte w Hainburgu nad dalekim Dunajem, ale przede wszystkim podobne tradycje, legendy, opowieści nianiek i choćby przekonanie o ukrytym, symbolicznym sensie dziwacznych gestów i rytuałów schyłkowego (któż wierzy w swój schyłek?) rycerstwa, jego mód, ideałów i uciech.

Owszem, obeznani są niektórzy małopolscy panowie z metafizycznymi tajnikami stylu i obyczaju, ale jednak jakby siermiężna to wersja prawdziwego flamboyant. Od Wilhelma wieje Mediolanem

(matka), Burgundią, Francją... Już następnego dnia ciągną dwa barwne pochody, pełne grajków, trefnisiów i szykowej młodzieży, na królewską randkę do franciszkańskiego klasztoru. Klasztory bowiem, szczególnie franciszkańskie, były wówczas miejscem najweselszych zabaw. Dobrze to opisuje Szajnocha: „Dawali sobie mężczyźni z kobietami istne schadzki do płasów i krotofil w klasztorze. Troskliwy o swoją trzodę opat widząc roje strojnych i utrefionych kobiet cisnące się do furty zatrzymywał je w swoim mieszkaniu opackim przed furką, przypijał rad nierad do gości nieproszonych, zabawiał ich różnymi wybiegami, aby tylko zgraja swawolnie nie wtargnęła poza klauzurę. Pomimo to znachodziła ona drogę do wnętrza klasztornych, napełniała sobą wszystkie cele, krużganki, refektarze, stroiła płasy nieprzyzwoite, wiodąc młodszą bracie zakonną na pokuszenie i w grzech...”

Na takich to radosnych balach widzimy teraz co dzień Jadwigę z Wilhelmem szczęśliwych i zakochanych. Braciszkwowie doceniają honor, więc stoły uginają się od dzbanów najwykwintniejszych win i zamorskich frykasów. Długie godziny tańców, pieszczot i mowy nóg pod stołem. Rzekłbyś, że cień żaden nie maści sielanki.

Cień jednak istnieje. Ma formę trzykroć od Jadwigi starszego poganiina z barbarzyńskiej północy i nazywa się Jagiełło. Kronikarze poświadczą zgodnie, że o powierzchowność nie dbał. Chadzał na co dzień w prostym, grubo wyprawionym kozuchu i tylko od święta przywdziewał aksamitną szubę bez żadnych ozdób, których nie znosił. Czytać i pisać nie umiał, w mowie posługiwał się tylko macierzystą ruszczyzną. Znano go powszechnie z gnuśności, uporu, chorobliwej drażliwości, której dawał wyraz w brutalny i prostacki sposób, oraz nadmiernego obżarstwa... Można łatwo zrozumieć, że w tęsknotach i marzeniach subtelnej Andegawenki przepaść dzieli tego do jej ręki kandydata od wyrafinowanego Habsburga. Więc nie, nigdy! Tylko ty Wilhelmie! A Wilhelm sprowadził właśnie do Krakowa malutkie lwiątko garnące się do swego pana z rozczulającym przywiązaniem...

Za Jagiełłą przemawia jednak bezlitosna geopolityka. Tylko połączone siły Polski i Litwy stawić mogą czoła krzyżackiemu zagrożeniu. A że jest to zagrożenie realne i bliskie, wszelkie inne koncepcje strategiczne tracą chwilowo sens. Kropka. — Czy rozumie to Jadwiga? — Sądząc po zręczności, z jaką usiłuje stawić nieuniknionemu opór zwlekając, godząc się niespodziewanie z Ziemowitem Mazowieckim, jednając wpływowych dworzan; arkana taktyki dyplomatycznej nie są jej

obce. Więc rozumie, ale zrozumieć nie chce? Wysła też zaufanych do Litwina na przespiegi. Jednego z nich prowadzi ze sobą Jagiełło do łaźni, by snadnie mógł się przekonać, że jest księżę zbudowany krzepko i niczego mu co w małżeństwie niezbędne nie brakuje. To, o czym śpiewają trubadurzy w subtelnościach księżycowych aluzji, przeniesione zostaje w fizjologiczny wymiar. Cóż za cham! Nie, zrozumieć Jadwiga nie chce, a i po prawdzie, nad ludzką to miarę — nie może.

Podajmy więc ostatnią, rozpaczliwą próbę. Ucieknie z zamku, by łączywszy się z Wilhelmem i konsumując związek kreować nową i nieodwołalną rzeczywistość... Boczne korytarze, kręte, mroczne schody baszty Lubranka, iskry łuczywa spadające boleśnie na niewprawne ręce. Ale furta zawarta. Nie zważając na halabardników chwytą Jadwiga za topór i uderza w zamki. Nie śmiały warty interweniować? — Może i nie śmiały. Przede wszystkim jednak nie było to konieczne. Kto widział dębowe pnie średniowiecznych furt zamkowych, kucia kłódek, których klucze pokazuje się dziś w muzeach ciekawskim ku zadziwieniu, wie, że i dla krzepkiego rycerza wielogodzinna byłaby to robota. Nie dla ciebie dziewczyno! Więc tylko krótkie echo uciekło do lochów, a gest dumnej rozpacz, literatom na pożarcie, pozostał w suchych annałach.

„Była Jadwiga więźniem w swym własnym zamku” — podsumuje lakonicznie Szajnocha. Jeszcze bardziej więźniem była, gdy w niewiele dni później ogłoszono uroczyste jej ślub. Od tej też chwili nie poznamy już radosnej i rozbawionej dziewczynki z franciszkańskich refektarzy. Historycy napiszą wprawdzie oględnie, że pożycie królewskiej pary układało się na ogół poprawnie, a nękała ich tylko bezdzietność... — Cóż, w odległej owej epoce jedną znano tylko trywialną technikę zachodzenia w ciążę. Tymczasem natychmiast po zawarciu małżeństwa popada Andegawenka w religijne egzaltacje, posty i umartwienia. Gdy w pół roku po ślubie, w październiku 1386, wyruszy Jagiełło z Krakowa w jakże zbożnej misji dopatrzania chrztu Litwy, Jadwiga towarzyszyć mu nie będzie. A przecież cel wyprawy poruszyć byłby winien jej tak manifestacyjnie pobożne serce... Spotykają się ponownie dopiero w lipcu 1387, wtedy jednak (i przez następnych szereg miesięcy) obchodzi akurat królowa żałobę po matce zamordowanej okrutnie w Nowigradzie przez zbuntowanych Chorwatów. Wreszcie, czemu właściwie trudno się dziwić, rozchodzą się zaczynają po mieście pogłoski, że widać ma królowa kochanka.

Sądzić wolno, że mocno już zirytowany Jagiełło zobaczył w tych plotkach szansę do wywarcia, choćby i z pewnym uszczerbkiem dla własnego honoru, nacisku na cnotliwą żonę. Dość, że w pierwszej chwili niczego nie dementuje. Ją tak to oczywiście oburza, że zgoła go już na oczy widzieć nie chce. „Ilekcroć Jagiełło zbliżał się do niej — świadczy kronikarz — ona z gniewem odwracała się odeń.” Doprawdy, nieco dziwna to metoda zabiegania o potomstwo.

Owszem, trybunał w Wiślicy skaże wkrótce domniemanego oszczercę Gniewosza z Dalewic na oznajmienie spod ławy sądowej, że „jak pies zełgał” i zaszczekanie dodatkowo kilka razy; niewiele to jednak poprawia stosunki między małżonkami. Zaprzątnięta fundacjami kościelnymi, pielgrzymkami, procesjami, nie ma już królowa na inne sprawy sił ani czasu. Jak sędzi Szajnocha: „Pierwszą w tym względzie pobudką była samaż błogosławiona krew, która płynęła w żyłach Jadwigi. Miała ona w niebie kilku świętych ze swojej rodziny, mianowicie świętego króla Francji Ludwika IX, zmarłego przed stu laty; tudzież drugiego świętego Ludwika, jego bratanka, biskupa tolozańskiego, jeszcze później zgasłego. Ci święci przodkowie wołali wnukę do siebie, a przykład wielu świętych niewiast spółczesnych wskazywał ścieżkę.” My równie metafizyczne mamy tłumaczenie. Czyż nie jest bowiem metafizyką irracjonalna wierność niespełnionej i umarłej miłości? Czy wołał ją święty Ludwik, czy może rozpaczliwy Tristan z Leonois?

Czas koi. Od 1396 około znajdować więc zaczynamy zapisy o wspólnych małżeńskich biesiadach w małopolskich zamkach; o tym, że się nawet obraziła Jadwiga na kanonika Sieciecha z Chmielnika za nie dość wystawne przyjęcie... Naturalną kolejną rzeczą i ciąża nie daje na siebie czekać. Niestety, biologia zdarzeń jakby ubrać się chciała w szaty surowych przeznaczeń karzących za odstępstwo od raz podjętej roli. Dziecko, wcześniak, umrze w trzy tygodnie po porodzie. Matka — 17 lipca 1399 — cztery dni później.

Hagiograficzna legenda o świadomej i dobrowolnej ofierze Jadwigi, godzącej się na ślub z Jagiełłą dla dobra ojczyzny, w świetle faktów utrzymać się nie da. Zresztą taki typ ofiary ma w sobie zawsze coś niepokojąco komercyjnego. Nawet patetyczne bohaterstwo Leonidasa, czy Scaevoli, adresowane było w sumie do niezbywalnej przyszłości. Swoista wymiana doczesności na pomnik spiżowy i pamięć następnych pokoleń. Jest tu coś za coś.

Prawdziwie czysta ofiara jest właśnie nieświadoma lub przeciwna. Kiedy Arystodemos Mesenski zabija córkę, kiedy Abraham zgadza się poświęcić Izaaka, wiemy co zyskają ojcowie więc i współczuć im raczej trudno. Los tragicznie podniosły jest udziałem nie pytanych o zdanie. W tym też sensie Jadwiga, bez dramatu której nie byłoby Grunwaldu, zasługuje na pewno na miejsce w narodowym panteonie i słusznie składają wycieczki szkolne swoje insygnia na jej marmurowym grobowcu.

Z kanonizacją radziłbym się jednak powstrzymać. Marmur grobowca jest biały, a światłość ofiary wiekiusta. Zbożne dzieła i fundacje Jadwigi nie były jednak tak zupełnie bezinteresowne.

Płacili zaś za nie ciemiężeni podatnicy.

Jagięło pod Grunwaldem

25 października 1415 w dalekiej Francji, w okolicach wioski Azincourt, stanęły naprzeciw siebie francuskie i angielskie hufce. Gdy tylko mdłe, jesienne słońce wyjrzało spod wznoszących się mgieł, rzucili się Anglicy do ataku na zdziesiątkowane już przez kuszników armaniackie szeregi. Środkową rotę prowadził sam król Henryk V w drogocennym płaszczu haftowanym złotogłowiem w lilie i lamparty, zarzuconym luźno na damasceńską zbroję. Na głowie miał hełm pozłacany z koroną wysadzaną rubinami, perłami i szafirami. Obok niego galopował ciężko książę Yorku — człek leciwy i chorobliwie opasły z relikwiami świętego Fokasa Ogrodnika w napierśniku. Wstał kurz wciskając się w szczeliny przyłbic, duszący i oslepiający. Gdy opadł wreszcie i umilkł łomot żelaza, zobaczył Henryk powalony straszliwym uderzeniem jazdy kwiat Francuzów. Straty angielskie były niewielkie. Tylko książę Yorku uduśił się pyłem i tłustym potem w swoim bogobojnym pancerzu. Piękne panie obserwujące zmagania z okolicznych wzgórz ozdobiły jego zwłoki gałęziami choiny, a i — w uznaniu cnót wojennych męża — skrawkami intymnej bielizny. Po zrytej kopytami murawie uwijali się piechurzy i giermkowie dobijając sztyletami tych wszystkich, których lichy rynsztunek nie pozwalał rokować okupu. Zwycięzcy wraz z bogatszymi jeńcami pili dobre wino, wznosili patetyczne toasty i klepali się po stalowych ramionach.

Potrafililiśmy i my rycerskim zadośćuczynić kanonom. 10 października 1410, pod Koronowem, rycerze polscy i krzyżacy „z głośnym krzykiem i natarczywą, pełną zapału stoczyli walkę”. „Była to bitwa — pisze Stefan Kuczyński — o charakterze zachodnio-rycerskim, pełna pojedynczych walk, wielogodzinna, przerywana dwukrotnym wypoczynkiem, podczas którego rozprawiano o czynach dokonanych, a przeciwnicy przesyłali sobie nawzajem wina do ugaznienia...”

„Mało w naszym wieku pamiętają tak sławnych bitew — odnotował Długosz — ...A lubo wygrana pod Koronowem była rzeczywiście mniejsza niż pod Grunwaldem, wszelako ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapal walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką.” — Zastanawiające zaiste słowa. Czyżby nie zdawał sobie mistrz Jan sprawy w jak dwuznacznym świetle stawiają one największą narodową wiktoryę?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, zdań parę o obyczajach. Wiele można Krzyżakom zarzucać, lecz na pewno nie braku znajomości i kultu reguł rycerskiego rzemiosła. Nie przypadkiem najmniejsze europejskie rody wysyłały im swych synów na wojenne wychowanie, a chętni zjeżdżali się ze wszystkich stron, by choć parę miesięcy w szeregach zakonnych posłużyć. Pod Grunwaldem, pod dowództwem Krzysztofa von Gersdorff, walczyła tych ochotników pełna chorągiew, czyli 200 kopii co najmniej. Czy w dobrej praktykowali szkole? — Spójrzmy na Wielkiego Mistrza naukę i przykład.

Decydujący szturm na Złotorię (2 września 1409) przypuszcza Ulryk von Jungingen przy dźwiękach muzyki, na oczach sprawdzonych specjalnie z Torunia „niewiast i dziewic”. Nawet znój najprawdziwszej śmierci przybrać w turniejową dezynwolturę — czyż może być coś dumniejszego dla rycerza? Pod Grunwaldem zdobny we wszystkie insygnia pozycji i władzy rusza do ataku w pierwszym szeregu. Spozrzegł go Dobek Oleśnicki i nieśmiertelną chcąc pozyskać sławę „spiał konia ostrogami i z podniesioną kopią sam jeden pobiegł ku nieprzyjacielowi”.

Nadjeżdżał Ulryk na czele szesnastu doborowych chorągwi, otoczony rycerstwem i poczem straży przybocznej. Na widok śmiałka spina jednak konia, wysuwa się do przodu i bez wahania podejmuje starcie. Relacjonuje szczegółowo Długosz: „Dobiesław Oleśnicki zamierzył ku niemu kopią, ale Krzyżak lekkim uchyleniem głowy i odbiciem kopii do góry uchronił się od ciosu. Dobiesław zaś widząc, że w uderzeniu chybił, i z tak licznym tłumem nieprzyjaciół nie śmiejąc walczyć, co zaprawdę byłoby szaleństwem, szybko do swoich powracał”. Nie małą trzeba mieć siłę by kopię podbić do góry i nie małe ćwiczenie, by w takt uchylić głowę; największy zaś dla tradycji uświęconej szacunek, by podjąć niepewny pojedynek i nie ważne, że z nierównym sobie, bo przecież także rycerzem. Honor jest jeden.

W tym samym czasie, paręset metrów dalej, ma miejsce zdarzenie podobne, czy wręcz symetryczne chciałoby się powiedzieć, lecz jakże w wymowie swej inne. Jagiełło obserwujący bitwę z oddalonego zdawałoby się od krwawych niebezpieczeństw wzgórza widzi nagle przejeżdżających opodal Krzyżaków. Natychmiast zwinąć każe koronny proporzec i gorączkowo śle po pomoc. Naraża się na respons, który aż dziw, że kronikarze považają się cytować: „Nieszczęśniku — powiada królewskiemu gońcowi Mikołaj Kiełbasa herbu Nałęcz — czy nie widzisz, że wrogowie na nas nacierają? A ty zmuszasz, byśmy poniechawszy walki, która w tej chwili ma się zacząć, poszli bronić króla. Czyż to jest co innego, niż ucieczka z szeregów...” I ma Kiełbasa rację. Krzyżacy mijają obojętnie anonimowy poczet pod lasem. Wysuwa się z ich oddziałów, skuszony może Władysławowa zbroją, jeden tylko harcownik Leopold von Kokeritz z Łużyc. „Złotym pasem opięty i rozpezdony na koniu bułanym”. O nie! — Nie dotrze do Jagiełły. Gdy już się zbliżał, stracił go z konia Zbigniew z Oleśnicy zdradzieckim ciosem z boku. Leżącego dobili dworzanie.

Czyż ważna jednak nieszlachecka śmierć Kokeritza Łużyckiego, gdy już za chwilę o ileż słynniejsza dokonać ma się tragedia... Oskrzydlający atak Wielkiego Mistrza okazał się chybiony. Wojska polskie wytrzymały uderzenie i w udanym kontrataku prawym skrzydłem wyszły na tyły nacierających. Do zlikwidowania kotła rzucono zbrojne w oszczepy rohatyny i siekiery odwody chłopskie. „Ruszyli — pisze Sienkiewicz — By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać: — Zdro-waś-Ma-ry-ja-Łas-kiś-peł-na-Pan-z-To-bą!... I szli jak powódź...” Z ich to rąk zginął Ulryk von Jungingen, rycerz, który drzazgę z krzyża pańskiego nosił w ryngrafie i wiedział też, że wojna rycerską jest sprawą. Nie stają w polu kobiety, księża, dzieci, Żydzi, kupcy i chłopci. W miejscu haniebnego mordy Ulryka wytrysnęło — jak podają niemieckie kroniki — źródło żywe, którego wody w każdą rocznicę zdarzeń czerwienią krwi się mienia.

Porównując postępowanie Jagiełły i Jungingena na tę samą wciąż natykamy się sprzeczność. Jungingen odesłać kazał przed bitwą zapasowe konie, gdyż rycerz nie ucieka z pola. Jagiełło, wręcz odwrotnie: rozstawił na wszelki wypadek sztafety aż do samego Krakowa. Jungingen wyprowadził wojsko w pole, by równą, w której Bóg rozstrzygnie, podjąć walkę; Jagiełło trzymał swoje w zaroślach czekając, aż lipcowy

upał rozпали ciężkie zbroje oczekujących, a słony pot odwróci proporcje sił... W tym kontekście trudno nam uwierzyć w słynną i wygodną narodowym dziejom pedagogiczną opowieść o dwóch mieczach. Toż — tysięczne wymienić można przykłady — wymienianie przez adwersarzy podarków przed bitwą starym było i uznanym powszechnie rycerskim obyczajem. Stajemy oto na sąd boży, w którym Opatrzność wyda wyrok; stajemy nie z nienawiści, nie z chęci pogwałcenia, ale by dać Najwyższemu możliwość nieodwołalnego rozstrzygnięcia racji. Niech zaświadczy szczerzy nasz dar, że nie masz w sercach urazy i niechęci niskiej. Krew rycerska, ale wola Boża.

Możemy ostatecznie uwierzyć, że przysyłając Jagielle nieszczęsne miecze, chcieli mu Krzyżacy przypomnieć o niezbywalnych regułach gry. W tym przypadku podtekst przesłania brzmiałby rzeczywiście: „pomnij królu na rycerskie prawo i wychodź w pole”. Ale podtekst tylko! Nigdy nie zostałyby to w podobnie brutalne i jawnie szydercze ubrane słowa. „Wielki mistrz pruski Ulryk posyła tobie i twojemu bratu dwa miecze ku pomocy, byś z nim i jego wojskami mniej się ociążał i odważniej, niż to okazujesz, walczył...” Późne średniowiecze ogromnie było rygorystyczne w formach zewnętrznych należnych krwi i urzędowi. Hołdowało toteż sztuce eufemizmów i przypowieści, za pomocą których wiele można było wyrazić nie posuwając się do obrazy czci. To właśnie te bombastyczne toasty pod Azincourt. Pamiętajmy też, że wysłała tych posłów wódz, który za chwilę w imię metafizyki honoru, nie uchylił się od przypadkowego pojedynku losy całej armii wystawiającego na szwank. Dlaczegoż przedtem miałby się temuż honorowi lżyć przeciwnika przeniewierzyć? A nie zapominajmy i o tym wreszcie, że tegoż jeszcze wieczora, za znacznie mniej ostre słowa nie zawahał się Witold ściąć komtura brandenburskiego Makkwarda von Salzbach i jego przyjaciela Schaumburga. Tamci byli posłami? — Ci jeńcami za to! I to spośród tych najmoźniejszych. Jakiegokolwiek logiki tu brak.

I jedno tylko pozostaje prawdopodobne wytłumaczenie. Otóż niezbyt jeszcze obyty Jagiełło nie zrozumiał po prostu rytualnego sensu krzyżackiego poselstwa i odpowiedział rzeczywiście, że „nie potrzebuje mieczów swych wrogów, bo ma ich w swoim wojsku wystarczającą ilość”, co zmusiło później zażenowanego Długosza do odpowiedniego spreparowania poprzedzającej wypowiedzi posłów. W ten sposób rycerski gest przekształcił się w symbol germańskiej buty, a dwa miecze wkroczyły triumfalnie do rudymenarnego arsenału archetypów narodowych.

Byłoby to może tłumaczenie karkołomne, gdyby nie cytowana już uwaga Długosza o bitwie pod Koronowem, którą „można wyżej kłaść nad grunwaldzką”. Historyk miary Długosza rozumiał wszakże doskonale, jaka przepaść dzieli drugorzędną potyczkę koronowską od monumentalnego Grunwaldu. Cóż więc znalazł pod Koronowem, czego mu pod Grunwaldem zabrakło? Odpowiedź może być tylko jedna: rycerski obyczaj. Ten bywalec włoskich dworów rozkochany w wyrafinowanej legendzie doskonałości rycerskiej angielskich Henryków i francuskich Karolów, znający doskonale podniosłe relacje spod Azincourt, Crecy, Poitiers... Grunwaldu nieco się ... wstydził. Jakże dziwnie kluczy choćby w kwestii naczelnego dowództwa w bitwie, jakże umniejsza rolę Jagiełły. Czy nie dlatego również, że nie sprostał król jego ideałowi, w pierwszym szeregu, Henryka V spod Azincourt. A jeszcze ta wstydliva śmierć Kökeritza, a jeszcze może i nasze dwa miecze...

Czy chcielibyśmy wysnuć konkluzję o Władysławie Jagiełły prostackwie i Europy niezrozumieniu? — Jak najdalej od tego jesteśmy. On był przecież zwycięzcą i on był w tej historii przyszłością. Wyszło źródło w miejscu śmierci Ulryka, a może i bije gdzieś leniwie pod zapomnianymi łopuchami. Pamięć o Grunwaldzie została.

Wielkość i tragedia Jagiełły pod Grunwaldem zamykają się w zmienności kultury. W jego czasach i przez kilkadziesiąt lat jeszcze uważano powszechnie w Europie, iż wysłanie chłopów i pogan przeciw w krzyże malowanym rycerzom czynem jest nieszlachetnym i moralnie podejrzanym. Za sto lat będzie to już chleb powszedni. Również przyszli wodzowie obserwować też będą zmagania pod rozkazy swe poddanych przez długie lunety z bezpiecznych wzgórz. Nie będzie już Jungingenów ani Henryków V. A i na drzazgi z krzyża świętego do ryngrafów surowca wkrótce nie stanie...

I choć nam wychowanym wśród cieni Rolandów, Tristanów i Percewałów rozumiały się niekiedy wydają długoszowe rozterki, a z dwóch oleśnickich bitwy bohaterów Dobek bliższy jest zapewne od Zbigniewa, przecie sami wiemy, że pięknoduchów to złudzenia.

Historia, ta rzeczywistością twarda, ta z krwi i kości, ta przynosząca nam co dzień znojny trybut lęków i cierpienia, ale także radości mięsistych i soczystych nadziei; ta jedyna historia, którą żyć nam przychodzi opowiedziała się po stronie Jagiełły. Zaś dwa miecze widnieją na orderach.

Władysław przez oszustwo Warneńczyk

W październiku 1465 bullą „Ezechielis” wzywa Pius II rycerstwo chrześcijańskiej Europy do udziału w krucjacie. Parę mgławicowych i warunkowych obietnic jedyną jest mu odpowiedzią. Nie zrażony postanawia sfinansować wyprawę z własnych funduszy i osobiście stanąć na jej czele. Wysłannicy rzymscy gromadzą więc galery w Ankonie i pracowicie werbują najemników w całej Europie. W lipcu 1464, po uroczystym podjęciu krzyża w bazylice św. Piotra, wyrusza papież w drogę. Jest ciężko chory, więc litościwi dworzanie oszczędzają mu wiadomości, że nie postępuje za nim żadna armia. W dojeżdżającym do Ankony powozie spuszcza ją szczelne zasłony. Niech nie widzi beużytecznie pustych okrętów, z których nawet słono i z góry opłaceni kondotierzy zdążyli już zdezerterować. Zmarł Pius II w miłosiernej nieświadomości 14 sierpnia 1464. Galery, zgromadzony rynsztunek i munieje odkupiła za bezcen Wenecja. Czerpiące niebagatelne zyski z handlu z Turcją miasta włoskie odetchnęły z ulgą. I nawet panegirysta się nie znalazł.

Smutna ta opowieść udowadnia, że w XV wieku była już idea wojen krzyżowych martwa i zapomniana. Czas nowe przyniósł wyzwania, jakże odległe od białych murów Jerozolimy i pysznych kopuł Konstantynopola. W legendy szlachetne blaskiem wiernych pancerzy i rytmiczne bicie kopyt w saraceńską ziemię, nikt już odpowiedzialny nie wierzył. Poetycka wyobraźnia Piusa II, autora w młodości dworskich nowel miłosnych, przesłoniła mu niewdzięczną rzeczywistość.

Dwadzieścia lat wcześniej ma jednak Władysław III, król Polski i Węgier, niespełna dwadzieścia lat. Wiek marzeń o wyrwaniu się narzeczcie spod kurateli natrętnych doradców i samozwańczych regentów, o czynach wiekopomnych i sławnych. I los się do niego uśmiecha. Za przysiągł właśnie w Szegedy nie niezwykle korzystny dziesięcioletni

pokój z sułtanem Muradem II, zabezpieczający południowe granice węgierskie i przywracający chrześcijańskiemu światu terytoria aż po Bułgarię. Istny polityczny triumf.

Nie ma wszakże na tym świecie triumfów, z których wszyscy byliby zadowoleni. Czemu jednak nieukontentowany jest zyskujący i na owieczkach i na dziesięcinach Rzym? Rzecz nie jest aż tak bardzo skomplikowana. W latach trzydziestych XV wieku rozwija się w Kościele katolickim silny ruch kontestacyjny domagający się demokratyzacji instytucji. Na soborze w Bazylei dochodzi do otwartego już starcia między reformatorami i Eugeniuszem IV. Zagrożony w swej władzy papież kluczy, zrywa sobór, znowu go uznaje, przenosi z miasta do miasta i rozpaczliwie szuka brakujących w białym rękawie atutów. W tej sytuacji nawiązuje rozmowy z Konstantynopolem. Dyskutuje równy z równym, bo zagrożony przez Turków cesarz biznatyjski Jan VIII Paleolog ma także nóż na gardle. Wspólnota przerażeń czyni cuda. Już w lipcu 1439 ogłoszona zostaje jednocześnie w wersji łacińskiej i greckiej, mocno teologicznie wątpliwa (tak to jest zawsze, kiedy Kościół się spieszy), bulla „Laetentur Coeli” o jedności chrześcijaństwa. Grecy zobowiązywali się do uznania prymatu papieża, papież do przyniesienia Konstantynopolowi militarnej pomocy. Żeby jednak Jan VIII nie wycofał się z interesu, co zysk prestiżowy Eugeniusza czyniłoby iluzorycznym i nietrwałym, trzeba było dać Paleologowi pozory choćby wsparcia i odsieczki. Marchewkę nadziei.

I tutaj właśnie, niczym dar niebios, napatoczyło się szlachetne i niedoświadczone polsko-węgierskie królewiatko. Toż nie grozi poparcie, gdy się kasztany z ognia cudzymi wyjmuje rękami. Już liczył radośnie Rzym cudownie zaoszczędzone talary, już słał nad Bosfor kunsztowne listy przypisujące Eugeniuszowi wszelkie aspiracje, zasługi i koszta przy okazji. Pokój w Szegedynie psuł niespodziewanie całą intrygę.

Natychmiast rozpętują więc ludzie papieża intensywną kampanię propagandową. Przysięga dana synom Magoga, czarciemiu i psiemu pomiotowi, nie ma moralnego znaczenia; pokój zawierany z poganami grzechem jest i jako taki żadnej mieć nie może prawnej mocy... „Nawet gdyby cała ta sprawa zależała jedynie od króla Władysława — przytacza nam Kallimach słowa legata Giulio Cesariniego we całej ich hegemonicznej bezczelności — to i w tym wypadku nie wolno mu było zawierać przymierza z tego rodzaju ludźmi ani w ogóle

wdawać się w układy bez zezwolenia papieża.” Przynajmniej prosto i jasno. Wiemy już, kto chce tu rządzić. Trzeba przyznać i nie kryje tego Kallimach, że większość rycerzy nie uznała rzymskich racji. Czując się związani danym słowem, a honor uważając za niepodzielny, opuszczali obóz. Wojska królewskie topniały niczym wiosenny śnieg.

Wówczas posunięto się do kłamstwa. Zaręczył Cezarini, iż wie z najpewniejszych źródeł, że wojsk tureckich zajętych wojną w Azji, w Europie praktycznie nie ma; zaś opłacone przez stolicę apostolską oddziały sojusznicze lądują już wielką liczbą w Dardanelach. Że więc, innymi słowy, bez walki prawie stanie się Władysław zbawicielem chrześcijaństwa. Z całym cynizmem, w obronie pozycji Eugeniusza podminowanej dodatkowo przez powołanie antypapieża Feliksa V, zagnać próbowano tysiące rycerzy w śmiertelną pułapkę. Bo też i wynik tej wojny był Rzymowi de facto obojętny. Zwycięstwo przynosiło korzyści polityczne, klęska propagandowe: symbole ofiary i męczeństwa. W obu zaś przypadkach zobowiązania wobec Konstantynopola były dotrzymane.

Owszem, odezwały się głosy rozsądku. Protestowali przeciw zerwaniu pokoju i arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka i wódz nad wodze Janos Hunyadi. Dramatycznie wystąpił gospodar wołoski Wład Drakula: „Ich sułtan — przestrzegał — gdy jedzie na polowanie, ma zwykle liczniejszą świtę, niż tu jest wojska idącego na wojnę. Trzeba się koniecznie powstrzymać od tego śmiałego i niebezpiecznego kroku, wspólnie się naradzić i tak wszystko obmyślić, by z równymi siłami przystąpić do działań wojennych...”

Król i większość pozostałych rycerzy przyjęli słowa Drakuli z życzliwym lekceważeniem: „Trudno się dziwić — mówiono — że wątpi on w nasze zwycięstwo, skoro nie ma pojęcia ani o stanie naszych przygotowań, ani o ilości posiłków, z którymi śmiało możemy do wojny przystąpić. Nawet by mu do głowy nie przyszło mówić coś podobnego, gdyby wiedział, jak wielką flotę wystawiono, ile tam wojsk italskich i burgundzkich i jak liczna konnica i piechota grecka czeka pod bronią.”

Ech, ci nieistniejący Italczycy, Burgundowie i Grecy z prowokacji rodem!

Wysiłki Cesariniego przynosiły plon.

Tragedia mogła się rozpocząć.

Forsownym marszem wychodzą Władysławo we wojska na przedpoła Warny niemal jednocześnie z idącym od Adrianopola nieprzyjacielem. Bitwa jest nieunikniona. Za radą Hunyadięgo przyjmuje król taktykę ofensywną. Furia wymierzonego w jeden punkt uderzenia spowodować ma panikę i załamanie psychiczne w tureckich szeregach rekompensujące dysproporcję liczebną. Przedwczesne i nieskoordynowane natarcie biskupa Waradynu Jana de Dominis plan ten niweczy. Inicjatywa przechodzi w ręce Murada. Widzimy teraz Władysława i Hunyadięgo pędzących z jednego skrzydła na drugie, podtrzymujących walczących na duchu, usiłujących zapobiec ucieczce słabnących hufców. Obaj wiedzą już, że sprawa jest nieodwołalnie przegrana. Jakże inne jednak wyciągają z tego wnioski. Doświadczony Hunyadi cofa swoje oddziały w okoliczne lasy, w których jazda jest praktycznie bezużyteczna i Turcy wykorzystać nie mogą manewrowej przewagi; młody Władysław skrzykuje najbliższych towarzyszy i rzuca się do ostatecznej, nieodwołalnej szarży.

Ciężkie zboża porosły minione pobojojiska Crecy, Azincourt, Poitiers, Koronowa i więcej już takiej szarży nie będzie. Napisze krytycznie Kallimach: „Od życia króla zależy nie tylko los i bezpieczeństwo podwładnych mu państw, ale i los całej Europy i chrześcijaństwa. Ale Władysław, na nic nie bacząc, jak szalony rzucił się na wrogów...” O nie, nie podzielimy racjonalizmu kronikarza. Toż zauważa on również, że: „Turcy nacierali dzielnie wierząc, że Bóg, którego wzięto na świadka przymierza, zesła przerażenie, ucieczkę i śmierć na krzywoprzysięców i gwałcicieli.” I to właśnie zrozumiał dzielny, oszukany chłopak, patrząc na klęskę i rzeź, widać Bóg nie sprzyjał, swoich ludzi. Nie było Italczyków, nie było Burgundów, nie było Greków. Nie było też honoru. I tylko ten ostatni można było przywrócić. Droga jest jednak cena honoru i zawsze ta sama: śmierć.

Wynika z opisów, że było ich niewielu. Szli stępa i dopiero zjeżdżając ze wzgórza przeszli w krótki galop. Gdyby wątpił ktoś, że była decyzja Władysława dość błyskawiczna, to jednak najgłębiej, najszczerzej i najboleśniej przemyślana, niech przekona go cel ataku — nienaruszone, stalowe czworoboki wyborowej piechoty janczarskiej. Nie było właściwie walki. „Król zginął pod gradem pocisków, które nie tyle go przeszły, ile zasypały.”

Jakże nie kochać tego Jagiellona, dzieciaka prawie, który obarczony odpowiedzialnością nad siły za wprowadzenie armii w zasadzkę, zawiezenie kłamcom i klęskę, wybrał bez wahania tą z metafizyki rycerskiej

wysnutą i nikt nie powie, że nie najtrudniejszą odpowiedź. Ofiara nie poszła na marne. Bitwa pod Warną 10 listopada 1444 przeszła do kanonu historii jako bohaterska, z króla arturowego ducha i wysoce katolicka.

Turcy odcięli Władysławowa głowę i zatkniętą na pikę odesłali do Adrianopola.

Cezarini, który oczywiście przeżył, rozpuścił pogłoski, iż chrześcijanie przegrali na skutek grzechu króla, który noc przed bitwą spędzić miał rzekomo w namiocie przystojnego węgierskiego pachotka. Wystarczy znaleźć winnego, by pozostać sprawiedliwym. Winny zaś na honory nijak nie zasługuje. Nie doczekał się więc Władysław — męczennik, beatyfikacji, o kanonizacji nie wspominając nawet. Czyż ważna bohaterska śmierć wobec możliwego homoseksualizmu.

W dziewięć lat później padł Konstantynopol i odzyskali Turcy scedowane w Szegedynie terytoria. Czyżby więc bitwa pod Warną i śmierć Władysława żadnego nie miały realnego znaczenia?

Wprost przeciwnie. W 1449 abdykuje antypapież Feliks V i potraktowany łaskawie zostaje legatem i wikariuszem dla Sabaudii z siedzibą w Genewie. Opozycja bazyleńska zostaje zgnieciona.

Papież Eugeniusz IV załatwił interes.

Proporcje Kazimierza Jagiellończyka

Historię tę znamy wszyscy ze szkoły. Dorzucmy jednak parę szczegółów.

W dzień świętego Hilarego męczennika, 16 lipca 1461, przybył do Krakowa kasztelan wojnicki Andrzej Tęczyński, by odebrać od płatnerza Klemensa zbroję z naprawy. Czas był wojenny. Na północnym Pomorzu Gdańskim przeszli właśnie Krzyżacy do ofensywy. Zawalony zamówieniami Klemens od paru już tygodni przestał dotrzymywać terminów. Tłumaczenie to nie zadowoliło kasztelana. Miałby on, pan na dumnym Rabsztynie, spóźnić się pod królewskie sztandary z powodu jakiegoś rzemieślnika-ciamajdy? Za wymysłami i przekleństwami poszły razy. Zmęczony się biciem, udał się Tęczyński na skargę do ratusza.

Toż samo, ochłonawszy nieco i uładziwszy poszarpane suknie, uczynił i Klemens. Jeden szedł, drugi wracał, fatum wiodło ich kroki. Spotkali się znowu w pół drogi. Krzyknął płatnerz: „Panie, pobiłeś mnie i dałeś mi policzek sromotnie w mym własnym domu, ale nie będziesz już mnie więcej bił!” Tego było już Tęczyńskiemu za wiele. Jeszcze będzie się mu prostak odgrażał! Miast do ratusza odniesiono powtórnie i poważnie tym razem zmalretowanego Klemensa do domu. Rzecz działa się na ulicy, na oczach przygodnych przechodniów. Krzyk przywabił kuśnierzy pijących piwo za rogiem. Jedni opowiadali drugim, potem trzecim i czwartym. Opowieść potężniała. Ludzie zaczęli szemrać. Pogłoska o śmierci Klemensa dołała oliwy do ognia. Tu i ówdzie błysnęły już sztylety. Rozpoczął się tumult.

Zamiast uciekać na zamek, pozostaje Tęczyński w mieście. Nie będzie przecież pokazywał strachu przed plugawym motłochem. Niewczesna zaiste duma. I zgubne niezdecydowanie. Najpierw bronić się

postanawia w kamienicy zaprzyjaźnionego rajcy Mikołaja Kridlara przy ulicy Brackiej, potem przemyka się cichcem do pobliskiego kościoła Franciszkanów. Za późno. Jego ruchy są już śledzone. Tłum wyłamuje odrzwia, wdziera się do świątyni. Już znieważone święte miejsce, już nie ma odwrotu. Uderzenie pałąk w tył głowy zwala kasztelana z nóg na progu zakrystii. Leżący nie budzi respektu, krew drażni i podnieca. Setki ciosów spadają na nieprzytomne ciało. Duszne podniecenie mordu. „Głowa najdłuższej opierająca się zabójczym razem pękła i mózg z niej wytrysnął” — pisze Długosz. Chwilę wrzeszczeli jeszcze i wygrażali pokrwawionymi pikami milczącym świętym. Potem rozeszli się po ulicach. Łaskawe, lipcowe słońce wysuszyło szkarłatne ślady cizm. Groza zawisła nad miastem.

Najrozsądniejsi okazali się płatnerz Klemens i przyjaciel wprawdzie zabitego, ale dlatego może właśnie znający szlacheckie poczucie sprawiedliwości, rajca Mikołaj Kridlar. Jeszcze tego samego dnia opuścili Kraków.

Sąd, który obradował w Nowym Korczynie w drugim tygodniu grudnia 1461, nie bawił się w detale. Przyzwoliwszy łaskawie na uprzednie ciężkie pobicie obrońcy mieszczan Jana Oraczewskiego herbu Śreniawa, skazał hurtem „rajców, cechy i pospólstwo miasta” na karę śmierci. Ze względów technicznych i ekonomicznych wyrok miał być wykonany na „głównych winowajcach zbrodni”.

Wyjaśnić trzeba od razu pojęcie „głównych winowajców”. Nikt nie miał przecież zamiaru poszukiwać i ścigać miernot jakowychś: czeladzi, hultajów i żaków, choćby i rzeczywistych zabójców. Ich nic nie znacząca krew nie mogła dać rodowi Tęczyńskich i rodu braciom w szlachectwie najmniejszej satysfakcji. Osądzono całe miasto, więc całkiem naturalnie głównymi winowajcami stawali się stojący w hierarchii miejskiej najwyżej, najznamienitsi i najbardziej szanowani. Krew burmistrza, choć może od błękitu daleka, to już jednak zupełnie co innego, niż byle piekarskiego pomocnika.

Znakomity prawnik i znawca dziejów Krakowa, Stanisław Waltoś, podaje nam grudniową listę skazańców: burmistrz Stanisław Leimiter; radni: Marcin Bełza, Jan Bem, Marcin Chamister, Dypbold, Michał Edrader, Jerzy Herschperek, Walter Kesling, Herman Krancz, Jan Kridlar, stary Kuncz, Kuncz Lang, Hans Lips, Stanisław Morstyn, Jarosław vel Maciej Szarlej, Tomasz, Jakub Ważnik, Jan Wierzynek, Mikołaj

Zalcz i jeszcze paru oznaczonych tylko inicjałami. Ponadto: Bernard — płatnerz, Paweł Burch, Czipsar — kuśnierz, Stefan Kolczar młodszy, Kucha — piekarz, Paweł Lang, Marcin — płatnerz, Mikołaj — mistrz ceklarzy, Stanisław Szeląg — ostróżnik, Jan Teschnar, Klaus Vinkon, Wojciech —, malarz i Wolfram — kuśnierz. — Łącznie około czterdziestu mieszczan! Jest to jednak de facto, jakby to określić — lista propozycji. Wiadomo, że paru z pomieszczonych na niej uciekło już z Krakowa, niektórzy liczyć mogą na możnych i wpływowych protektorów.

Rozpoczynają się koszarne targi.

Abraham w rozpaczliwej licytacji z Jehową zdołał sprowadzić liczbę niezbędnych do ocalenia Sodomy sprawiedliwych z pięćdziesięciu do dziesięciu (Rdz. 18,26-32). Podobnie surowa jest proporcja w piętnastowiecznym Krakowie. Spośród trzydziestu siedmiu wyrok zatwierdzony zostaje ostatecznie na dziesięciu. W ostatniej chwili, dzięki różnorodnym interwencjom, trzech jeszcze zostaje ocalonych.

Dla burmistrza, rajców: Langa i Szarleja, oraz Mikołaja, Szeląga i Wojciecha nie ma już ratunku. Wydaje się wprawdzie w pewnej chwili, że miasto się zbuntuje. Wysłani po skazanych drabanci królewscy za pierwszym razem wracają na zamek z niczym. Kazimierz Jagiellończyk podnosi jednak głos. Stanowcze ultimatum wybija mieszczanom z głowy mrzonki o oporze. Za wozami wiozącymi skazańców zatrząskują się wawelskie wrota.

Każń ma miejsce 15 stycznia 1462 w pośpiechu, anonimowości, wśród wrogich pomruków dworskiej tylko, a więc szlacheckiej publiczności. Zdekapitowane zwłoki oddane zostaną radzie miejskiej, która z pietyzmem i szacunkiem pochowa je w kościele Mariackim.

Pozostał po tych wydarzeniach anonimowy wiersz hołubiony w podręcznikach:

*„A jacy to źli ludzie mieszczanie krakowianie,
Żeby pana swego, wielkiego chorągiewnego,
Zabiliście chłopcy Andrzeja Tęczyńskiego (...)
Kłamięcie chłopcy, jako psy, byście tacy byli,
Nie stoicie wszyscy za jeden palec jego!
Mniemaliście, chłopcy, by tego nie pomszczono,
Już ich sześć sieczono: jeszcze na tern mało...”*

Pozostała też, i to najważniejsze, proporcja. Proporcja jeden do sześciu; sześciu mieszczan za jednego szlachcica; proporcja, która złowrogo zaciąży nad dalszymi losami kraju. Charakterystyczne, że w naszym wierszu tylko w pierwszej strofie wzmiankowane jest pojęcie „mieszczanin”. Dalej inwokuje się już tylko „chłopów”. Kim jest chłop dla szlachcica? — Przedstawicielem innego plemienia. Toż szlachta pochodzi od Jafeta, Żydzi od Sema, chłopci zaś od Chama, ojca przeklętego przez Noego i skazanego na niewolnictwo Kanaana. Występują nawet antropologiczne różnice. Kości chłopów — wierzone — przypominają narzędzia rolnicze. Nie mówiąc o charakterach. To dopiero racjonalizująca epoka stanisławowska przyniesie dyskusje, czy chłopci zdolni są do wyższych uczuć. W XV wieku myśl taka żadnemu dobrze urodzonemu ani w głowie zaświta. Tak więc zrównanie mieszczan z chłopami ma swoją mocną wymowę. Równa ich przecież nie tylko wiersz. Równa też proporcja.

Istotna jest postawa króla w ciągu gorączkowego miesiąca zabiegów o ograniczenie represji. Wiemy, że uratowali Marcina Belzę bernardyni, a Michała Edradera dominikanie. Królowa wstawiła się (acz bezskutecznie za Jarosławem Szarlejem), interweniowali też, choć nie wiemy w czyim konkretnie interesie dość liczni urzędnicy dworscy, Spytko Melsztynski herbu Leliwa ukrył Mikołaja Kridlara... Król małym nie ruszył palcem. Gorzej; z brutalną stronniczością zlekceważył przedstawiany przez miasto przywilej Kazimierza Wielkiego z 7 grudnia 1358, stanowiący czarno na białym, co nieważnym czyniło korczyński sąd: „gdyby zaś rycerza lub szlachcica królestwa naszego mieszczanin zabił lub w jakikolwiek sposób poranił, w obecności naszej lub zastępcy naszego oraz dwóch, trzech lub więcej rajców, według prawa miejskiego sprawa ma być rozstrzygnięta.” Innymi słowy, by zadośćuczynić szlacheckiej zemście posunął się nawet do złamania prawa.

Wiadomo, że wobec trwającej i przedłużającej się z roku na rok wojny z Krzyżakami, poparcie szlachty było Jagiellończykowi w tym właśnie czasie wyjątkowo potrzebne. Sprawa Tęczyńskiego wybuchła w najgorszym dla mieszczan krakowskich momencie. Już przecież rok później, gdy trzeba było użyć elbląskie, i gdańskiej floty kaperskiej, a milicji tych miast do zdobywania zamków, niemiecki patrycjat miast pruskich zasypany zostania wręcz wspaniałomyślnymi przywilejami.

I to nie byle jakimi prawo nadawanie przed radę miejską wilkierzy, czyli praw regulujących sprawy intra muros; nakładania podatków i opłat... Ceduje też Kazimierz dla Gdańska spektakularne darowizny ziemskie. Z kolei w 1493 i 1496, co obciąża już bezpośrednio Jana Olbrachta, dzieje się jednak prawem bezwładu polityki poprzednika, ogranicza się drastycznie prawo mieszczan do posiadania dóbr ziemskich... Raz tak, raz tak. Czyli, jakbyśmy to powiedzieli dzisiaj, nie ma Kazimierz Jagiellończyk żadnej określonej koncepcji polityki społecznej.

Pech w tym, że ma ją szlachta. Jest jej program egoistyczny i krótkowzroczny, ale za to prosty: wszystko dla nas. I co więcej skuteczny. Z niekonsekwentnych decyzji królewskich wybiera sobie tylko dogodne i podnosi do rangi precedensu. Potężnego Gdańska ugryźć się nie dało, w słabszych jednak miastach dyktat proporcji krakowskiej stać się miał wyznacznikiem statusu i wartości.

W ten sposób zepchnięty został na margines i skarłowaciał polski stan trzeci. Rozmach nierealnej polityki dynastycznej Jagiellończyka i Pokój Toruński przysłoniły to żałosne po nim dziedzictwo. W tym samym czasie król Francji, Ludwik XI, tracił terytoria, lecz konsekwentnie powoływał samorządne parlamenty miejskie w Orleanie, Tours, Avignon i — symboliczna w porównaniu data (zwłoki burmistrza Lemitera zgnić jeszcze nie zdążyły) — 10 czerwca 1462 w Bordeaux.

Potem, oczywiście, po wiekach nawet szukano rozpaczliwie środków zaradczych. Recepty na przetrwonione. W marcu 1861 mówił margrabia Aleksander Wielopolski do delegacji żydowskiej: „Rolników mamy zawsze pod dostatkiem, naszemu zaś krajowi zbywa na poważnym tak zwanym stanie trzecim, zaród którego przez Opatrzność w was włożony, wskutek nieuznania marnieje. Wspólnych więc dołóżmy starań, aby ten zaród ożywić i rozwinąć!” — Tak przemawiał trzeźwy, jak mu się zdawało, polityk, w kraju nieśmiertelnej szlachetczyzny i immanentnej kontrreformacji. Wieki mijają, a rozumu nie przybywa...

Potem płakali Reymonci nad obcymi kapitałami w ojczyźnie, nad „deklasacją” ślicznych panieniek z modrzewiowych dworców. I nikt jakoś nie zająknął się, że wylana przez Kazimierza Jagiellończyka krew niewinnych, tego wspaniałego Jagiellończyka od morza do morza, była tu i przyczyną i winą. — Jak pan śmie? — Ja przepraszam? — Przecież to świetność Polski! — Ach, tak, rozumiem. — Świetności nie szargać.

PS. Spytko Melsztyński dobrze nie wyszedł na ukrywaniu Mikołaja Kridlara. Narzeczona, z Tarłów rodem, zdradziła go z lokajem zbiega. Za karę zamurowano już nie panienkę żywcem, w ślubnej szacie, w południowo-zachodniej baszcie melsztyńskiego zamku. Tam też, choć widziano ją i w Zakliczynie, dokąd przeniesiono zamkowy portal, pojawia się przezroczysta i biała do dzisiaj. Na zakliczyńskim rynku popija współczesny stan trzeci. Pięćset lat odtrącenia i okowity zrobiło swoje. Stan to raczej wskazujący na spożycie. W miejscowym dworze komponuje Penderecki. Tak to u nas zawsze. Wielkość i przyziemność. Matka Królów bezsilna wobec mordu mieszczan...

Aleksander na tydzień przypomniany

Powódź ta na długo pozostanie w pamięci Wilniuków. Wody wezbranej Wilii przerwały iluzoryczne zabezpieczenia i wtargnęły do miasta. 26 kwietnia 1931 zalany został plac Katedralny. Między stopniami fasady katedry i cukiernią Rudnickiego utworzyło się pokaźne jezioro. Zamulone odmęty wdarły się do piwnic domów przy ulicy Mickiewicza i do podziemi katedry, które w znacznym stopniu zostały zdewastowane.

Powołanemu w lipcu tegoż roku Komitetowi Odnowienia Bazyliki Wileńskiej przewodniczył biskup sufragan wileński ks. Kazimierz Michalkiewicz. Pierwszym viceprezesem została arcybogata margrabina Janina Umiasłowska, właścicielka pałacu w Żemłosławiu — kopii pałacu na wyspie w warszawskich Łazienkach; viceprezesem drugim — Jan Małecki, prezes Izby Skarbowej. Nie ma to, jak dobrze dobrać sponso-rów. Robota ruszyła więc z kopyta.

Już w sierpniu odnaleziono puszki zawierające serce i jelita Władysława IV. Tradycje pośmiertnego ćwiartowania mają u nas twarde życie. Ciało Chopina spoczywa w Paryżu, pod pomnikiem nagrobnym, z którego urywają polscy turyści palce na pamiątkę, serce w Warszawie. Piłsudski kazał swój zewłok złożyć na Wawelu, serce w Wilnie, a mózg zapisał w całej skromności medykom do badania, jako mózg geniusza... Puszki władysławowe były otwarte. „Widocznie — pisze Stanisław Lorentz — w czasie najazdu wojsk moskiewskich w siedem lat po śmierci króla miejsce złożenia szczątków królewskich zostało odkryte i zrabowane, a w puszkach poszukiwano kosztowności.” Nie to, żebyśmy współczuli rabusiom, ale jednak... Poszukiwać brylantów, a odkryć kiszkę stolcową w proszku...

20 września odkryto nieznaną dotąd podziemny korytarz zamknięty ceglany murem. Miało się już ku wieczorowi, więc prace przerwano.

21 rano technik budowlany Jan Peksza wybił cegłę z przegrody, zaświecił latarką i zobaczył... koronę. Natychmiast powiadomił przełożonych... Oddajmy raz jeszcze głos Lorentzowi: „Poleciliśmy rozbić ściankę, którą zamurowane było wejście i weszliśmy do krypty, niewielkiego sklepionego pomieszczenia gotyckiego, nietynkowanego, z czerwonej cegły. W okropnym stanie znajdował się grobowiec królewski! Woda i tu poczyniła straszliwe spustoszenia. W nieładzie i w mule leżały kości króla Aleksandra Jagiellończyka i królowej Elżbiety, pierwszej żony króla Zygmunta Augusta, z mułu wyłaniała się czaszka królewska w koronie, na wilgotnej drewnianej belce leżał miecz złamany i przeżarty przez rdzę. Tylko szczątki królowej Barbary Radziwiłłówny, zasypane w trumnie popiołem i wapnem, zachowały się we względnie lepszym stanie.”

22 września dwadzieścia jeden wystrzałów armatnich salutowało odnalezionego władcę.

23 września znowóż armaty i uroczysta msza celebrowana przez metropolitę wileńskiego, arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego. W tym dniu „zaszczyt pełnienia służby przy grobowcu przypadł dziewiętnastemu pułkowi artylerii polowej”. Wstrzymano ruch na placu Katedralnym. Radio wileńskie rozpoczęło emitowanie specjalnego, okolicznościowego programu. Tłumy mieszkańców miasta zbierały się w uroczystym milczeniu wokół kościoła...

A przecież panował Aleksander pięć lat wszystkiego (1501-1506). Nawet dobry znawca historii kojarzy z tym okresem jedynie niefortuną konstytucję Nihil novi sejmu radomskiego 1505. Skąd aż tak podniosłe festyny i salwy, skąd skupione przejęcie na twarzach przechodniów?

— Kultura polska jest kulturą patosu. Pólcienie i niuanse są tu rzadko ewokowanymi marginesami. Pod lipą ojczystych tradycji mienia się obrazy jaskrawe, balansujące, lub zgoła je przekraczające, na granicach estetycznej i intelektualnej możliwości. Fortepian Chopina, Rejtan z obnażoną piersią, Poniatowski w Elsterze, szklane domy, czarne procesje, Monte Cassino, Psie Pole, przedmurze, „idź złoto do złota...”, dzieci we Wrześni, „Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz...”. Gdzież tu miejsce na zwykłą radość, cielesność, ogródek za domem, wynalazcę lampy naftowej, czy kufel grzanego piwa po śnieżnej przechadzce... Nie poruszyć matryc polskiej podświadomości bez potężnych symboli i słów ostatecznych: naród, Bóg, zdrada, wiara, etos, męczeństwo, ofiara, „rozdziobią nas kruki, wrony”, „piramidy wstępujcie na góry”...

Fizyczna jednak, codzienna nasza egzystencja, nie bywa najprzeważniej ani podniosła taka, ani metafizyczna nad miarę. Banalna krzątania w kuchni to jeszcze nie Chocim, a i wychodzącemu z urzędu podatkowego formuła „Veni, vidi, Deus vincit” rzadko się swojska jawi. Odległe i wzgardliwe są koturny. Żeby chociaż wojna, lub zbrodnia... Jakże inaczej zaznać obcowania z narodowym nadprzyrodzeniem.

I oto jest. Przychodzi do was. Staje się na waszych oczach. Cóż może być bardziej ojczyzniano-patetycznego nad te kości majestatu upaprane błotem, czaszkę, która opuścić nie chciała korony i miecz tragicznie złamany. Jakby synteza wysnutej z wyobrażeń zbiorowych i napisanej już od przezarania legendy. Jest tu i miecz dziejowy: Szczerbiec, celtycki Escalibur, Durendal Rolanda... „Roland uderzył mieczem o głaz! Miecz zgrzyta, nie pryska ani się łamie. Odskakuje ku niebu. Kiedy hrabia widzi, że go nie złamie, żałuje go w duszy bardzo łagodnie: Ha, Durendalu, jakiś ty piękny i święty! Twoja złota gałka pełna jest relikwii: ząb świętego Piotra, krew świętego Bazylego i włosy wielbnego świętego Dionizego, strzęp szaty Najświętszej Panny. Nie godzi się, by poganie cię posiadli, chrześcijanie powinni pełnić twoją służbę. Obyś nigdy nie dostał się w ręce tchórze!” Jest korona, którą zerwać chcieli zdrajcy ze skroni eurazyjskiej Brunhildy. „Lecz złote obręcze ścisnęły się wokół kości niczym szczep w krzew winorośli. Poczęli więc rąbać skrwawioną czaszkę, lecz odskakiwały ich miecze niczym od hartowanego żelaza...”. Jest wreszcie opozycja wielkości i poniżenia, majestatu i błota, prefigurująca upadek Rzeczypospolitej Obojga Narodów, poezję romantyczną, mesjanizm... Czegóż jeszcze można wymagać. Wiatr wielkości podniósł liście na placu Katedralnym!

Pisał wtedy Witold Hulewicz, wiceprezes Związku Literatów Polskich i świetny tłumacz poezji Rilkego:

*„/ woda zastukała,
i weszła cicho woda
zdziwiona zaszumiła
i prochy pozmywała. (...)
Zdarła aksamit z królewskiego wezgłowia,
splukała jedwabie, brokaty,
koronki, ciżemki, kwiaty
i na proch starła przepych złotogłowia. (...)
Nie tronuje Aleksandra głowa w ciemnym lochu,*

*nie utrzyma berła ręka z rozsianych puszczeli
i pierścienie pogubiła w gruzowej pościeli. (...)
Głuche sklepienia w łonie,
zwapniałe skronie
i pleśń w oczodołach
i majestat na czołach..."*

Wiersz licheski, lecz oddający dobrze nastrój dni. Jeszcze chwila, a zostałbyś Aleksandrze uosobieniem wzniosłości Rzeczypospolitej i jej patronem. Jakże dziwna i rzeczywiście patetyczna byłaby to kariera mierności za życia, ogromniejącej w patriotyczny symbol cztery wieki po śmierci. Niestety, święta nie trwają wiecznie.

Zdjęto działa z lawet, przywrócono ruch na placu, odszedł do koszar dziarsko śpiewając dziewiętnasty pułk artylerii polowej. Dziecko siadło na ławce przed katedrą i wyjęło z tłustego papieru smakowite śniadanie. W radiu nadawano Ordonkę.

Nie masz nad czym boleć królu Aleksandrze. Miałaś chociaż swój dzień pośmiertnej chwały. Jakąkolwiek byłaby ona ulotna.

Większość z nas i tego nie dostąpi. Nie każdemu układają się zwierzęce puszczele w metafizyczne znaki.

PS. A jedno trzeba Aleksandrowi przyznać. Oto obejmując tron przyrzekł, iż za nadawanie urzędów nie będzie żądał konkretnych sum, ale poprzestanie na datku „co łaska”. Uprzywilejował innymi słowy łapówkodawcę w stosunku do łapówkobiorky.

Trudno zaprzeczyć, że znacznie ułatwia to życie.

Olbracht inteligent

29 września 1429 odbyła się w Krakowie uroczysta koronacja Jana Olbrachta. W dwa tygodnie później, 12 października, statki ekspedycji Krzysztofa Kolumba dopłynęły do wyspy Guanahani, później San Salvador, obecnie Watling Island w grupie Bahama. Odkryta została Ameryka, rozpoczęła się nowa epoka.

Jak zwykle w przełomowych czasach wiele niepokojących znaków ukazało się na niebie i ziemi. „Roku 1492 trzy słońca, prawie w pełni grudnia miesiąca w południe samo widziane na niebie były. Potym kometa była przez dwa miesiąca, która się po zachodzie słońca zawsze ukazowała, poczym był w Polsce wszędzie tak na ludzi jako na bydło głód. Tegoż roku zima tak ciepła przez dwa miesiące była, to jest w styczniu i lutym, iż sady kwitnęły, trawy wielkie były i ptacy się łęgli, ale w marcu wszystko pokazał mróz.” W 1494 „cud albo dziwowisko ukazało się w Krakowie, gdy jedna niewiasta niedaleko świętego Ducha dziecię urodziła martwe, a na grzbiecie u niego był wąż żywy, gryząc ciało. Druga zaś we wsi rzeczonyj Czarnej urodziła dziecię z zajęczymi uszama i szyją. Po czym na przyszły rok nastąpiło morowe powietrze wielkie w Krakowie.” W 1499 wreszcie „na Kazimierzu u Krakowa między Żydy urodził się cielec ze dwiema głowami, jedna była na tyle, a druga na przodku, a ogon we środku grzbieta był. Nóg miał siedem na prawym boku, a na lewym żadnej, insze członki miał spełna, był niejako podobien bliźniętom. Długo przed furtą glinianą leżał na dziwy ludziom...”

Rzecz w tym, że ludność o nowej erze zgoła jeszcze nie słyszała i dziwy owe diabelskie skłonna była odczytywać jako na nowe panowanie przepowiednie. Patrzono więc na Olbrachta od początku samego jeśli nawet nie niechętnie, to na pewno nieufnie.

Piękny nie był. Maciej Miechowita, który jako lekarz nadworny znał go dobrze, napisał, że był wzrostu słusznego, silny, kościsty, z bujnym

włosem na rękach, piersiach i plecach, łysiejący za to na głowie. Twarz miał ospowatą i dodatkowo mocno opryszczoną, oczy wiecznie czerwone i silnie ropiejące. W podeszłym, jak na owe lata, wieku lat czterdziestu, nie był jeszcze żonaty i do żeniaczki się nie palił, co różne wywoływało komentarze, tym bardziej, że wiedziano, iż był „na cielesną miłość poniekąd natarczywszy”.

Wyjątkowo starannie wykształcony: mówił biegle po niemiecku i włosku, po łacinie układał kunsztowne mowy; znał rzemiosło wojskowe, tajniki dyplomacji, geografię i rytuał dworski; był jednocześnie charakteru twardego, nie znoszącego sprzeciwu i porywczego. Świetny materiał na władcę absolutnego. Niestety, choć czasy gdzieniegdzie już się ku temu zbliżały, to akurat nie u nas. Było to więc powołanie geopolitycznie przedwczesne i w konsekwencji w realnych działaniach szkodziwe.

Ukazała to już, przed początkiem nawet panowania, sprawa węgierska. Powołany na tron w Budzie w 1490 znalazł się natychmiast wobec kontrkandydatury rodzonego swego brata, króla Czech, Władysława Jagiellończyka, co do którego przestrzegał profesor Uniwersytetu Krakowskiego Jan z Głogowa: „*Ve vobis Hungari et totae Christianitati, quia istum bovem coronaverunt!*”, czyli: „Biada wam Węgrzy, i całemu chrześcijaństwu, żeście ukoronowali takiego wołu!”. Wół, czy nie wół, był Władysław faktycznie mocno głupawy, ale za to przystojny (Miechowita pisze o nim: „najsztańtniejszy z całej dynastii”), długowłose, zawsze świetnie (czytaj: modnie) ubrany (przy kasku wisiało mu siedemnaście kutasików, każdy innego koloru), a co najważniejsze spolegliwy do granic ostatecznej bezwolności wobec czyjegokolwiek trząśnięcia pięścią w stół. Nic dziwnego, że wszyscy najmocniejsi i najbardziej wpływowi, chcący rządzić i manipulować, opowiedzieli się po stronie eleganta. Za Olbrachtem poszła średnio zamożna i drobna szlachta. Wynik konfrontacji był z góry przesądzony...

Podobnie dzieć się miało w kraju. Wymuszone i *contre coeur* nadawane przywileje zjednać mu mogły co najwyżej szaraków. Moźnowładztwo bało się ambitnego władcy i wykorzystywało każdą okazję, by propagandowo i politycznie podważać jego autorytet. Niezrównany pretekst dała ku temu zakończona dotkliwą porażką w wąwozie pod Koźmianem, w lasach bukowińskich, wyprawa mołdawska. „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta”... — Pomińmy już kłamiwość ilościową

tego ukutego natychmiast powiedzonka. W rzeczywistości straty nie były znaczne. Zawarta jest w nim jednak doskonale czytelna dla współczesnych Olbrachtowi znieślawiająca sugestia, iż chodziło o celowe wymordowanie rycerstwa, o zapewnienie koronie przewagi taktycznej w rozgrywce, poprzez spremedytowaną eliminację części poddanych... Legendy mają twarde życie. Bon-mot: „Za króla Olbrachta...” powtarzany jest bezmyślnie po dziś dzień i — jak pisze Rafał Karpiński — znają je i powtórzyć są zdolni na egzaminach nawet tacy studenci, którzy skądinąd przekonani są, że „królami Polski byli Tarnowski, czy Lubomirski”...

Na czym polegały błędy Jana Olbrachta? Po pierwsze, nie on tu jeden padł ofiarą na niedocenianiu propagandy. Oddał w pacht głos publiczny byle jakim pismakom przekonany, że waga jego przyjaciela Kallimacha, ileż rozsądniejszego i wnikliwszego, ileż lepiej wykształconego i bardziej oświeconego, będzie decydująca wobec zgrai ciemnowawych, populistycznych pismaków... Błąd, nec Herkules contra plures. Ujadanie wystarczająco dużej zgrai kundli zagłuszy każdego, najrasowszego choćby i oblepionego medalami championa. Po drugie, i grzech to w polityce pierworodny, wierzył monarcha w inteligencję.

Koncepcja wyprawy mołdawskiej odsuwającej od Polski zagrożenie tureckie i tworzącej na południu solidny bufor bezpieczeństwa, była dobrze i przewidująco pomyślana. Inteligent ma jednak tendencję domniemywania, że racja intelektualna i logiczna musi być, wszak nie ma realnych kontrargumentów, powszechnie zrozumiana i uznana. Antycypuje w ten sposób najzupełniej fałszywą tezę, iż jest świat również inteligentny, a przynajmniej rozważny lub choćby przytomny. Co gorsze, widząc niezgodność rzeczywistości z tezą, skłonny jest z reguły poświęcać rzeczywistość na rzecz tezy. Ileż tu tysięcy możliwych usprawiedliwień: i tak wyjdzie na moje, głupcy przejrzą na oczy, historia przyzna mi słuszność... Pogarda dla oponentów bierze wtedy górę nad obiektywną oceną ich siły. Cóż to bowiem za zestawienie między siłą prawdy i siłą przesądu, albo sztachety w łapie, albo jakże niesprawiedliwego jeszcze oczernienia...

Był Jan Olbracht Jagiellończyk jednym z najlepiej wykształconych królów polskich. To jeszcze ostatecznie nie szkodzi. Był też, ku swojemu nieszczęściu, najbardziej może (tu Stanisław August Poniatowski pójść z nim może jeszcze w zawody) inteligentnym i w racjonalną wierzącym wizję świata. Miał sensowny program, siłę woli, majestat. Zapomniał tylko, że w małym, polskim miasteczku, o wsi nie wspominając,

Żyd — Żydem, interes — interese, a Kowalski wykiwał Pawłowskiego na pół kwintala śliwek. Kosmos się kurczy. Wizję wielkich ruchów na mapie dziejowej Europy zastępuje sztabówka okolic Kasinki Małej.

Inteligent nie chce i nie może zauważyć najzupełniej przecież nieistotnych detali. Że Fijakowa właśnie urodziła, że zboże na to lato zapowiada się dobrze... Nawet nie obchodziło Jana Jagiellończyka Olbrachta, że był mało apetyczny — jakież może mieć to znaczenie w wielkich wirach historii; ani to że mało sympatyczny się ludziom jawił — toż nie chodzi o atrakcyjność salonu, ale myśl ulotną. A niechby się nawet ta ulotność przeradzała w arogancję. Bo się i rzeczywiście przradzała.

Nie zrozumiał nigdy nasz Jagiellończyk, że i cielę urodzone na Kazimierzu, u Żydów, które „nóg miało siedm na prawym boku, a na lewym żadnej” ma dla możliwości jego polityki znaczenie...

Wierzył w inteligencję.

Jak każdy inteligent.

Dlatego przegrał.

„Za króla Olbrachta wyginęła szlachta”.

Doprawdy, nie pójdziemy płakać na twoim grobie, co nie zmienia faktu, że ze wszystkich królów najaktualniejsze zapewne przynosisz memento. Niech go słucha, kto chce i powinien.

My akurat w naszym ogródku oddajemy się — słońce grzeje, białe wino się chłodzi — konstrukcjom intelektualnym samym w sobie. I sprawia nam to przyjemność. Myślmy też o tobie, rozważamy za i przeciw... Resztę przeczytasz powyżej.

Psia krew, jak to dobrze nie urodzić się królem...

Zygmuntowski przełom

Panowanie Zygmunta Starego ma w dziejach narodu polskiego znaczenie przełomowe. — Dlaczego? — Zaraz się okaże.

Na śniadanie spożywał zawsze król Zygmunt tak zwaną „gramatkę”, czyli polewkę piwną z grzankami. Obiad popijał piwem proszowskim, wieczorem zaś sięgał po piotrkowskie. Bo też piwo polskie, słabsze od niemieckiego, zielonkawego koloru i lekko musujące, było od niepamiętnych czasów trunkiem narodowym bez mała. Mówi już Piast do cudownych przybyszów: „Mam ci ja beczułkę dobrze sfermentowanego piwa, które przygotowałem na postrzyżyny jedynego syna...” Bolesława Chrobrego, który za kołnierz nie wylewał, nazywała złośliwie niemiecka propaganda „Trink-bier”, co przetłumaczyć można jako „piwny opój”... Konkurować mógł z piwem, ale tylko w województwach wschodnich, unieśmiertelniony przez Zagłobę miód. Tenże, w zależności od ilości patoki dodanej do wody podczas wrzenia z chmielem, mógł być nader różnej mocy. Najśłabsze miody, zwane trójniakami, zaprawiano kunsztownie ziołami i korzeniami lub, na niemiecką modłę, sokami owocowymi.

Z końcem XVI wieku pojawia się na stołach szlacheckich wino. Pochodzi z importu, jest więc mimo powszechnych praktyk fałszowania wodą względnie drogie. Zubaża też rodaków — producentów trunków tradycyjnych i miejscowych. Połączenie pieniądza i miłości swojaka... Cóż może być potężniejszego? Toteż prawdziwe wino (siarczany jabłok to dopiero śpiew odległej przyszłości) nie zbłądzi nigdy pod siermiężne strzechy. A i pod gontami szlacheckich dworów pozostanie w gruncie rzeczy płynem zdecydowanie drugorzędnym.

Pisał w początkach panowania Zygmunta III Wielkopolań Kasper Miaskowski o „postach polskich”:

*„Co gotują węgorze, śledzie, Szczuki w soli,
Wyzinę, łosoś, karpie, brzuchom na post gwoli,
Ci nie myślą potężnie z ciałem wstąpić w szranki,
Ale kuflem dwuuchym szlamować chcą dzbanki.
Bo jako ryby nie mogły nigdy być bez wody,
Niż je z niej wyciągnęły konopne niewody,
Tak po śmierci solone brzydzą się nią zasię,
Ale piwo i wino każą nosić na się.”*

To, że rybka lubi pływać nie jest tu oczywiście żadnym odkryciem. Że jednak w winie akurat i piwie? Pocieszmy się. Jest Miaskowski tradycjonalistą i niezupełnie nadaża za epoką. W czasach, gdy pisze, krążą już po kraju mile brzmiące przysłowia: „Gorzałką za grosz przyjaciela uczcisz, a za dziesięć umorzysz”, „Gorzałka jak złodziej, ani nie wiesz kiedy się wkradnie” i im podobne. Rybka znalazła już właściwego partnera.

W 1529 wychodzi w Niemczech i wkrótce przetłumaczona zostaje na szereg języków, książka wychwalająca różnorakie zalety gorzałki. W ślad za słowem pisanym pojawia się i sam napój. Słabowity Francuz jeszcze przez stulecie z okładem używać go będzie w charakterze lekarstwa lub afrodyzjaku. Mądry Słowianin pojmuje w lot właściwe możliwości zastosowania. Tak oto za panowania dobrego króla Zygmunta I doczekała się polska zakąska esencji.

Czy sam władca zdążył jeszcze poznać dobroczynne działanie rozpoczynającego karierę likworu? To wiemy tylko na pewno, że miał ochotę. Medycy z Sorbony wychwalają bowiem wtedy cudowny eliksir, jakim ma być proszek z rogu jednorożca roztopiony w okowicie. Wiarygodne świadectwa potwierdzają zaś, że podstarzały Jagiellon tego właśnie medykamentu szuka gorączkowo u kupców norymberskich i gdańskich. Miał mu już nawet róg dostarczyć jakowyś Grabów z Kurlandii, ale w ostatniej chwili, z niewiadomych powodów uciekł do Szwecji. Może nie dość szczerze wierzył w jednorożce? W Gdańsku leczył później miksturami z rogu uczony Eustachy Holwell, uzdrawiając nimi z czterestu różnych chorób. Było to już jednak po śmierci króla. Zdążył się więc Zygmunt napić, czy nie zdążył? — Jest-li pierwszym polskim monarchą, który strzelił setę?

W czasach Zygmunta rozpoczyna się też proces orientalizacji polskiego stroju. „Sułtanowie tureccy — pisze Gloger — za czyny wojenne dawali chanom krymskim kontusze ponsowe ze złotymi guzami.

Polacy w walkach zwycięskich zdobywali kontusze na starszyźnie tatarskiej i tureckiej w XVI w. i ze zwykłą w takich razach dumą zwycięzców, pyszniących się trofeami, zaczęli je przywdziewać na polskie żupany...” Niestety, rzeczywistość mniej wydaje się romantyczna. Polski kontusz innego był niż turecki kroju. I lubo przybył z Turcji, to raczej pokojową drogą, przez Węgry (stąd kontusz — od węgierskiego „köntös” oznaczającego długą wierzchnią suknię), przechodząc w międzyczasie liczne modyfikacje i przekształcenia. Tak czy owak, zdobywający dopiero teren za ostatnich Jagiellonów, stanie się kontusz w ciągu następnych pięćdziesięciu lat odświętnym, ale i powszechnym uniformem narodowym.

Elementy do przyszłego portretu zapitego na śmierć szlachciury płaczącego się w połach dziwaczного azjatyckiego płaszczyka i rozlewającego na współbiesiadników gorzałę z niepewnej szklanicy zostały więc połączone. Czyżby saska morda majaczyła już na horyzoncie?

Nic biedniejszego. Dobra to natomiast lekcja, że nie szata czyni człowieka i że nie unieważniają go również promile we krwi. Pito w zygmunto-wskich czasach (wystarczy poczytać Kochanowskiego lub Reja) nie gorzej, niż w saskich. Narzucano też już na żupany niezrozumiałe kontusze. Nie było też w dziejach Polski czasów bardziej wyuzdanych i przyzwalających. Liczy się, co oprócz tego.

Setki anegdot o ulubieńcu epoki — błaznie Zygmunta, Stańczyku: Na wielkie łowy w Niepołomicach sprowadzono w 1533 wielkiego niedźwiedzia z Litwy. Ledwie wypuszczone ze skrzyni zaatakowało zwierzę obecnych. Paru dworzan zostało poranionych, przerażona królowa poroniła. Stańczyk wziął nogi za pas.

— Przyznasz, rzekł mu potem władca, żeś nie jak rycerz się zachował, ale jak błazen właśnie. — Większy to błazen, odparował zagadnięty, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swą szkodę. Innym znów razem ganiono Stańczyka za opowiedziane w przytomności panien z fraucymeru nieprzystojne anegdotki.

— Jedno z dwojga, odrzekł błazen, jeśli to rzeczywiście prawe panny, to niczego z tego, co mówiłem, nijak nie mogły zrozumieć; jeśli zaś zrozumiały, to nie ma co na mnie fukać, nie takie to znowu panny, skoro tak dobrze wiedzą, co się na świecie dzieje... Struktura ripost Stańczyka jest zawsze jednaka: sprowadza się do cynicznego wręcz nieraz racjonalizowania faktów. Był nasz błazen do szpiku kości pragmatykiem. Poklask jaki zyskiwał świadczy więc dobitnie o duchu i preferencjach epoki.

To za panowania Zygmunta Starego ogłasza Maciej z Miechowa „Tractatus de duabus Sarmatiis, Asiana et Europiana, et de contentis in eis” (1517), w którym wychodząc z pozycji empirycznych obala arystotelesowsko-ptolemejski system geograficzny. To również za Zygmunta, w 1543, ukazuje się „De revolutionibus orbium coelestium” niejakiego Mikołaja Kopernika. Pierwsze cisną się tu oczywiście na papier tytuły najsłynniejsze i w konsekwencji światopoglądowe najbogatsze. Podobne przesłanie emanuje wszakże z dzieł Jana Dantyszka, Andrzeja Krzyckiego, Piotra Tomickiego... Nie książka to telefoniczna, byśmy wszystkich mieli wylizać.

Już w 1616 umieści Rzym „De revolutionibus” na indeksie dzieł zakazanych, wcześniej jeszcze, od samego początku, atakować je będą gwałtownie Luter i Melanchton. Ostre i nienawistne były to napaści. I cóż? Gdyby nie zmarł Kopernik zaraz po dzieła swego zwieńczeniu, mógłby się przechadzać po gościnnych pokojach króla Zygmunta, równie dobrze pośród katolickich i protestanckich dworzan, syt chwały i komplementów. Tak, jak przechadzali się choćby Szydłowiecki, czy Krzycki.

Prawdziwym arbitrem elegancji był na dworze Zygmunta — jak pisze Morawski — „biskup humanista, podkanclerzy Piotr Tomicki, stojący niejako na czele dynastii biskupów tego zakroju w Polsce, bo siostrzeńcem Tomickiego był Andrzej Krzycki, siostrzeńcem Krzyckiego Andrzej Zebrzydowski. Świetne to osobistości pod względem kultury, gorętsze jednak na polu humanizmu niż w pasterskim swoim zawodzie, w którym poprawność tylko lub nawet, jak Zebrzydowski, pozory tylko poprawności mają na oku. List pochwalny spod pióra Erazma Rotterdamczyka znaczył u nich co najmniej tyle lub może nawet trochę więcej niż głos z Rzymu ich dochodzący. Tomicki, przesiąknięty cywilizacją Zachodu, ma nieskończone zasługi około podniesienia poziomu wykształcenia w Polsce; w codziennym życiu odznacza się jednak nadzwyczajną wykwinnością. Prudencja i elegancja składają się jako treść i forma na tę osobistość...”

O co ma właściwie Morawski pretensje? — Że wyżej cenili polscy humaniści Erazma z Rotterdamu, niż papieży? — Toż są to najczarniejsze chwile korupcji, nepotyzmu i amoralności papieżstwa... Że byli wykwinni?... — Naprawdę rani Morawskiego brak patosu. Ziemia w środku wszechświata, to jest jakiś program i wizja jakaś. Ale Ziemia,

jako jedna z planet, w jednym z nieskończonej ilości układów... Polska córą Kościoła lub Polska Antychrystem? — OK! Ale Polska w zależności od konkretnej sytuacji...

Postawa racjonalna jest przeważnie najskuteczniejsza. Nigdy jednak w konfrontacji z prorocstwami ideologii, nie zdaje się porywająca. Nader łatwo jest więc ją postrzegać jako metafizycznie skarłałą.

„Prudencja i elegancja” są kategoriami z gruntu pragmatycznymi. Po cóż wrzeszczeć, skoro nie timbre głosu decyduje o treści; po co się bić, skoro muskuły nie udawadniają racji; po co śmierdzieć potem, skoro nie podnieca to panienek..., bawi je zaś celna pointa, cytaty rzucony mimochodem, czy nawet koronka w rękawie — ostatniej mody krzyk.

A upić się warto. Warto, ale nie trzeba. Upić się, bo sprawia mi to przyjemność. Upić się, bo mam na to właśnie ochotę. Nie z przymusu, czy ideologii ale z wyboru. Z elegancji, fi-donc!

Specyfika renesansu polskiego na tym bodaj polega, że intelektualnie antycypował on poniekąd oświecenie. Zaowocował też krótkim okresem tolerancji, poczytywanym dziś często za immanentną cechę kultury narodowej. Że mit to? Ale nierealizowane wartości tolerancji i spolegliwości codziennej postrzegane są jednak jako pozytywne...

I to jest właśnie zygmunowski przełom.

Na dworze Zygmunta Augusta

27 lutego 1559 wykonano w Krakowie wyrok na Bartoszu z Lusiny. Drabiniasty wóz z rozebrany do pasa skazańcem z trudem przeciskał się wśród tłumu złaknięj widowiska gawiedzi. Z tyłu pomocnicy katowscy, ceklarzami zwani, nieśli kociołek z rozpalonymi węglami i długą żelazną cechę do piętnowania złoczyńców. Zatrzymano się najpierw na wiertelu grabarskim, czyli rogu Wiślny i Św. Anny. Tu „pieczętowano” Bartosza na czole. Swąd palonego mięsa, niespodziewany widok odsłaniających się kości czaszki i wiwaty widzów. Na wiertelu grodzkim przypalano mu prawą pierś, na wiertelu rzeźnickim lewą. Na Sławkowskiej przyszła kolej na „płuca”, czyli plecy. Stąd prosto już pojechano na Pędzichow, gdzie skupieni wokół szubienicy czekali już w pierwszych rzędach poczciwi rajcy i ich zwyczajne skądinąd rzeczy, podniecone jednak skandalicznym rozgłosem sprawy, uświętecznione małżonki.

Był Bartosz z Lusiny najprzeciętniejszym ze złodziei. Prosty, zaszony chłop, trochę żebrak, trochę włóczęga. O jego poprzednich wyczynach tyle tylko wiemy, że ukradł złotą łyżkę podskarbiemu koronnemu Lubomirskiemu, zaś wojewodzie Tęczyńskiemu kubek srebrny pozłacany. Sławę, nieco przypadkową, zasłużoną przecież, przyniósł mu dopiero łup ostatni: złota pieczęć królewska ni mniej ni więcej.

Jak kradnie się królewskie pieczęcie? Bartosz sam zeznał, że od dawna upatrzył sobie dwór królewski ze względu na panujący tam bałagan i hałas. Szczegółowiej wyjaśnia słynny humanista Łukasz Górnicki: „Ksiądz kanclerz zdjąwszy z szyje łańcuch z pieczęcią, która była w złotogłowym mieszku, położył na stole i szedł do dalszych pokojów i za nim komorni jego, słudzy. Doprowadziwszy księdza, skoro wszedł do izby, rozeszli się wszyscy. Chłop on, widząc na stole łańcuch (bo drzwi

otwarte były) i mieszek kosztowny, poszedł do izby i wziął wszystko zaraz ze stołu i wyszedł z komnaty, że go żaden nie spytał: ktoś jest, co tu masz za sprawę? W godzinę albo nie trzy potem przyszło pieczętować list podkanclerzemu, kazał ksiądz przynieść pieczęć, pieczęci nie masz, pytano, szukano.”

Górnickiego złości, że nikt „ktoś jest?” złodzieja nie spytał, ale też i nie dziwi. Innymi słowy nieznanemu nikomu chłop w starganym i brudnym kożuchu nie był w kanclerskich komnatkach nikim nadzwyczajnym, czy trochę choćby podejrzanym... Otóż to: nie był. Sam dwór Zygmunta Augusta liczył bez gwardii około 400 osób. Doliczyć trzeba do tego „całą armię rzemieślników, masztalerzy, psiarków, woźniców i innej służby pomocniczej”. Roilo się też od cudzoziemców, handlarzy i wszetecznic wszelkiego rodzaju. Tłok, gwar, brud, rwetes. „Aż to nie niewola — pyta przybysz z Włoch w „Rozmowie” Górnickiego — gdy u moich okien w nocy kto strzela, woła, huczy, pije, wykrzyka, trąbi, w bębny kołace, a mnie spać nie dopuszcza?”

Soczyste portrety zygmunto-wskich dworzan. Korybut Koszyrski, o którym — pisze Kazimierz Morawski — „niewiele da się powiedzieć, bo co by można powiedzieć, tego nie wiem, a tego, co wiem, niestety, powiedzieć nie mogę”; mniej będąc pruderyjni zdradźmy tajemnicę: czołowy organizator zbiorowych orgii seksualnych, Jan Zambocki, który — oddajmy jeszcze głos Morawskiemu — „stał na czele całej zgrai hulaków, złożonej z kobiet i mężczyzn bardzo podejranej wartości lub raczej zupełnie niedwuznaczonej niewartości.” Mikołaj Mniszech — przyboczny rajfur Zygmunta, znawca i smakosz murw krakowskich (mawiano też małpa, dorotka, gamratka, ladacznicą), który — jakże to subtelnie formułuje Cynarski — „dbał o organizację królewskiego życia erotycznego”... Nie darmo swoje studium o syfilisie (1581) zatytułuje Wojciech Oczko „Przymiot albo dworska niemoc”. Wesołą cieszył się dwór opinią.

Oczywiście, byli i humaniści — myśli mistrzowie i słowa. Poeta, arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski Andrzej Krzycki przyjaźnił się serdecznie z Koszyrskim, z którym wspólnie układali wielce śmiało erotyki i elegie miłosne. Pisał też biskup z żalem po śmierci towarzysza: „umarł nasz Korybut w Warszawie, a jego śmierć pozbawiła mnie wielkiego źródła uciechy”. Z Kochanowskiego pamiętamy wszyscy: „Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję, — Pijane moje rymy, bo i sam rad piję...” — Nie były to czcze przechwałki. Fraszka „O doktorze Hiszpanie” opowiada zdarzenie prawdziwe. Pijacka czereda z poetą na czele

wyłamala w nocy drzwi do mieszkania medyka dworskiego Piotra Rojzjusza i zmusila do trzymania alkoholowej kompanii.” — Trudny — powiada — mój rząd z tymi pany, — Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany.” — podsumowuje Kochanowski ustami doktora.

Uznać oczywiście można, że żarcik nie był zbyt elegancki. Mieścić się za to w duchu epoki. Opisuje Górnicki w „Dworzaninie”: „Pukarzewski prosił na wieczerzę Skotnickiego i był mu tak rad, że go i od rozumu odpoił; tak, że kiedy już na nogach stać nie mógł, sługi jego jedne do gospody odprawił, drugie pozamykał, a pana tak śpiącego kazał sługom swym nieść do jednego sklepu (piwnicy — przyp. LS) i tam kazał go wsadzić w łańcuch i w pęta i zamknąć kilkiem kłotek, straż u drzwi przystawiwszy. Skotnicki, iż był okrutnie pijan, jeszcze k'temu na wiatr wyniesiony, kęs jeden onego nie czuł.” Przebudzone-mu, sycąc się jego przerażeniem, opowiadają kompanioni, że w nocy przechodnia zamordował, za co przyjdzie mu zapłacić gardłem... Reważ nie daje na siebie czekać. Przy najbliższej okazji spija z kolei Skotnicki Pukarzewskiego „iż i ręką i nogą władać nie mógł”, śpiącego zaś obkleja balwierskimi plastrami. Rano informuje go medyk, że ciężko został w bójce poraniony. „Śmiechu było dosyć — dorzucza Górnicki — a temu zwłaszcza, że on więcej balwirzowi wierzył, niż sobie, czując to, że go kęs jeden nie bolało.”

Poczucie humoru samego Zygmunta Augusta niewiele było bardziej wykwintne. I tak podczas turnieju w 1547 roku stanęła w szranki przeciw dworzanom znana ladacznica Zofia Długa. Potykała się też z nimi strojąc ucieszne miny i pokazując przy okazji co tylko miała do pokazania. Nie gorszyło to widzów zwyczajnych przecie swobodnego słowa i czynu. Król pod koniec życia otaczał się kochankami, które pieszczotliwie „sokołami” zwano, a których bywało jednocześnie i po kilkanaście na wysokich pokojach. Przypochlebiając się monarsze pisał Kochanowski:

*„Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Serce jeszcze niestare, chocia broda siwa.
Choć u mnie broda siwa, jeschcem niezganiony,
Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony.
Nie uciekaj, ma rada; wszak wiesz: im kot starszy,
Tym, pospolicie mówią, ogon jego twardszy.
I dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy,
Przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.”*

W atmosferze powszechnego pijaństwa, miłosnych rywalizacji i permanentnego bałaganu dochodzić niekiedy musiało do starć i tumul-tów. Podczas hulaszkiej biesiady u Kaspra Zebrzydowskiego, brata biskupa krakowskiego Andrzeja, zauważono przez okna przechodzącego ulicą sekretarza królewskiego Piotra Myszkowskiego. Nie to, żeby się naraził, ale nawinął pod rękę. Posypały się najwulgarniejsze wyzwiska, trefnisie wyśpiewywać zaczęli ułożone ad hoc piosenki o jego organach płciowych... Skończyło się na strzelaniu z samopałów do kamienicy Myszkowskiego i tłuczeniu szyb. Przy okazji poturbowano iluś przypadkowych mieszczuchów.

Stojąc na wawelskim dziedzińcu i podziwiając zwiewną harmonię z Włoch pożyczonych krążganków niewiele doprawdy dowiadujemy się o epoce. I nie pogłębią naszej wiedzy kasetony Kaplicy Zygmuntowskiej ani dumne sarkofagi dłut Berecciego i Santi Gucci... Miotły dziejów usunęły brud, wiatr wywiał zapachy, umilkł gwar i murwy nawet nie uświadczysz. Tymczasem jest renesans zmysłowy przede wszystkim. W ostatecznym cierpieniu ciał płonących czarownic, lubieżnym uśpieniu przesączonych winem ciał pijaków, rozkoszy ciał kochanków ciałem się upajających, w brudzie, rubasznosci i nonszalancji, która nawet Bartoszowi z Lusiny pozwoli się pętać bezkarnie po kanclerskich komnatach. Jest też marzeniem o pełni.

Sprośni nasi opoje: Rej, Kochanowski, Górnicki, Krzycki nie byli wyjątkami; wręcz przeciwnie — modelami wręcz ideału swoich czasów. „Wiemy to z Dantyszka, który i za młodu, i w dojrzałym już wieku ochotnym był do wypitki i mozolnie zapracował sobie na dotkliwą podagrę. Wiemy dalej z listów jego korespondentów; profesor hebrajskiego języka w Louvain, Van Campen, z lubością wspomina uczyty dwuznaczne i zaznacza, że poeci lubują się w zawilgoconych izbach, tj. zraszanych napojami; profesor erfureki, słynny poeta i humanista Eobanus Hessus, był zawołanym biesiadnikiem, tak że aż królem opilców go nazwano...” A nie wspomina skromny Morawski o kobietach. Przypomnijmy jednak kronikarza dworu Franciszka I, który lituje się nad ogrodnikami, „iż im ciepłą porą uciech szukające pary kłomby wygniatają”. Przywołajmy też imię Klemensa Marot, tłumacza Wergilego i Owidiusza, który tym w Blois zaśląnął, że deklamował kochankom miłosne strofy rzymskie „nawet w trakcie i bez zadyszki”.

Jeśli jest Zygmunt August władcą renesansowym, to dlatego przede wszystkim, że wbrew wszelkim polityki regułom, walczy o swoje prawo do miłości; że otacza się na równi ladacznikami, co poetami, muzykantami, uczonymi... Przy czym tych ostatnich nie pęta funkcyjnymi etykietami, lecz zasiada z nimi do stołu. Smród (ile było na Wawelu, a tym bardziej w ulubionym królewskim Knyszynie, miejsc ustronnych na parę tysięcy ludzi), pijackie krzyki obok greckiej recytacji, kałuże nieczystości, cielesność, kolor, Bartosz z Lusiny, bezczelni trefnisie, przystawka z papuzich języków, kiła i naukowe o niej już prace i śmiech. Jakby na złość średniowieczu jest śmiech pierwszym odgłosem renesansu.

Utarło się przekonanie, że po śmierci Barbary Radziwiłłówny był Zygmunt August królem smutnym. Może to prawda, może „sokoły” pocieszyć go nie zdołały. Lecz jeśli nawet radości nie znalazł, to pewne, że jej szukał i innym na nią pozwalał. I wiedział też w czym jej szukać.

- We wszystkim.
- Oto renesans.

Henryk a Polska

Nie często, zaprawdę, spotkać się można z tak zajadłą rozbieżnością opinii historyków, jak w przypadku Henryka III Walezjusza — króla Polski (1573 —1574, jako Henryk I) i Francji (1574 —1589).

— „Dzisiejsza historiografia zalicza Henryka III do najwybitniejszych królów Francji.” — oświadcza Paweł Jasienica.

— „Był to zły król.” — odpowiada mu Jan Meyer.

— „Był to człowiek wielkiej kultury, wykwintny, odważny i dobry polityk.” (Due de Castries)

— „Człowiek poziomego umysłu, a namiętności niskich.” (Michał Bobrzynski); „Mimo młodego wieku zepsuty do szpiku kości.” (Władysław Czapliński)

— „Był przede wszystkim budowniczym — spokojnym, cierpliwym i wytrwałym.”; „Światłego umysłu, znacznej inteligencji, zawsze ciekaw problemów intelektualnych, posiadał wrodzony instynkt polityczny.” — podejmują znowu Stanisław Grzybowski i Piotr Chevallier.

— „Aż przykro wspominać o tym władcy znerwicowanym i bezsilnym, marionetce w rękę matki (...) który interesował się jedynie włoskimi burleskami obojętnego poziomu, pokazami błaznów i tragicomicznymi procesjami.” — przeciwstawia się autorytatywnie sam Michelet.

— „Nowatorem był także Henryk III w swojej pobożności

— szczerzej, otwartej, głębokiej.” (Emanuel Le Roi Ladurie)

— „Zewnętrznie afiszujący się pobożnością czysto formalną.” (Władysław Czapliński)

Dżentelmeni nie dyskutują ponoć o faktach, tymczasem najdrobniejsze nawet szczegóły pobytu Henryka w Polsce wzbudzają kontrowersje nie do pogodzenia:

— „Wieczory i noce spędzał na rozrywkach, a dnie najchętniej na spaniu. Od czasu do czasu przebywał pod pozorem choroby i po dwa

tygodnie w łóżku, aby w ten sposób uniknąć przyjmowani interesantów.” (Janusz Tazbir)

— „Codziennie naradzał się ze swymi zaufanymi, przygotowywał wystąpienia przed senatorami (...) przede wszystkim jednak pisał. Ówczesny jego sekretarz Marcin Ruze opowiada później, że z Polski wysyłał Henryk (jedną pocztą — LS) nieraz po 40 lub 50 listów, nawet trzykartkowych.” (Grzybowski)

— „Na posiedzeniach senatu nudził się niepomnie i szybko z nich wychodził.” (Tazbir)

— „Henryk twardo uczestniczył w posiedzeniach senatu. (Grzybowski)

Jaki by jednak był nasz bohater, polski epizod jego życia nie potwał długo. Rozpoczął się praktycznie 22.X. 1573, w dni opuszczenia Villers-Cotterets (poprzednie spotkania z poselstwami znad Wisły, a nawet ceremonia w Nôtre-Dame, były dlań tylko epizodami pośród paryskich uciech), zakończył w nocy z 18 na 19.VI. 1574 godną najsmakowitszej farsy ucieczką z Krakowa

Oto północ. Boczną furtką, a i tu jeszcze pojawił się problem kluczy, które wyłudzone zostały dopiero w ostatniej chwili pod pozorem schadzki na mieście, wymyka się z Wawelu pięć zakapturzonych cieni. Towarzyszą Henrykowi: lokaj Jan du Halde, dworzanin Gilles de Souvre, lekarz Marek Miron i kapitan gwardii Mikołaj de Larchant — sami Francuzi nie znający drogi ani języka. Zaraz za Lanckoroną wpadają w gęste bory. Ciemność, konie potykające się na zwalonych pniach, dotkliwie gałęzi bijące po twarzach. I nagle, jak w dobrej bajce babuni — ciepłe światełko wśród mroku. Niestety, dobra wróżka, która okazuje się leśnym smolarzem, nie nauczyła się jeszcze francuskiego. Rozpaczliwe gestykulacje, brzęczące monety, błysk złota w sękatej łapie zverbowanego przewodnika. Nieznane przesieki, majaczące polany, młodniki. Wreszcie Zator. Świt. Ile czasu może pozostać niezauważona królewska nieobecność... — Więc znów w skok. Grudy błota spod kopyt. Już Oświęcim. Granica tuż tuż, ale pogoń może jeszcze bliżej. Gdy zbliżali się do mostu na Wiśle, zobaczył ich sędziwy starosta oświęcimski. Dysząc i zalewając się potem biegł pieszo, przez łąki, na skrót. Bez wahania zrzucił ubranie, skoczył w rzekę i płynąc w stronę mostu wołał rozpaczliwie: „Serenissima Majestas, cur fugis?” — Jest w tej scenie i wielkość oddania i nędza upadającego autorytetu monarchii i komizm grubej nagości zawodzącej po łacinie. Francuzi zauważyły tylko to ostatnie — wybuchnęły szyderyczym śmiechem. Pod Pszczyną,

już na ziemi cesarskiej, dopadł uciekających kasztelan wojnicki Jan Tęczyński z nadwornymi Tatarami. Błysnęła stal. „Porwali się przerażeni Francuzi. Ujrzeni jednak tylko jak Tęczyński tnie się w rękę i na krew własną przysięga wieczną wierność Henrykowi.”

Trzy były bezpośrednie, lecz trwałe, jak wykazała historia, skutki ucieczki Henryka Walezjusza z Polski: sprowadzenie do Francji czapki futrzanej, którą —jako że łagodziła jego chroniczne migreny— nosił król do końca życia; początki używania widelca, z którym zapoznał się w Wenecji, po drodze z Krakowa do ojczyzny; wreszcie nieśmiały początek, instalowanych na wzór wawelski, urządzeń kanalizacyjnych w zamkach francuskich (aczkolwiek —jak twierdzi Kuliszer— cuchnęły one nadal, aż po XVIII wiek).

Pozostały poza tym wspomnienia. Opowiadano więc w Polsce, iż był Henryk pederastą; że uszy miał przekłute jak kobiety i „nie zadawałając się noszeniem jednego kolczyka w każdym z nich, potrzeba mu było aż podwójnych wraz z wisiorami, ozdobionymi drogimi kamieniami i perłami”; że jego, odgrywający rolę kochanek, dworzanie malowali sobie twarze, usta i oczy; że podczas gry w karty towarzyszyły mu nagie dziewczęta lekkich obyczajów, używane później, „co Polacy za Hiszpanami powtarzają”, na sposób grecki; że dwór jego, krótko mówiąc, wstydu ani sumienia nie mając, w najgorszej się pławił rozpuszcie. Powtarzano toteż, jak Polska szeroka:

*„Wzrostu małego,
Statku lekkiego,
Czarny włos mają,
Nauk mijają.
Są uszczypliwi
I skokotliwi
Zbytecznikowie,
Lubo starcowie,
Przedawczykowie
I gamratowie...”*

albo:

*„Czemuż Francuz liliją na swym herbie słynie,
Stawszy się darniem w pańskim z lilijej dziardynie?
W jeden zapach się kwiaty chrześcijańskie zgodzą,
Sami tylko Francuzi i kołą, i smrodzą.”*

czy jeszcze:

*„Francuz jest prawy barbar, co hardy, złośliwy,
I cokolwiek z nim poczniesz, odmienny a ływy.”*

Francuzi nie pozostali dłużni. W setkach pism ulotnych, sygnowanych najczęściej przez „naocznych świadków”, czyli uczestników wyprawy Henryka do Polski, rozwodzone się nad polskim grubiaństwem, pijaństwem, gadulstwem, historyczną pobożnością (szlachta miała się podczas nabożeństw policzkować i bić głowami o podłogę), skłonnością do anarchii, prymitywnym obzarstwem. „Lepiej we francuskim więzieniu, niż na wolności w Polsce!” — podsumował Piotr Matthieu. Najpopularniejszy był bodaj wierszyk Filipa Desportesa „Adieu a la Pologne”:

*„Adieu, Pologne, adieu, plaines desertes
Tousjours de neige et de glace couvertes (...)
Barbare peuple, arrogant et volage,
Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage,
Qui, jour et nuict dans un poisle enferme,
Pour tout plaisir sejoue avec un verre,
Ronfle a la table ou s'endort sur la terre...”*

(Żegnaj Polsko, żegnajcie opustoszałe równiny/ Skute wiecznym śniegiem i lodem/.../ Lud barbarzyński, arogancki i niestały/ Pyszałkowaty, umiejący tylko pleść trzy po trzy/ Który dzień i noc w dusznej izbie/ Całą przyjemność czerpie z pijaństwa/ Chrapie przy stole lub zasypia na ziemi...) — Liczne jeszcze inne spadają w tym wierszu gromy na nieszczęsnych Polaków. Na pierwsze jednak miejsce wysuwa się bezsprzecznie, i to przed pijaństwem nawet, zarzut lodowatego, niemożliwego do zniesienia klimatu.

Waleczusz przyjechał do Polski zimą i wyjechał nie doczekawszy lata (a wiosna była wyjątkowo spóźniona tego roku). Wszyscy kronikarze są zgodni, że lekko ubrani Francuzi rzeczywiście bardzo ucierpieli od mrozów, szczególnie podczas wysłuchiwania pod bramami miast niekończących się przemówień powitalnych. „Śnieg padał, Francuzi szczękali zębami”, „temperatura była straszliwa”, „ukazała im się zamrznięta Wisła”, „ogień pochodni odbijały się w śniegu”, „nieszczęśni dworzanie umierali z zimna”... — tak opisuje Filip Erlanger. Motyw mrozu powraca obsesyjnie we wszystkich relacjach. Więńczy go uogólnienie „Pologne tousjours de neige et de glace couverte”. Polski tłumacz „Adieu a la Pologne” sądząc, że ma do czynienia z przejęzyczeniem,

przełożył: „Wierzę, żeś ty na wieczne mrozy osadzona,/ Śniegi zewsząd i lody prawieś przywalona.”, gdzie słowo „wierzę” nadaje dalszemu ciągowi charakter intencjonalny, złagodzony dodatkowo przez „prawieś”. — Nic bardziej błędnego. Polska była dla Desportesa krajem arktycznym. Stwierdza on po prostu tu fakt. Obiektywny i nieodwołalny.

Jaka była, taka i pozostała. Pisze oto w końcu XVII w. Hubert Vautrin — kolejny naoczny świadek: „Nie ma dnia, żeby nie znajdowano we Lwowie, mieście najdalej położonym na południe, paru przynajmniej zamarzniętych żebraków. Owi biedacy nie są bynajmniej jedynymi ofiarami lodowatych wiatrów. Również i na dobrze ubranych, zakutanych w futra, przywodzi nieraz straszliwy mróz, najczęściej w podróży, sen ostateczny. Szlachcic nazwiskiem Pruszyński jechał do Lwowa w sześciokonnych saniach; zbliżał się już do miasta, gdy sanie nagle zboczyły z drogi. Krzyczy więc na pocztyliona, by go wyprowadzić z błędu, lecz ten, pochylony na koniu, nie zdaje się słyszeć. Zatrzymują sanie i widzą, że jeździec, choć trzyma się w siodle, stracił zmysły i życie. Również woźnica, którego mieli za drzemiącego, był już tylko soplem lodu pod kożuchem. Los tak okrutny najczęściej jest jednak udziałem Żydów, służby i chłopów. (...) Skoro ludzie umierają od mrozu, trudno się dziwić, że tracą również niektóre ze swoich członków. Pewien młody człowiek przybył kiedyś gruntownie przemarznięty do oberży, w której przemieszkiwałem. Chcąc wysmarkać, co mu uwierało, chwycił — miejscowym zwyczajem — nos w dwa palce i... od twarzy go oderwał. Ładnym był przedtem chłopięciem, więc też taka go rozpacz ogarnęła, że dobywszy pistoletu, chciał sobie strzelić w głowę. Bogu dzięki obecni powstrzymali go od tak desperackiego kroku, tłumacząc, że nie nos do szczęścia jest potrzebny.”

W roku 1978 wybrał się z kolei do Polski S.A.S Malko Lingę — bohater słynnego cyklu powieści kryminalnych Gerarda de Villiers. I cóż tam zastał?

— Było tak zimno, że szkoda byłoby nawet białego niedźwiedzia.”

— „Lodowaty wiatr niósł tumany śniegu.”

— „Lodowata mgła podnosiła się znad Wisły.”

— „Ruszył piechotą, z twarzą ściętą przez lodowatą, przenikliwą bryzę. Po stu metrach chciało mu się krzyżeć i nie czuł już twarzy. Miał wrażenie, że przeszedł pieszko całą Rosję...”

Trzeba przyznać, że polski stereotyp Francji ma równie twarde życie. Oto garść opowieści zasłyszanych na wsi polskiej w 1980:

— „Francuzy to robią jak zwierzęta... Tam dziewczyny nago chodzą, a każda jest kurwa.”

— „Idą do ślubu bez welona, a do roku już mają nowego. Jeszcze nie mają rozwodu, a już z drugim żyją i mają dzieci nieślubne. Taki grzech to tylko we Francji jest możliwy.”

— „Tam chłopcy noszą kolczyki i malują się jak lafiryndy.”

— „Francuzki to już są prostytutki z zamiłowania. Łatwy zarobek i przyjemność. One są cwane. Tam to jest zwyczaj taki, że najpierw musi jej wylizać, a potem dopiero na nią siadać; albo ona to musi najpierw possać, no tego nieboraka, a potem dopiero się kładzie.”

Lodowata (i pijana) Polska, rozpustni Francuzi. Polska zawsze lodowata i Francuzi rozpustni na wieki... O czym to świadczy? — Po pierwsze o potędze mitu, którego mogą nie zmienić ani wieki, ani podróże, ani empiria, ani szkolna nauka; a który łączy w wielką rodzinę Henryka III, mazowieckiego chłopca, Filipa Desportesa, Gerarda do Villiers i nieszczęsnego młodzieńca bez nosa, przejazdem w okolicy Lwowa. Po drugie o słuszności historyków twierdzących, że mimo wszelkich nieporozumień, więzy francusko-polskie zadzierzgnięte w czasach Walezjusza, przetrwały próbę dziejów; wzajemne wyobrażenia mogą być często fałszywe, ale są i trwają — lepiej bajecznie, niż wcale.

A skądinąd — dlaczego Henryku nie przyjechałeś do Krakowa w lecie? — Byłaby teraz Polska krajem pomarańczy i ananasów, a w wiecznym słońcu nad Wisłą opalaliby się szczęśliwi Słowianie.

Stefan Batory między literą i praktyką

Dwa momenty panowania króla Stefana znalazły szczególne miejsce w świadomości zbiorowej Polaków. Batory pod Pskowem — dzięki Matejce, oraz śmierć Samuela Zborowskiego — dzięki Słowackiemu, Żeromskiemu i setce bodaj poetów, prozaików, dramaturgów. O tyle są te wydarzenia powiązane, że w potężniejącej przez wieki legendzie króla — pogromcy Moskali coraz mniej było miejsca dla racji jakichkolwiek altera pars. To nie proces i nie sądy potępiły Zborowskiego. Skazał go Psków, bo tam rozdzielono barwy rzeczy ku pamięci pokoleń...

Trzech jest w tej sprawie wielkich protagonistów: Samuel Zborowski, Stefan Batory i Jan Zamoyski. Zaczniemy jednak od dni, kiedy tych dwóch ostatnich nie było jeszcze na historycznej naszej scenie.

Odwiecznym zwyczajem, prócz uczt i balów, wyprawiono z okazji koronacji Henryka Walezego kolorowy i pyszny rycerski turniej. Samuel Zborowski żołnierz już wtedy ze sprawności i odwagi sławny, przedstawiciel jednego z najświetniejszych rodów ówczesnej Rzeczypospolitej, okazji takiej pokazania się przed władcą i najpiękniejszymi damami królestwa zaniechać oczywiście nie mógł. Wbił toteż na dziedzińcu zamkowym zdobną herbami kopię, na znak, że „ku sławie honoru i monarchy” potykać się będzie z każdym, kto wyzwanie podejmie, byle ów pasowanym był rycerzem. „Z każdym” — taka była litera starej zasady, praktyka jednak od dawna inna. Nie po raz ostatni rozejdą się one w tej opowieści. „Z każdym spośród mi równych” — taki był sens dzisiejszy. Gdy więc wyrwał kopię Zborowskiego drobny szlachetka Janusz Kroat, sługa kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego, uznano to dość powszechnie za zniewagę.

Zaczął się tumult. U nas nie pierwszyżna, ale Walejusz jeszcze nie przywył. Na jego rozkaz turniej przerwano i polecono, gościom natychmiastowe

opuszczenie Wawelu. Pech chciał, że spóźniony Tęczyński dążył dopiero na zamek i na podjeździe pod mury spotkał się z orszakiem Zborowskiego. Błysnęły miecze, huknęły rusznicowe salwy. Kasztelan przemyski Andrzej Wapowski rzucił się rozdzielać, ale dwakroć uderzony przez Samuela czekaniem spadł z konia. Porwali go zaraz słudzy i zbrozonego krwią wiedli przed oblicze królewskie. Tam, nim omdlał, zdążył jeszcze Wapowski oskarżyć Zborowskiego, zażądać sądu i przykładnej kary.

Sprawa była poważna, gdyż przestępstwa dokonano podczas trwania sejmu i pod bokiem króla, co stanowiło dodatkową obrazę majestatu. Stała się jeszcze poważniejsza, gdy na drugi dzień zmarł Wapowski z odniesionych ran. Teraz nie miał już Walecjusz wyboru i 9 marca 1573 (od krwawych wydarzeń upłynęło niewiele ponad dwa tygodnie) skazał Zborowskiego na banicję i konfiskatę majątku, bez utraty jednak czci i sławy. Wyrok nie zadowolił nikogo, a szczególnie rozczarowana była strona skarżąca. Chodziło o to, iż banitę — infamisa zabić mógł i powinien w przypadku powrotu do kraju każdy. Banitę, który by infamisem nie był, osiągnąć mogła tylko interwencja starościńska; a w takową nikt po prostu nie wierzył. Cóż tam martwe litery, kiedy praktyki nie widać.

Wygnany Zborowski gości przez dłuższy czas na dworze księcia podówczas jeszcze tylko siedmiogrodzkiego — Stefana Batorego. Uda je się potem, całkowicie już nielegalnie, na leżącą w granicach Rzeczypospolitej Sicz. Wkrótce, ośmielony ponoć zasługami jakie na Zaporozu położył, oraz wyniesieniem na tron polski wspaniałomyślnego swojego siedmiogrodzkiego protektora, poczyna ostentacyjnie zajeżdzać do Krakowa i to nawet podczas obecności w mieście władcy. Oficjalnie jednak, pomimo najusilniej szych starań rodziny banicja nie zostaje zdjęta.

Czy rozgoryczony Samuel zaczyna wtedy spiskować przeciw królowi? Niewiele o tym wiemy. Późniejsze oskarżenia będą mało przekonujące. Wspomina się o rzekomej zdradzie nadwornego lutnisty Zborowskich — niejakiego Wojtaszka, który przekazać miałby dworowi kompromitujące swych panów listy. Sugeruje się już to knowania z Moskwą, już to z Habsburgami, już to z kozactwem. „Podobno, jakoby, przypuszczalnie...” — napisze Janusz Tazbir, a i my nie mamy w tym względzie nic więcej do dorzucenia.

Tragedia rozstrzyga się nagle i zgoła właściwie przypadkowo. W końcu kwietnia 1584 (dziesięć lat z okładem po sprawie Wapowskiego) zmierzający z niewielkim oddziałem dragonów do Krakowa starosta

krakowski (ten tytuł jest tu najważniejszy) Jan Zamoyski dowiaduje się, że Samuel przebywa w okolicy. Bez wahania wzywa do siebie Stanisława Żółkiewskiego i podstarościego Urowieckiego z chorągwią lekkiej jazdy. Przeprowadzona na modłę tatarską, zaskakująca operacja udaje się w zupełności. Śpiący w dworze swojej siostrzenicy Włodkowej w Piekarach, nie usłyszał nawet Zborowski, jak mu rozbrajano strażę. Ocknął się z arkanem na szyi. Czy posiadłość splądrowano, jak skarżyli się potem sejmikowi krzykacze? Znając obyczaje epoki, szczerze jesteście o tym przekonani. Również i parę dziewczek dworskich, jeśli nie pojeździło brzuchami po drabinach, urodziło w trzy kwartały potem paru dragonskich bękartów. Nie ma to jednak większego dla sprawy znaczenia.

Następnego dnia, w sobotę 12 maja, przewieziony zostaje Samuel Zborowski do Krakowa i osadzony w wawelskich lochach. Wyrażona w eleganckiej formie „canis mortuus non, mordet” („zdechły pies nie kąsa”) zgoda Batorego rozwiązuje Zamoyskiemu ręce. Już 26 maja, a więc w podejrzanym pośpiechu i wbrew prośbom deputacji szlachty województwa krakowskiego, odbywa się pod basztą Lubranką żałobna egzekucja.

„Stojąc już w koszuli tylko, dał Mroczkowi chustkę, którą miał od cara przekopskiego: — Mój miły Mroczku, rozmoczże ją we krwi mojej, dajże synowi! Powiedział Mroczek: — Panie Zborowski, o czym innym myślcie! Po tym rzekł do kata: — Już mi i na to przyszło tobie się modlić, to już ostatni mój kres, bo o śmierć mi nie idzie. Proszę cię tedy, żebyś mi nie przeszkadzał póki się modlę, a kiedy rzekę trzeci raz: Jezus! dogadzajże dobrze, oto tobie i z hajduk manele odkazuję... Modlił się po tym, leżąc krótko na krzyż, a kiedy rzekł trzeci raz: — Jezus! — kat go nie ciął, bo był pierzchnął, ułapiono go w kościele. Tego nie wiem, kat-li albo który z hajduków, jako się obejrzał i rzekł: — Cóż czynisz? — ciął go, aż palec zaciął, i ściał szyję precz, skoczyła głowa trzy razy ku Urowieckiemu, aż się jej umykał...”

Nie przebrzmiał jeszcze łoskot topora, a już zaczęła się wrzawa. Protesty, supliki, ulotne pisma popłynęły wszędzie.

Zamoyski replikował przywołując literę prawa: jest obowiązkiem starosty ujmować przebywających na powierzonych mu ziemiach przestępców i wykonywać ciężące na nich sentencje. Zresztą dwaj kolejni królowie praworządny wyrok zatwierdzili.

Argumentacja obozu Zborowskich zamykała się zasadniczo w jednym zdaniu, którego prawdziwości niestety nijak podważyć się nie da:

„Ukaż mi którego kiedy propter bannitionem (z powodu banicji) ukarano jako żywo w Polszczy?” Przypomniano też, że Zborowski bywał wielokrotnie w Krakowie i okolicach, o czym król i Zamoyski nie mogli nie wiedzieć. Szeptem zaś dorzucano, że Batory, jeszcze jako książe Siedmiogrodu, bez najmniejszych skrupułów korzystał z usług Samuela — banity.

Odwieczny konflikt między literą i praktyką? Zapewne tak. Świadkowie wydarzeń i inne wszelako odnajdywali rzeczy aspektu.

Kim był Jan Zamoyski? — Największym karierowiczem i dobrokiewiczem w całej historii Polski. Nawet w skali europejskiej porównywalnym bodaj tylko z Fouquetem. Jeszcze w 1565 skromny urzędnik królewski, w chwili śmierci Zborowskiego jest już starostą krakowskim, kanclerzem wielkim koronnym, hetmanem wielkim koronnym i właścicielem największej w kraju fortuny: jego posiadłości wynosiły 6445 km² i składały się z 11 miast i przeszło 200 wsi, a dożywotnie królewszczyzny obejmowały 11054 km² i liczyły 12 miast i 612 wsi! Do takiej potęgi nie dochodzi się rzecz jasna w rękawiczkach. Było więc tajemnicą poliszynela, że bierze hetman łupówki (np. od kupców gdańskich), łupi słabszych sąsiadów, kradnie pieniądze przeznaczone na wojsko kwarciane etc. Dlaczego miałby mieć skrupuły w zajadłej walce z bezpośrednimi swoimi konkurentami, wielkimi rodami magnackimi pierwszej połowy wieku, których pozycje jego niepowstrzymany awans podważał i niszczył... Jednym z takich rodów byli właśnie Zborowscy.

Nie bez znaczenia były i sprawy religijne. Zamoyski wyraźnie, może ze względu na swój bardzo świeżej daty katolicyzm, który mu wciąż wytykano po sejmikach, popierał budzącą się w Polsce kontreformację. Zborowscy byli jednymi z najważniejszych protektorów kalwinizmu w Koronie. W noc przed egzekucją odmówił też Zamoyski wstępu do więzienia kalwińskiemu predykantowi z krakowskiego zboru (stąd gorzkie słowa skazanego, że modlić się musi do kata).

„Motywy rozprawy ze Zborowskim do dziś nie wyglądają jasno.” — podsumowuje Janusz Tazbir.

My chcemy jednak wierzyć w najszlachetniejsze tylko przesłanki działań kanclerza i króla. Koniec z rozdziałem między literą a praktyką. Porządek prawny musi być przywrócony. Ryba śmierdzi od głowy? Pokażemy więc, że i największych sięgnąć sądy potrafią. Jeśli tak, to idea była piękna, przykład jednak fatalnie dobrany. Mógłby być karany

Samuel jako trzeci lub czwarty... Ten pierwszy przypadek musiał być jednak czarny mrokiem grzechu i blaskiem sprawiedliwości jasny. Iż nikt nie śmiałby zobaczyć na wadze Temidy niczego poza przebrzydłej dowodami winy. Tak się nie stało. Następne sejmy ograniczyły więc jeszcze jurysdykcję królewską i aż do końca Rzeczypospolitej żaden już wysoko postawiony nie dał gardła z legalnego wyroku. Casus Zborowski miast podnieść autorytet władzy, zadał jej ciężki w konsekwencje cios; miast wzmocnić praworządność — definitywnie osłabił...

Dlaczego łatwiej nam pomawiać Stefana Batorego o naiwność, niż cynizm, o błąd strategiczny, niż niewczesne zachcianki?

Bo świadczy o tym całe jego panowanie. Chciał przeprowadzać reformy, lecz ich szanse de facto udaremnił. Chciał podbiwszy Rosję zwrócić się potężny przeciw Turkom, lecz czyż realne było marzenie o tronie moskiewskich carów? Chciał literę zjednoczyć z praktyką, a tylko pogłębił między nimi przepaść...

Potomni lubią jednak marzenia. Potomni lubią obrazy.

Głębokie brązy bojarskich futer na obrazie Matejki... Toż pisaliśmy, że już pod Pskowem barwy zostały rozdane. Król Stefan nie ma się czego obawiać. U nas duch narodowy kształtuje się pod gruszą. Może to i dobrze, bo owoce przecież soczyste:

Możni świata karani podług jednej dla wszystkich sprawiedliwości...

Prawa mądre społecznym poparciem i zrozumieniem...

Zgięte przed Polakami kolana butnych bojarów...

Takimi przecież chcemy się widzieć.

Co nam praktyka? — Wolimy literę! A że nie prawa i nie prawdy, tylko mitu?

Ciekawe, kto pierwszy kamieniem rzuci.

Zygmunt III ideolog

23 maja 1591 po raz trzeci już napadli krakowscy żacy na zwany „Brogiem” zbór protestancki przy ulicy św. Jana. „W przytomności samego króla Zygmunta nie tylko wszystko wyłupili i wybrali, ale oraz ogniem całe znieśli, tak że same tylko mury zostały, na który ogień sam król jegomość zapatrywać się miał.” „Chłopięta, hultaje, mendycy, gnojniki i inny motłoch” — określa sprawców kronika. Raczej jednak „chłopięta”, niż „gnojniki”, gdyż konsekwencji nie wyciągnięto nijakich.

Trudno się więc dziwić, że w następnych latach ograbi studenteria i zburzy kilkanaście domów mieszczańskich, a i kościelnych nawet. W 1607 padnie na przykład jej ofiarą przytułek dla starców: „naprzód ogród pogrzebowy przez złośliwe hultajstwo i swawoleństwo studentekie zburzono, grobów dobywano, ciała umarłych sromotnie znieważano, niektóre z grobów wyrzucano, przy murze z nogami w górę nie wstydliwie stawiano, niektóre włócząc po polu rozrzucono. A i szpitalni ubodzy dziadowie w pokoju się wysiedzieć nie mogli, bo i szpital owe hultajstwo zburzyło”. Wszystko to w pełnym poczuciu bezkarności. Po napadzie rabunkowym na kamienicę i warsztat znanego złotnika Kalaya, podczas którego „pana Kalajego okrutnie ranili”, przeczytamy w depozycji rektora Akademii Krakowskiej, że „tenże złotnik, który prætendit se violentiam habere, sam był powodem huius tumultus”. Ni mniej, ni więcej.

Co wolno uniwersyteckiej szczeniaterii, dobrze urodzonym tym bardziej. W kwietniu 1612 tuż koło królewskiego Wawelu przeprowadza Aleksander Koniecpolski (żebyż to z tych wielkich — boczna linia i zaledwie podkomorzy sieradzki) regularny szturm na klasztor sióstr Bernardynek, z którego wydobyć chce niedoszłą (? — ślub zawarty, ale nieskonsumowany) swoją żonę. Czegóż tu nie ma: ogień moździerzowy, wysadzanie bram w powietrze, wtargnięcie do klauzury, splądrowanie

skarbcza, znieważenie ołtarza, poranienie zakonnic, porwanie wreszcie Zofii Dembińskiej wraz z siostrą. Palba, jęki, bicie w dzwony, wrzask rozjuszonych żołdaków. Żeby się chociaż straż miejska ruszyła, żeby goił ktoś podkomorzego odchodzącego spokojnie w rodzinne pielesze... Po paru latach wiecznie odkładanych procesów wolny będzie Koniecpolski od kary i infamii. W międzyczasie spłodzi czworo dzieci; nie, nie z Zofią, ale z jej młodszą siostrą Dorotą. Była widać płodniejsza, a kto by się tam troszczył o dyspensy...

Co wolno byle szlachetce... Cóż dopiero paniskom pełną gębą. W październiku 1604 na czele 3619 ludzi, w większości „z gościńca zebranych”, a opłaconych przez Jerzego Mniszecha i częściowo Adama Wiśniowieckiego, przekracza rzekomy carewicz Dymitr granicę moskiewską. Owszem, król depcąc przy okazji międzynarodowe traktaty, wyraził niby zgodę. Równie dobrze mógłby jej jednak nie wyrażać. Nie będzie przecież miał żadnej, teoretycznej nawet kontroli nad przebiegiem operacji. Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej na kluczowym jej kierunku znajdzie się w rękach uzależnionych w dużej mierze od kaprysów prowadzonej przez nich hałasty: oszusta niepewnego pochodzenia, chorobliwie ambitnego nuworysza i jego córki wkrótce pospiesznie za oszusta wydanej.

Dalszy ciąg wydarzeń na wschodzie, gdyby nie krył w sobie najstraszliwszej tragedii, uznany mógłby być zapewne za farsę.

W czerwcu 1605 wkracza Samozwaniec do Moskwy.

W maju 1606 zostaje zamordowany, a Polacy przepędzeni.

W 1607 kolejny Samozwaniec poślubia Mniszechówną i zwołuje wojska.

W październiku 1610 załoga polska ponownie usadawia się w stolicy Rosji.

W styczniu 1611 zabity zostaje drugi „Łżedymitr”.

W marcu 1611 wybucha w Moskwie kolejne powstanie.

W listopadzie 1612 kapituluje ostatecznie garnizon polski na Kremle.

W lipcu 1614 trzyletnie dziecko Mniszechówny (kolejny pretendent do tronu carów) powieszono zostaje na szubienicy przed soborem Błagowieszczeńskim.

Kalendarium to lapidarne, przesiąknięte jednak krwią, przepalone ogniem pożóg i nabrzmiałe łzami najsromotniejszej krzywdy. Skoro w Polsce wszystko im było wolno, cóż dopiero tutaj: w Azji, u Kacapa, heretyka, półczłowieka... I nie żalowali sobie zdobywcy...

W parę lat później powie Teodor Szeremietiew z poselstwem w Warszawie: „Rozwiąży żołnierz wasz nie znał miary w obelgach i zbytkach: zabrawszy wszystko, co tylko dom zawierał, złota, srebra, drogich zapasów mękami wymuszał. Niestety! Patrzeni mężowie na gwałty lubych żon, matki na bezwstyd córek nieszczęsnych! Rozpust i wyuzdań waszych zachowujemy pamięć (...) Jątrzyliście serca nasze najobrazliwszą pogardą, nigdy rodak nasz nie był przez was nazywany inaczej, jak psem Moskalem, złodziejem, zmiennikiem. Od świątyń nawet Boskich nie umieliście rąk waszych powściągnąć. W popiół obrócona stolica, skarby nasze, długo przez carów zbierane, rozszarpane są przez was, państwo całe ogniem i mieczem okropnie zniszczone...”

Znajdować się powinny te słowa we wszystkich podręcznikach dumnej naszej historii. Uczą bowiem, że w stosunkach między narodami rzadko kiedy jednostronne są krzywdy i urazy, a jasna niewinność ciemną spotyka przewinę. A gdy „nienawiść wrasta w serca i zatrucha krew pobratymczą”, wtedy łatwo rodzą się chimery, i złowrogie widma powstają z mgieł tradycji. Mity są zaś najtrwalsze. Trwa więc również potencjalny demagogów czas.

W tym samym czasie, gdy żołnierze Mikołaja Strusia bronią rozpaczliwie kremlofskich murów, jesienią 1611, rozpatruje Zygmunt III gardłową sprawę niejakiego Iwana Tyszkowica, arianina z Bielska Podlaskiego. Żył otóż w Bielsku Jan Popowicz człowiek równie zamożny, co sędziwy. Po jego śmierci, której rychło można się było spodziewać, majątność dziedziczyłby jako siostrzeniec rzeczony Tyszkowicz, co oczywiście nie w smak było przyszej wdowie i wpływowemu powinowatemu — burmistrzowi bielskiemu Koszczycowi. Ten ostatni, biegly jak widać w prawie, wymyślił plan iście diaboliczny. Zaoferował ot niczego nie podejrzewającemu Tyszkowicowi prestiżowe, a i dochodowe również szafarstwo miejskie. Objęcie urzędu wiązało się ze złożeniem przysięgi na wierność Rzeczypospolitej. Oznaczonego dnia podniósł nominant dwa palce w górę i wobec licznie zebranych rajców uroczyście oświadczył: „Tak mi Panie Boże pomóż, jakobym wiernie tej Rzeczypospolitej służył.” Tu perfidny Koszczyc położył jednak przed nim drewniany krucyfiks. Odpowiedział Tyszkowicz zgodnie z ariańską wiarą: „Że to jest drewno, a ja nie na drewno nieme, ale na Boga żywiącego i na Pana Jezusa przysięg gotówem, podobniej by na słońce przysięgać niż na to, co człowiek urobił.” Rzekł burmistrz: „Kiedy nie chcesz na figurę Męki Pańskiej przysięgać, przysiężże choć na Boga w Trójcy jedyneego.”

Tyszkowic na to: „Ja Trójce nie znam i nie wiem, co jest, ale znam Boga jedyneho, który jest Ojcem Pana Chrystusowym, stwórcy nieba i ziemi, na tego przysięgać będę.” Natychmiast donos o bluźnierstwie wysłany został do stolicy. „Gdy ta sprawa per appellationem do sądu królewskiego przyszła, tam dekret przeciw Tyszkowicowi aprobowano i sprawę na egzekucje przykładnego wyroku odesłano”.

„Potem die XVI novembris (16 listopada) w piątek rano o dziewiątej na półzegarzu posłano poń piechotę królewską i wywiódłszy go z ciemnice, przywieziono go do wójta Marcina Kickiego, do którego posłał był król jegomość z dekretem asesorskim, aby on według zdania swego uznał, quo genere mortis (jakim rodzajem śmierci) człowiek ten ma być karany. Dekret skoro mu przeczytano u wójta, wywiedziono przed tąż kamienicę na rynek i tam mu język naprzód kleszczami wyciągnąwszy urznięto, potem go ścięto, zatem rękę i nogę ucięto, na ostatek illas amputates partes et reliquum corpus (owe ucięte części ciała i pozostały tułów) na stos drew włożywszy spalono. A majątność jego oddalono od żony i dzieci...”

Nie, nie ma dysproporcji w losie, jaki zgotowała królewska jurysdykcja Aleksandrowi Koniecpolskiemu i Iwanowi Tyszkowicowi. — Ten pierwszy zniszczył wprawdzie i ograbił klasztor, poranił i porwał zakonnice i paru innych jeszcze pomniejszych dopuścił się świętokradztw. Były to jednak świętokradztwa w czynie, nie zaś w zasadzie. Możemy łatwo sobie wyobrazić, że podkładając minę pod bernardyńską bramę prosił kornie Najświętszą Panienkę, żeby mu prochy zgrabnie wybuchły. — Ten drugi wyrazić się ośmielił wątpliwości samych zasad dotyczące. Zaś jak świat światem czystość doktryny ważniejsza była dla ideologów, niż czyjeś tam realne cierpienia lub gwałty. Cóż ich obchodzi praktyka? — Grunt, by litery nie ruszać.

Snując mrzonki o jednorodnie katolickim królestwie dawał Zygmunt III najlepszy bodaj przykład takiego rozumowania. Z nieubłaganej praktyki wynikać przecież jasno musiało, że w wieloreligijnym państwie, w którym większość innowierców ma co więcej współwyznawców w krajach ościennych, każda próba dyskryminacji podważy nie tylko jedną instytucję, ale stać się też może zarzewiem nieobliczalnych konfliktów międzynarodowych. Tak, ale to przecież praktyka tylko...

Był bowiem Zygmunt Waza ideologiem przede wszystkim. Gorzej: ideologiem-fantastą. Korona szwedzka, korona carów, podporządkowanie

Moskwy Rzymowi, wykrzewienie herezji... Teatr swoich działań widział ogromny. W wielkich wizjach giną najczęściej szczegóły. Czyż czując się człowiekiem misji dziejowej mieszać się mógł w uciążliwe jakieś, drobiazgowo i głupawo wybryki studenckie? Cóż mogły go obchodzić okradzione warsztaty, a choćby i rany jakiegoś złotnika Kalaya, protestanta zresztą. Gorszy się kronikarz, że na pożar w mieście „sam król zapatrywać się miał”. My wiemy, że pewnie tego ognia nawet i nie dostrzegł. Inny miał przecież żar w oczach.

Z tym, że jest polityka cyniczną. Wielkość jednostek mierzy się w niej najczęściej, z pominięciem miary kosztów, wielkością osiągnięć. Niestety, Zygmuntowi nic się nie udało. Nawet niewdzięczny Rzym (choć na liście O. Jaroszewicza figuruje jako święty) nie wyniósł go na ołtarze. Pozostały: kolumna w Warszawie, parę zwycięstw wyblakłych i zapomniane słowa rosyjskiego posła.

Dobrze by było, gdyby nas te ostatnie budziły niekiedy po nocy.

Władysław IV, czyli o radości życia

Basi

O Władysławie IV pisze się z przyjemnością, bo jakże można nie lubić władcy, który oskarżony przez sejm o zbytnią rozrzutność wyznawał dworzanom z najszczerzą dezynwolturą: „Niech to tak będzie, żem ja te kilkakroć sto tysięcy kurwom moim rozdał.”

5 maja 1648, acz wycieńczony po długiej chorobie, udał się król na polowanie. Sam chwycił za lejce i pędził linijką na złamanie karku przez chaszcze i wykroty. Wieczorem pot wystąpił mu na czoło i ogarnęły bóle. Dołączył się bezwład w nogach. Wróciła dezynteria. W ciągu trzech następnych dni naliczył nieodstępujący monarchy medyk sto pięćdziesiąt wypróżnień. W szóstym dniu porwały go paroksyzmy rozrywającej czkawki. Wówczas zrozumiał. Poleciał wezwać kanclerza i opieczętować testament. Z budzącą podziw trzeźwością umysłu wydał ostatnie rozporządzenia. Rozkazał grać muzykom. Zmarł 20 maja, opatrzone sakramentami, ze spokojnym ponoć uśmiechem na półprzymkniętych, mięsistych ustach.

Tych piętnaście ostatnich dni królewskiego życia, jest równocześnie jakby i jego całości patetycznym podsumowaniem. Słabowity i permanentnie chory od młodości, a w każdym razie od wstąpienia na tron; od młodości też, a na pewno od wstąpienia na tron kocha się w tym wszystkim co rzekliby małoduszni, zdrowym właśnie i krzepkim przysługuje: kobietach, łowach, wojaczce, mocnych trunkach, szaleńczych galopadach... Co fascynuje we Władysławie, to sensualizm i intensywność wszystkiego, co robi. Niecierpliwa zachłanność i zuchwałość życia.

Istnieje dziwna dialektyka ludzkiego ciała. Patrzymy na ranę zadaną przez byle przypadkowy kawałek wrażliwego się z łatwością w głąb szkła, czy żelaza i myślimy: jakżeśmy oto bezbronni i słabi. Lecz zaraz potem; w chwilach spełnienia wysiłku, ozdrowienia, powiewu wiosny

po ogrodzie, tak niespodziewanie się nagle czujemy sprawni i bezpieczni. Czy wątpli staruszek z naprzeciwka dowodem jest mierności, czy wręcz odwrotnie — zachwycającej wytrzymałości materiału? I na co jeszcze nas stać? Gdzie są granice naszej cielesności? Pytania te, flirtujące niebezpiecznie z egzystencjalnymi problemami życia i śmierci, stają się niekiedy obsesją, każącą szukać zwieńczenia w ryzyku i na ostatecznych limitach swojej fizycznej wytrzymałości. Podświadomie kochamy ludzi takich wyzwań, gdyż brak pokory, nieumiejętność czekania i biernego godzenia się z losem wynagrodzone są im przeważnie przez zuchwałość, za którą po cichu tęsknimy, pasję marzeń i przygody. Takim właśnie człowiekiem był Władysław IV Waza.

Toteż lubili go wszyscy.

Zapisano, że rozpoczęło się jego panowanie od osobliwego dosyć znaku. Oto podczas sejmiku koronacyjnego „panna jedna z fraucymeru, senatorskiego domu, nieostroźnie na ganku stojąc, deszczka się pod nią przechyliła, za którą ona wypadła, na wszystkich swoich ubiorach i narządkach zawiesiwszy się, tak wisała, jako się urodziła. Panny, które z nią na ganku stały, co by ją miały do siebie wyciągnąć i jakokolwiek ratować, puciekwały, a to niebożątka wisało...”

Na dole cały majestat Rzeczypospolitej, a w górze gołe pośladki. Więcej to zaiste, niżby Gombrowicz wymyślił.

W parę miesięcy później przyjmował król w sali senatorskiej uroczyste poselstwo moskiewskie. Zapisali przytomni, iż pierwszy ambasador, człowiek pokażnej tuszy, skłonił się przed tronem tak nisko, iż rozległ się nagle wystrzał jak najmniej w solennym momencie stosowny. Wytrawny dyplomata nie dał się jednak zbić tą błachostką z tropu i dobywszy sztyletu „doraził nim w smrodnik” wykrzykując: „— Nie ty, no ja s korolom chocz u goworit!”. Anegdota ta, acz cytowana przez solidnego Tomkiewicza, nazbyt pasuje do obiegowych stereotypów narodowościowych, byśmy nie powątpiewali nieco co do jej autentyczności. Jeśli jednak nawet nie jest prawdziwa, charakterystyczne, że wpisano ją w kadr Władysławowych właśnie czasów. Dystans do pompy i śmiech, choćby wysilony, są w nich wszakże nakazem dnia.

W lutym 1640 podczas wesela jednego z dworzan (a dworzan było sporo) tańce były tak dziarskie, że jedna z fraucymerowych dam poroniła, któryś paż złamał nogę, zaś wycieńczony władca ponownie ciężko zachorzał. Donosił potem, w maju, nuncjusz papieski: „Choroba trzyma

króla w bezwładności od dziesięciu tygodni, pozbawiając go snu na całe noce i sprawiając takie boleści, że samo opowiadanie o tym sprawia litość.” Poprawa nastąpiła dopiero na jesieni. Ale od wiosny 1641 znowu drastyczne pogorszenie. Na posiedzenie senatu 26 maja 1641 musiano wnieść króla na łożku. Nie wzbudziło to sensacji, gdyż poza chwilami wyjątkowych polepszeń, już od 1635 noszony był przeważnie w fotelu przez specjalnie dobranych osiłkowatych lokajów. Bandaży z nóg prawie nie zdejmował. W niczym mu to nie przeszkadzało właśnie w najtrudniejszych chwilach najwięcej „kurwom rozdawać”. Niektóre z owych faworyt, jak Szycikową z Grodna, czy Salmonównę z Wilna, znamy tak z nazwiska, jak i z nader pochlebnych urody opisów. Król kochał się w pięknie. W pięknie i w życiu. Gdy tylko siadał o własnych siłach, musiał być bał; gdy wstawał, rozpoczynały się łowy.

Z tej walczącej na co dzień ze słabością i cierpieniem bezgranicznej namiętności życia, rodziły się zrozumienie i tolerancja. Znał los stawiających czoła silniejszemu i umiał współboleć.

Owszem, pod rosnącym naciskiem biskupów zamknął zasłużoną szkołę ariańską w Rakowie. Pozostawił jednak uczelnie w Lusławicach na Podkarpaciu i Kisielinie na Wołyniu. Odbity chytrze przez władzę cios fanatyzmu uderzył więc w poszczególny konkret, a nie w zasadę. Przyjaźnił się z protestantami. Dobrze go wspomina prawosławie. Za jego też czasów przeżywa kultura żydowska w Polsce szczytowy bodaj okres rozwoju. Znajomość ksiąg — poświadczają liczne źródła — stała się wśród Żydów tak powszechna, iż do rangi ich ulubionych rozrywek, szczególnie na Litwie, awansuje tak zwany „pilpul” — gra polegająca na wynajdywaniu sprzecznych ze sobą z logicznego punktu widzenia fragmentów Talmudu, a następnie uzgadnianiu ich za pomocą zręcznych sofizmatów. Zwycięzcy turniejów „pilpulu” cieszyli się znacznym rozgłosem i byli nieraz hojnie wynagradzani przez szlachtę za co błyskotliwsze paradoksy. — Szlachta polska partycypująca w żydowskich intelektualnych uciechach? — Takie to były czasy. I zapewne nie zaszkodziły szarej materii pod wygolonymi łbami.

Był też Waza znawcą sztuki wojennej, muzyki i sztuk pięknych. W imię pierwszego hobby zreorganizował zasadniczo armię polską, wyposażając ją w regularną piechotę i nowoczesną artylerię; w imię drugiego obdarzył kraj najświetniejszym zespołem operowym swego wieku, którego zazdroszczono nam aż po dwór Ludwika XIII; w imię trzeciego

wreszcie mecenasował artystom, a na licytacji dzieł zmarłego właśnie Rubensa dał się wyprzedzić tylko królowi hiszpańskiemu. Czymże by były dzisiejsze galerie narodowe bez Władysława IV!?

Jest też dzięki niemu taka „kolumna w Warszawie — Na której usiadają podróżne żurawie, — Spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka; — Taka zda się odludna i taka wysoka!” Zaznaczmy tu od razu: syn winien ojcu szacunek, jaki by ten ojciec był. Akurat w tym przypadku nie był specjalnie udany. Stoi toteż tak wysoko, że go w szczegółach nie widać. Postać mierna, ale kolumna piękna. Czymże by była Warszawa bez kolumny Zygmunta!?

Zarzuca się Władysławowi IV irracjonalizm jego politycznych projektów. Jasienica przypisuje mu nawet chęć zdobycia Konstantynopola, a przecież — ironizuje małodusznie: „wszystkim wiadomo, że i dzisiaj — po tylu wysiłkach carów rosyjskich, po niepomysłnej dla Turcji pierwszej wojnie światowej — bez wizy tureckiej nikt legalnie do Stambułu nie zajedzie...” — Odrobinę dystansu panowie! Fernand Braudel dzieli dokumenta dyplomatyczne dworów europejskich na „letnie” — pozwalające na wysuwanie realnych wniosków o zamierzeniach i czynach oraz „zimowe”, „z których korzystać trzeba zawsze z wielką ostrożnością” — pisane, gdy nie ma nic pilnego, ciepło dobrego kominka otula komnatę, odległy wiatr niesie gdzieś za oknem tumany śniegu, a skrzaty na cynowych misach grają. „Wówczas żadne przedsięwzięcie nie wydaje się zbyt wielkie, zbyt śmiałe...” Kiedyż marzyć, jeśli nie w czas przymusowej beczynności. Czymże jest jednak beczynność krótkiej śródziemnomorskiej zimy, przy miesiącach i latach wlokącej się w beznadziejnej nieskończoności choroby... Toteż „zimowe” właśnie były marzenia bezsennych nocy Władysława. Sam zresztą dobrze to rozumiał i nie brał ich w pełni na serio. A skądinąd — któż, choćby raz w życiu, nie śnił, że jest z minionych lat sułtanem? Nie ze względu oczywiście na groźnych janczarów do dyspozycji ani na piękno meczetów, ani bogactwo bazarów... Ale seraj i hurysy! — Perwersyjna fascynacja malarstwa i literatury europejskiej od świętego Tomasa z Akwinu, poprzez Monteskiusza, aż po XX wiek. Ileż uczciwszy jest tu Władysław. On po prostu kochał kobiety.

Pisano również (i znów Jasienica powtarza), że przyjąłby najmizerniejsze ksiąstewko, byleby mu w nim dano absolutną władzę. Więc jak to jest w końcu? Śnił o potęgę i Konstantynopolu, czy o dyktaturze

nad Pacanowem? Mnóstwo niepewności w tym panowaniu. Czy osiągnęła właśnie Polska szczyty, czy rozpoczęła upadek? Zresztą ze szczytów tylko w dół iść można. Czy złowrogi rok 1648 zapisać na konto Władysława, czy może tego właśnie, że go zabrakło... I każda odpowiedź będzie tu niepewna.

Wiemy tylko, królu Władysławie, że tak jak ty boimy się cierpienia i tak jak ty, choć niekoniecznie przy operowej akuracie muzyce, chcielibyśmy o nim zapomnieć. Chudopachołkami będąc, tyle co ty wydać nie możemy, ale także kochamy kobiety. I wino pijemy i marzymy o Stambule...

O nie, nie zmylą nas białe prześcieradła, zafrasowani medycy i mdłe medykamenty. Choroba to tylko przypadłość. Najważniejsza jest radość.

Dzięki za tę naukę.

Soczystym byłeś królem.

Jan Kazimierz pod Mątłami

Jakże tendencyjnie „dla pokrzepienia serc” szatkuje Sienkiewicz nasz XVII wiek: „Ogniem i mieczem” — od wybuchu powstania Chmielnickiego (1648) do Beresteczka (1651); „Potop” — od początków 1655 do bitwy pod Magierowem (1657), podczas której był pan Kmicic „od Węgrzynów postrzelon”; „Pan Wołodyjowski” — od elekcji Michała Korybuta (1669) do Chocimia (1673). Gdyby napisać dwuksiąż o latach pominiętych 1652-1654 i 1658-1668, musiałyby to być, bez względu na wysiłki autora, zupełna antytrylogia — ani pokrzepiająca, ani rokująca nadziei. Już krótki okres 1652-1654 przynosi, bagatela: straszliwą klęskę pod Batohem (2-3 czerwca 1652) zakończoną rzezią pięciu tysięcy jeńców polskich; „czarną śmierć” (1652-1653) — zarazę, której ofiarą pada w niektórych województwach do 35% (sic!) populacji; wreszcie odrywającą Ukrainę od Polski, niweczącą więc wysiłek Zbaraża i Beresteczka, Ugodę perejeśławską (1654)... Okres 1658-1668 podsumowuje wystarczająco wspomnienie jednego miejsca straszliwej pamięci: wsi Mątwy koło Inowrocławia. Dzisiaj to szara dzielnica miasta znana bodaj tylko z założonej w 1882 przez Roberta Suermonda „Chemische Fabrik Montwy”, przekształconej po 1945 w wielkie zakłady sodowe. Pyły z ogromnych kominów przysłoniły niewygodną pamięć, kości ludzi i koni zniknęły pod tandetnymi blokami. I próżny byłby trud archeologów. Nie ma jednak, choćby przekreślało to Sienkiewicza, historii Rzeczypospolitej XVII wieku bez wydarzeń 13 lipca 1666.

Poznajmy najpierw ich protagonistów:

„Ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy Jana Kazimierza były wilgotne i zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat

tego syna, wnuka i prawnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go własni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było jak w księdze w tym obliczu wyczytać. A jednak była z niego nie tylko rezygnacja zdobyta przez wiarę i modlitwę, nie tylko majestat króla i bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.”

„Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kośmy na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydła kruka w cienkich końcach po obu stronach ust opadający. Wyniosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły go cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwona obwódka okolone. Wielka powaga, ale przy tym niestychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż i tak było w istocie. Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się w poprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło. Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie...”

Z tych dwóch nakreślonych przez Sienkiewicza portretów jeden przynajmniej sprzeczny jest całkowicie ze świadectwami rzeczom współczesnych. W 1679 ukazuje się w Paryżu, przypisywana być może niesłusznie Rousseau de la Valette, książka „Casimir roy de Pologne” („Kazimierz król Polski”) znana i polskiemu czytelnikowi pod tytułem „Miłostki królewskie” i oweż właśnie opisująca. Historycy kłócą się o wiarygodność niektórych w niej skandalicznych detali, nie negują jednak, iż było życie erotyczne Jana Kazimierza nader bujne (ech te noce „rozdzielane między modlitwą a zmartwieniem”). Co gorsze, romansowe zachcianki ważniejsze dlań były niejednokrotnie od interesów państwa i przysporzyły Rzeczypospolitej niemało najzupełniej zbędnych politycznych powikłań. Wyłania się też z kronik zgodny obraz władcy nad miarę upartego, zawistnego i uraz pamiętliwego. Wyznawcą był, owszem rzetelnym; wypędził z Polski arian („Iż jeśliby kto taki znalazł się, który by sektę tę ariańską w państwach naszych tak koronnych jako

i Wielkiego Księstwa Litewskiego et provinciis eis annexis /i w prowincjach doń przyłączonych/ śmiał i ważył się wyznawać, krzewić albo opowiadać, albo onej asserteros protegere et favore /obrońców chronić i wspomagać/, takowy wyżej mianowanemu statutowi podlegać ma i bez wszelakiej odwołki przez starosty nasze na gardle ma być karany”); protestantów również prześladował ochoczo. Tyle, że w tej akurat mierze niewiele ma mu hetman Lubomirski do pozazdroszczenia.

Gdyby nam odmalować przyszło sylwetki króla i hetmana, byłyby one do siebie niepokojąco podobne. Przekonują nas zresztą o tym przyszłe wydarzenia.

Rok 1660 uważany był powszechnie za Rzeczypospolitej łaskawy. Pokój w Oliwie kończył wojnę polsko-szwedzką, osłabieni Kozacy kwapili się do układów, piorunujące zwycięstwa Czarnieckiego pod Połonką i Lubomirskiego pod Cudnowem złamały potęgę moskiewską, wyjątkowy urodzaj napełnił spichrze i brzuchy.

Nic dziwnego, że postanowił król wykorzystać koniunkturę i przeprowadzić niezbędne konstytucyjne reformy. Chodziło przede wszystkim o elekcję nowego władcy za życia poprzednika (*vivante rege*). Dawałoby to panującemu wpływ na nominację następcy, zapewniałoby więc ciągłość polityki, zagranicznej przede wszystkim. Zasada z gruntu słuszna, z dwoma wszelako aliści... Po pierwsze uchwalał Sejm Rzeczypospolitej na zasadzie jednomyślności; po drugie pojawiała się od razu kwestia najbliższego, konkretnego do korony kandydata. Spowodować, by wszyscy, co do jednego, posłowie polscy, byli zgodni i w pryncypium i co do osoby... — Nie, taki cud nawet w Loudres się jeszcze nie zdarzył. Był to ze strony Jana Kazimierza zdumiewający błąd strategiczny. Zamiast rozprawić się z liberum veto, a potem konsekwentnie budować dworską większość, podnosił inicjatywy w istniejącym porządku prawnym z góry skazane na niepowodzenie. Tym bardziej, że przecenił monarcha swoją popularność. Armia była zwycięska, ale... nieopłacona; urzędów, jak wiadomo, nigdy dla wszystkich nie starczy; Francuzi (a właśnie oni: Kondeusz lub d'Enghien zasiąść by mieli na narodowym tronie) postrzegani byli zawsze przez część społeczeństwa jako świntuchy, homoseksualiści, zabo- i ślimakojady...

Tworzy się więc logicznie to, co we Francji zowią frondą, w Polsce zaś konfederacją. I mąż opatrnościowy, charyzmatyczny — jak to się

dzisiaj mówi — też się znajduje. Opromieniony blaskiem Zborowa, Beresteczka, wojny szwedzkiej, zwycięstw siedmiogrodzkich, Cudnowa...

Dlaczego zaangażował się Lubomirski w konfederację? — Z niewiści do króla? Frankofobii? Wrodzonego warcholstwa? Marzeń o koronie? Odruchu serca? — Nie znamy odpowiedzi (a czy hetman ją znał?) i paradoksalnie wcale nam ona nie jest potrzebna. Dość, że, co w historii Polski nie takie znowu niezwykle, mamy przed sobą dwa zwalczające się obozy odwołujące się do abstrakcyjnej kontrowersji (*vivante rege*), a w gruncie rzeczy pozbawione koncepcji, realnego programu i dalekosiężnej strategii.

Król ma przewagę, przynajmniej tak sądzi, więc kując żelazo póki gorące postanawia zdobyć Moskwę, by zwieńczyć skronie laurami wielkości; a jednocześnie, zdechły pies nie kąsa, rozkazuje zamordować Lubomirskiego. To drugie byłoby łatwiejsze, ale jak na złość wyjechał akurat hetman do Lwowa; to pierwsze spełza oczywiście na niczym...

Pozostaje mord prawny. Zastraszonemu Sejmowi roku 1664 przedstawia więc akt oskarżenia. Łatwo się domyślić, że są w nim wszystkie grzechy tego świata. Trzydziestu przykazań by nie stało... Wspomina się nawet o sodomii... Wyrok nie kaze na siebie czekać. Banicja, utrata godności, wywłaszczenie...

Pisze o tym sejmie Czermak: „nie pytano się, czy wina oczywista i po czyjej stronie słuszność, lecz kto wygra, kto pozyska, zniewoli ku sobie, przynęci — lub wreszcie zdoła kupić większość. Nie był to sąd, ale walka, która chwilowo tylko wrzała bez zdobycia mieczy...”

Bez mieczy? — A rdzewieć by one miały? — Ten ma rację, kto ma siłę. I tu przeliczył się Jan Kazimierz. Uzyskawszy korzystne kredyty w Wiedniu banita powraca. Konfederacja staje się rokoszem, rokosz — wojną.

Pod Częstochową, u stóp Jasnej Góry, czyż można wymyślić tragiczniejszy symbol, ścierają się hetmańscy i królewscy po raz pierwszy (4 wrzesień 1665). Jakieś tam paręset zabitych i hetmańscy górą. Jednocześnie ściśle tajne i w pełni cyniczne pertraktacje Jana Kazimierza z Lubomirskim (Czermak naliczył siedem spotkań ich wysłanników). Wiemy, co Lubomirskiemu proponowano w zamian za poparcie partii dworskiej: „zupełną amnestię, kasztelanię, względnie województwo krakowskie przy najbliższym wakansie; zwrot utraconych starostw i

szybu świętej Kingi, wreszcie wypłatę łącznej sumy 500 000 liwrów”. O jednym zapomniano tylko targujące się strony: o dzieciach, żonach, krewnych i pociotkach trupów spod Częstochowy. Bezład krzywdy i nienawiści nabrał już sił nie do powstrzymania.

I wtedy dopełniły się Mątwy.

Mzył drobny, lipcowy deszczyk, kiedy wojska królewskie przeprować się zaczęły przez Noteć. Bród był wąski, więc chorągwie szły mozolnie. Przemoczona piechota z trudem wspinała się na błotnisty brzeg i formowała czworobok przed zasłaniającymi widok przedpola pagórkami. Działa chygotały się niebezpiecznie na zaimprovizowanych tratwach. Ledwie siedem regimentów dragońskich i trzy pułki polskiego autoramentu przebyły rzekę, gdy ze wzgórz runęła wściekła szarża. Niesformowana dragonia legła mostem, odrzucona impetem do wody jazda polska krótki tylko, choć rozpaczliwy stawiała opór. Mało jedną salwę oddawszy ugięli się tratowani piechurzy. Bezradny Jan Kazimierz patrzeć musiał z przeciwnego brzegu na rzeź czarnieczyków i weteranów wojen kozackich — najlepszych swoich żołnierzy. A była to rzeź straszliwa. Naliczono nazajutrz trzy tysiące osiemset siedemdziesięciu trzech zabitych. Wbrew chronologii widzę między nimi i pana Skrzetuskiego i Zagłobę i małego rycerza. Bo legła tu przecież pod inowrocławskimi Mątwami również i trzy tysiące osiemset siedemdziesiąta czwarta ofiara: mit o ponad wszystko braterstwie. Nic dziwnego, że przemilczał Sienkiewicz. Napisać, że w nienawiści amoku, jak Polak z Polakiem, w zjadłości i mordzie ostatecznym... „Jednego — cytuje Jasienica — nie najdują ciała, żeby czterdziestu nie miał mieć w sobie razów, bo i po śmierci nad ciałami się pastwili.” Jeńców „zawiódłszy za górę, nie ścinali, ale rąbali na sztuki”...

A jednak szkoda, że nie znalazły się Mątwy w „Trylogii”, że tylko Chocim.

Nie ma narodowych idylli. Pod Mątwami uciekał Jan Sobieski w niesławnej panice porzucając ginących podwładnych. Przeszłość znojna jest i wielobarwna. I czerni w niej nie braknie i czerwonych śladów ognia i krwi.

Mątwy i Chocim — to dopiero razem trudna prawda o dziejach.

Mątwy i pomimo to Chocim — oto jedyna w nich bodaj rzetelna nadzieja.

Michał Korybut, czyli śmierć o jeden dzień za wcześniej

Generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu

W czerwcu 1669 ścierają się gwałtownie na elekcyjnych polach podwarszawskiej Woli habsburscy i burbońscy stronnicy. Kwestia to nie tylko przekonania i politycznych interesów, ale także pobranych pieniędzy i większych jeszcze pieniędzy w perspektywie. „Austriacy” chcieliby zrobić królem księcia lotaryńskiego Karola, „Francuzi” księcia neuburskiego Filipa Wilhelma lub Ludwika Kondeusza zwanego „Wielkim”. Prócz nich rozbiło się jeszcze na Woli kilkadziesiąt tysięcy drobnej szlachty nie ufającej akurat ani jednemu, ani drugiemu. Przybyła ta szlachta pod stolicę „pospolitym ruszeniem”, czyli uzbrojona po zęby, z czeladzią i pachółkami, grabiąc co popadło na prawo i lewo. 15 czerwca spłonęło w Warszawie kilkadziesiąt domów. 17 czerwca zgromadzeni w „szopie” senatorowie oblężeni zostali przez elektorów mazowieckich strzelających gęsto z rusznic i pistoletów. „Francuzi” ustawili artylerię przed swoimi siedzibami, „Austriacy” sformowali krzepkich piechurów w kolorowe czworoboki. Zapachniało krwią.

Aż nagle 19 czerwca krzyk jakiś nieść poczyna od lewej strony, tej zresztą gdzie najwięcej stało zaimprovizowanych kramów z okowitą. — „Vivat Piast!” — „Vivat Michael rex!”. Nikt w pierwszym momencie nie rozumie, o co chodzi. Lecz wrzask coraz głośniejszy. Już widać i rozdziawione, czerwone mordy pijane i łapy wymachujące triumfalnie czapkami, gąsiorkami i nagimi szablami. Pośród elektorów sandomierskich „pokornusieńki, skurczył się, nic nie mówiąc” Michał Korybut Wiśniowiecki. Chwycono go pod rękę i wciągnięto do koła.

Skąd mógł biedny wiedzieć, że podkanclerzy Olszowski jego właśnie imię wyciągnie, niczym szuler z rękawa, wyczuwszy, iż moment nadszedł, w którym zręcznie podsunięte demagogiczne hasło zadecydować może o wyniku rozgrywki. I stało się niemożliwe. Ani chciał

Wiśniowiecki, ani marzył, ani czuł się przygotowanym. Uciec, tak, taka była na pewno myśl pierwsza. Lecz dokąd uciec przed historią? Powiedzieć „nie” oznaczało wziąć na siebie odpowiedzialność za więcej niż prawdopodobną groźbę bratobójczej walki. Powiedzieć „nie”, i to chwilę po upokarzającej, wymuszonej abdykacji poprzednika, oznaczało także ostateczne i nieodwołalne już roztrwonienie resztek autorytetu monarchii; przyzwolenie, by raz jeszcze, a któż niby mógłby ten proces zatrzymać, instytucje zostały zastraszone...

I oto ten dwudziestodzieciolatek młodzian w pełni świadom osobistych swoich niemożności i przywar zdobywa się na ostateczną bodaj ofiarę. W imię powagi praw i instytucji berło przyjmuje. Koronował go bezwzględnie prymas Mikołaj Prażmowski, „ale — zapisał świadek wydarzeń — z jakim sercem, z jaką ochotą! Właśnie kiedy owo wilka zaprzęgą do pługą i każą mu gwałtem orać”. Jan Sobieski, który jako marszałek wielki obwołać musiał nowego króla nie zachowywał nawet pozorów — kłął podczas ceremonii ordynarnie, tyle, że co ostatecznie uznać możemy za okoliczność łagodzącą, po francusku.

Nie mógł żywić Michał Korybut żadnych złudzeń. Rzucano go w gniazdo szerszeni praktycznie bezbronno. Pamiętamy w „Ogniem i mieczem” podniosłą scenę wymarszu wojsk z Łubniów: „głowy były ku miastu zwrócone, a we wszystkich obliczach czytałeś pytanie: — Zali nie ostatni raz?” I komentuje Sienkiewicz: „Tak jest! Z całego wojska i tłumu, z tych tysięcy, które w tej chwili szły z księciem Wiśniowieckim, ani on sam, ani nikt nie miał już ujrzeć więcej ni miasta, ni kraju”. W ten sposób przepadły i włości ogromne i rodzinne gniazdo. W decydującym o rzeczywistej hierarchii społecznej wymiarze bogactwa przestała mieć rodzina Wiśniowieckich jakiegokolwiek znaczenie. I jasnym było, że pyszni i możniejsi nigdy nie darują Michałowi jego wyniesienia, intrygi i obstrukcji nie poskąpią. Chwała wojenna przodków nie chroni od pomówień, zniewag i obelg. Wiedział więc, że żadne upokorzenie nie będzie mu oszczędzone.

Jakoż, zaraz po koronacji rozpoczyna się antykrólewska kampania propagandowa na niespotykaną w dotychczasowych dziejach Rzeczypospolitej skalę. Mały, gruby, łysy, impotent, lubieżnik, homoseksualista, chuchro, heretyk, głupiec, niedouk... to tylko garść z upowszechnianych przez tysięczne pisma ulotne i satyryczne wierszyki „zarzutów”. Sobieski w korespondencji z Marysienką nazywać będzie Wiśniowieckiego „małpą”, prymas Prażmowski „zawalidrogą”. Ech, te

źródła pisane w tych dziejopisów. Ostrożny zazwyczaj Jasienica chcąc pogodzić zarzuty, że król „pacholęta psuje” i że jest impotentem, napisze, iż „był impotentem... wobec niewiast”. Powtórzy też bezkrytycznie obrzydliwą plotkę, że „jego małżonka musiała przez parę tygodni nudzić się zdrowa w łóżku, aby stworzyć pozory przebytego poronienia”. A przecież zdawał sobie sprawę, że wszystkie te sensacje płodzili pisarze oszalałego z nienawiści obozu opozycji.

Król tymczasem szuka wyłomu w jednolitym przeciw niemu froncie magnaterii. Nie bez znaczących sukcesów. Udaje mu się zjednać potężnych na Litwie Paców, biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebieckiego i poznańskiego Stefana Wierzbowskiego. W lutym 1670, by pozyskać partię habsburską („Francuzi” są nieprzejednani) żeni się w Częstochowie z siedemnastoletnią arcyksiężniczką austriacką Eleonorą Marią Józefą, siostrą cesarza Leopolda I, o której nawet Sobieski napisze, że „piękna i bardzo dobra”. Ślubu udzielał nuncjusz papieski Galeazzo Marescotti, gdyż prymas Prażmowski kategorycznie odmówił oddawania więcej „zawalidrodze” jakichkolwiek posług, choćby i duchownych. Niedługo po zamążpójściu zaproponował natomiast, nie pytając zainteresowanej o zdanie, a powołując się na swoją moc unieważniania związków, mariaż z Eleonorą ambitnemu księciu de Longueville. Nawet cyniczni Francuzi tym razem byli zgorszeni. Zaiste, niewielkie miał Wiśniowiecki pole politycznego manewru w swoim własnym kraju.

Mniejsze jeszcze w polityce zagranicznej. Atak turecki zaplanowany był od dawna. Zapobiec mu nie było możliwości. Pozostawało szukanie optymalnych warunków konfrontacji. Z tego zadania, przyznać trzeba, wywiązała się dyplomacja królewska lepiej właściwie, niż mogła. Zapewniono życzliwą neutralność Moskwy i dość istotne dofinansowanie z Rzymu. Co więcej, wobec zagrożenia ojczyzny potrafi Michał wznieść się ponad jakże dotkliwe urazy. Naczelne dowództwo z dyktatorskimi wręcz, jak na ówczesne polskie stosunki, plenipotentcjami, powierzone zostaje Janowi Sobieskiemu — najzjadlejszemu bodaj królewskiemu wrogowi. W uznaniu kompetencji po prostu. Mało takich „po prostu” w naszych dziejach.

Ale nawet i ten akt patriotycznej bezinteresowności odwróci się w pamięci narodowej przeciw Michałowi. Padł Kamieniec Podolski źle w prochy i spyzę zaopatrzony — wina króla. W rozpaczliwych targach z sejmem wywalczył król zaciągnięcie 15 tysięcy jazdy i 16 300 piechoty,

które poprowadzi Sobieski pod Chocim — zasługa Sobieskiego. Koncentracja wojsk w Glinianach za Lwowem, którą król nadzorował osobiście, przeprowadzona zostaje nadspodziewanie sprawnie — zasługa Sobieskiego. Litwini warcholą ustawicznie i bojkotują rozkazy hetmana wielkiego — wina króla oczywiście... — Nawet daty zakpią sobie okrutnie z Michała Korybuta i elementarnej sprawiedliwości. Zwycięstwo chocimskie odniesione zostaje 11 listopada 1673. Umrze Michał dzień wcześniej 10 listopada pod wieczór. Nie opromieni więc już Chocim jego panowania. Bezduszną chronologią ukradnie mu największe osiągnięcie. Mało tego, w oczach potomnych nic z nim nie będzie miał wspólnego. W epilogu do „Pana Wołodyjowskiego”, tym słynnym, tym „dla pokrzepienia serc”, imię królewskie nie jest nawet wzmiankowane. Krzyczą natomiast upojeni zwycięstwem żołnierze: „Vivat Joannes victor!!!” Już choćby dla wierności obyczajowi krzyczeć też w rzeczywistości musieli: „Vivat Michael rex!”, toż wieść o zgonie Wiśniowieckiego dotarła do obozu dopiero 21 listopada. Ale gdzie tam Michałowi do kojenia serc Sarmatów...

Bo też przyznać trzeba, że ubierał się z cudzoziemska i powiedzmy szczerze bez gustu, nosił karykaturalnie wielkie peruki, źle jeździł konno, był permanentnie przeziębiony i cierpiał na kamienie nerkowe. Po co ma się taki pętać po legendach.

Napisał Konopczyński o Michale Korybutcie, że „znał osiem języków, lecz w żadnym z nich nie miał niczego ciekawego do powiedzenia”. Nie znam ani jednej pracy, czy bodaj rozdziału o Wiśniowieckim, w którym by nie cytowano owegoż lekceważącego bon-motu. Dowód to nieodparty, co bardziej kształtuje wyobraźnię społeczną: znój i wysiłek codzienny, osiągnięcia ekonomiczne, nawet czyn zbrojny, czy jedna gładka i nazbyt łatwa formuła...

Mówi się jakże często, raz z nadzieją, raz z obawą, o osądzie historii. Że niby czas jeszcze nie minął i nie opadła brudna przeważnie piana doraźnych partykularnych emocji. Lecz wraz z oddaleniem i zanikaniem jaskrawych barw, pojawi się nieprawdopodobny anioł sprawiedliwości i umiaru; ten ci rozsądzi i prawdę ukaże... Nic biedniejszego. Nie ma historii obiektywnej i nie ma dziejowego dystansu. Fakty też drugorzędne mają zgoła znaczenie. O narodowej naszej wizji Polski wczesnopiastowskiej zdecydował płatny propagandysta Bolesława Krzywoustego — Gallus Anonymus. Na drugiej połowie XVII wieku

rozsiadł się niepodzielnie Sienkiewicz. Nie ma powstania listopadowego bez „Reduty Ordona”. I cóż z tego, że Ordon żył spokojnie długie jeszcze lata po 1831, zaś Jerzego Wołodyjowskiego wysadził w powietrze major artylerii Hayking bez jego wiedzy i woli. Jakie mają znaczenie takie detale, gdzież waga marzeń, ofiar i intencji. Historyk wsłuchany w przebrzmiałe echa słyszy w nich najczęściej chaotyczny wrzask lub, jak w przypadku Michała Korybuta, jazgot z magła; przywalają go tysiące przypadkowych informacji, z których nijak nic ożywczego sklecić się nie da. Dlatego też są dzieła rzetelnych profesjonalistów tak często beznadziejnie nudne. A potem przychodzą ci, którzy rzeźbią kształt i przemieniają przeszłość w mit. I im tylko wierzymy.

Sam sobie winien Wiśniowiecki. Zamiast wynajmować zręcznych panegirystów i artystów przepłacać, dbał o doraźne sprawy kraju wierząc święcie, że historia doceni. Jakby mogło ją to cokolwiek obchodzić. Zaś źli konsyljarze nie poradzili mu zmienić peruki...

To nas łączy królu Michale, że i my chcielibyśmy wierzyć w historii wyroki sprawiedliwe.

I w pięknych baśni wiele.

Za panowania króla Jana

Jest Jan III Sobieski najpopularniejszym bodaj z królów polskich. Podniosły na polach bitew, wszechobecny w poufalej anegdocie, liryczny w korespondencji z Marysieńką, w kontuszu, w husarskiej skórce, w galowym półpancerzu. Rzekłbyś, że wypełnia swoją osobowością schyłek naszego XVII wieku. Gdzie zwrócisz się — On! Czy coś jeszcze istniało w tych czasach?

Przez cały okres panowania Sobieskiego wymienia „Dziej opis Żywiecki” Andrzeja Komonieckiego imię króla trzykrotnie. Że wstąpił na tron, że umarł, i przy okazji bitwy pod Wiedniem, rzecz jasna: „pod Wiedniem z Turczyzna sławna się wiktoria stała, odbiwszy Wiedeń, wiktorem Jan III król polski (...) Na którą ekspedycję wiedeńską miasto Żywiec musiało dwu ludzi z miasta wyprawić, jednego Błażeja Płutę, a drugiego Marcina Podrygacza; z których się nazad z tej wojny nieskoro Podrygacz wrócił i tu umarł”. Ot tyle: pojechało gdzieś daleko dwóch naszych; jeden wrócił, po drugim słuch zaginął. To wszystko właściwie, co ma jakiegokolwiek znaczenie. Wiedeń równie daleko, jak i Warszawa... A jakieś tam triumfy, intrygi francuskie, Kamieńce Podolskie? Nawet się tym beczki piwa nie napełni. — Czymże więc żył Żywiec za panowania króla Jana? Oddajmy głos Komonieckiemu:

1674

Tegoż roku w miesiącu sierpniu we żniwa jęczmienne przed wieczorem piorun na stodoły żywieckie pod górą na Rudzi Gładkiej uderzył i one ze zbożami zapalił, że ich dziesięć funditus zgorzało. Z którego ognia gorejąc długo godzinę w noc (jako sam z ludźmi widziałem) kul pięć na kształt srebrnych krzyżem w górę wyleciało, które nad miastem się wysoko wyniosły, a potym razem gdzieś się podziały, z podziwem ludzi patrzących.

Tegoż roku die 25 Novembris Zofia Wieczorkowa, mieszczka żywiecka, rodem Jaskówna z Lipowej, tamże w Lipowej u rodzica swego przepalając gorzałkę, nieostrożnie one zapaliła; która w konwi fartuchem z nagłą okrywszy, odzienie się na niej zajęło i zgorzało, skąd o śmierć one przywiodło.

1675

Tegoż roku ultima Octobris Mikołaj Kasprzykowie, miejski syn tuteczny u kościoła Świętego Krzyża przy Bożej Męce tu w Żywcu ściet, a to za skarżeniem Jego Mości pana Ochockiego, bowiem mając żonę ślubną, insze pannę od tego pana Ochockiego uwiódł.

1676

Tegoż roku dnia 12 lutego, godziny piątej w noc ze środy na czwartek Kazimierz Adamicki, chłopiec z Rybarzowic, do szkoły żywieckiej chodząc, ze złości, że go bito, zapalił one, założywszy ogień w nocy w izbie, a potem wyszedł na dzwonnice swojej złości się dziwować, gdy będzie gorzała...

1677

Tegoż roku dnia 23 lutego Krzysztof Krauz albo Śpik nazwany, wdowiec, pojąwszy w małżeństwo Katarzynę Borosłajankę, po ślubie i weselu, pierwszy raz z żoną leżąc, tejże nocy nagle i niespodziewanie, nie wiedząc z czego umarł, czemu się bardzo dziwowano.

Tegoż roku wilk szkodę wielką w ludziach po polach czynił, iż dzieci małe i pasterze porywał, szarpał i jadł, nawet i po wsiach chodził; których więcej niż dwadzieścia zjadł, a drugie dwadzieścia poszarpał i pokąsał, z czego jedni okaliczeni wyleczyli się, a drudzy wkrótce pomarli. Wielkiego się nie chwycił, ani krowy, wołu, konia i prosiąt, tylko dzieci małych. Tego potym Paweł Biegun z Abramowa w farze radzichowskiej we wsi Cięcinnie w miesiącu sierpniu kijem na drodze uderzywszy, długo się z nim pasował, aż go nożem przekłuł, i tak zabity został.

1678

Tegoż roku niejaki Matias Pławiński z Pławiec, szlachcicem się czyniący (...) ze stodoły przez szpary w nocy widywał świece gorejące u lipy tamże blisko rośniącej na półroli niejakiego natenczas Wojciecha Hujca. Skąd kosztem swoim przysposobiwszy okrajków i łąw,

tamże przy tej lipie, na kształt kaplice zapierzenie zbudował i obraz Najświętszej Panny Maryjej Studzińskiej wymalować dał. O czym dowiedziawszy się Jego Mość ksiądz Wojciech Symellius, dziekan i proboszcz żywiecki, że to bez jego konsensu stało się, kazał wozem zajechać i tę kletę rozchybać i okrajki z ławami do kościoła starożywieckiego zawieźć. Które na poprawę kościoła tamecznego obrócił, a tę lipę wiatr wielki w roku 1707 wyrócił.

1679

Tegoż roku na Rajczy we wsi Państwa Żywieckiego powietrze się morowe we dwu domach zjawiło, to jest u Janoty i u Czirpaczki. W jednym domie umarło ludzi 14 a w drugim 5, w których ksiądz Paweł Czernek, wikary miłowski co u nich bywał, tam się na Rajczy wietrzył. Które dwa domy pan Andrzej Irlant, podstarości żywiecki rozkazał spalić. Przy tym powiadali, że baba strzyga onych podusiła, chodząc po śmierci do tych domów; której babie dobywszy onę, głowę w grobie ucięto.

1684

Tegoż roku Wojciech Stokłosa z Zabłocia, krawczyk, zginął, będąc u kościoła Świętego Krzyża ścięty o kradzież koni. Tego tedy, gdy miał kat ścinać, panna jedna z Białej, jako do młodzieńca przyskoczywszy, podwiką mu szyję okręciła a ręką obłapiła, że się katu nijakim sposobem oderwać nie dała, zwiódłszy go daleko z placu, chcąc go wyzwolić. Aż z zamku hajducy dwaj przybiegłszy zaledwie ją od niego oderwali i był ścięty. Z której okazji kat, zeszamotawszy się z nią i z więźniem, niedługo potem w Oświęcimiu umarł.

1687

Tegoż roku było bardzo chorowało, że im wrzody na językach i dziąsłach mnożyły się, dlaczego od bólu wielkiego paść się nie mogło. A potym pochromiało i głowy niektórym wielom popuchły, że patrząc nie mogło. Także świniom, krowom, owcom raci z nóg pozłaziły, które im obrały, że chodzić nie mogły.

1688

Tegoż roku Wojciech Miczek z Słot winy o rozbój był ścięty i ćwiartowany, na którego egzekucję czterze kacia z Cieszyna przybyli. A ten będąc na torturach, do niczego się przyznać nie chciał i stryczki się na

nim targaly, aż opatrzywszy go, charakter nad łopatką lewą, w ciele zaprawiony i zarośniony jemu należeli, to jest jakąś kosteczkę, po czym przyznał się. Na placu tedy ścinając go, jeden klęczącemu za włosy trzymał głowę, a drugi ściał. Wtym ciało na ziem upadło, a on głowy nie dopuszczając na ziemie, dotrzymał i w ręce głowę za włosy trzymając. Ale za ten figiel złotych 60 od głowy wzięli, coby kat oświęcimski złotych 10 kontentowałby się.

Tegoż roku niejaki Franciszek Godziszewski eremita, to jest pustelnik, w lesie kocierskim się zjawił, Polak urodzony, człowiek pobożnego żywota i dosyć uczony (...) Ale ksiądz Andrzej Pluciński, pleban natenczas rychwalski, iż w parochiej jego miejsce sobie sposobił, wyniść się mu stąd kazał...

1691

Roku pańskiego 1691 przed Niedzielą Kwietnia w Ślemieniu o kazirodtwo ojca spalono, niejakiego Chwałkę z Koczonia, iż z córką swoją dopuścił się cielesnego występku, a córkę tamże osieczono. Przy tym i o porubstwo drugiego dnia pachotka z Rychwałdku z klaczą, z których na Górze Koczońskiej spalono, uczyniwszy to i klaczy.

1692

Jego Mość ksiądz Stanisław z Słupowa Szembek, biskup dionizyński, suffragan krakowski, z wielką summę ludzi różnych z pogranicza i tutecznych pobierzmował i Turczynkę ochrzcił.

1693

Tegoż roku gąsienic wiele się namnożyło, że kapustę wszędzie jadły, iż ludzie nie mogli im poradzić, choć ustawicznie obierali kapustę. Dlaczego kapusty mało było i droga, gdyby jej jeszcze mógł kędy dostać.

1694

Tegoż roku die 28 Octobris ksiądz Tomasz Mamuchowic, jadąc z Tresnej wsi na koniu, trochę podpity, samym zmierzchem, w Sole się rzece utknął i spadszy z konia utonył. A tego długo szukano, a nie można znaleźć, aż we trzy niedziele na Międzybrodziu, jego znaleźli tak pięknego, jakoby dziś utonył, tylko co go woda wysssała, nic nie będąc naruszony.

Tego roku die 8 Decembri w święto Poczęcia Niepokalanego Najświętszej Panny Maryjej, godziny trzeciej w noc, sławny Floryjan Secemski, wójt stary żywiecki, będąc na wieczerzy u pana Samuela Golanowskiego, pisarza natenczas ceł Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej na komorze żywieckiej, przy której wieczerzy dyskurując o skazitelności ludzkiej, jako człowiek słaby jest, że się uchronić śmierci nie może, a wtym chleb ręką do gęby niosąc, coś mu się stało, że zaniemiał, tylko mruczając, nagle i niespodziewanie umarł.

Pół roku później odszedł z tego świata Jan III Sobieski. Posepni husarze zaciągnęli warty przy pysznym castrum doloris, salwy armatnie rozdarły ciszę i głucho zawarczały werble.

Sztandary cechowe pochyliły się przed katafalkiem wójta Secemskiego i ktoś nagle krótko zapłakał na chórze.

Jeden sławny od Paryża po Konstantynopol, drugi od Cięciny do Gilowic. Sądzić można, że za życia równie się wzajemnie nie obchodzili...

Podwójna jest w tym lekcja pokory: dla władców i historyków. Jakże odległe jest od wielkich bitew, dramatycznych sejmowych przemówień i międzynarodowych aliansów, żmudne i codzienne życie obywatela. A przecież to on jest właśnie solą ziemi. Nie zapominajmy oczywiście o łopotach patetycznych, dziejowych sztandarów. Pamiętajmy jednak, że próżna i abstrakcyjna jest historia bez Zofii Wieczorkowej — ofiary bimbrownictwa; Pawła Bieguna, co pokonał wilkołaka; nieuratowanego przez ukochaną Pawła Stokłosa; czy nawet pacholka z Rychwałdku, który grzeszył z kłaczą.

A dlaczego właśnie panowanie Jana III wybraliśmy dla tego przypomnienia? — Sypiał przecież z cudzą żoną, chodził w kontuszu, pił gorzałkę i podkręcał węża. Spośród odległych był więc zapewne jednym z najbliższych.

Nie umniejsza to, przeciwnie — uwydatnia.

August II, czyli tytan przegrany

W roku 1700 wybuchła i potrwała przez następne dziesięciolecia z okładem wojna nazwana później Północną. Głównymi jej protagonistami okazały się: król szwedzki Karol XII, car Rosji Piotr I oraz elektor saski i król polski August II. Drapieżne wyroki losów wmieszały do rozgrywki trzech władców wyjątkowych tak ciałem (tu byli sobie podobni), jak i duchem (tu zaś najzupełniej obcy). Niezły zaiste w niebiesiech siedzi scenarzysta...

O Karolu XII tak pisze Jasienica: „był wysoki (lub raczej olbrzymi — LS), przystojny, odznaczał się prostactwem oraz zamiłowaniem do słów grubych. Najchętniej jednak milczał. Podczas obiadu na przykład, który trwał u niego najwyżej kwadrans, nie odzywał się do nikogo. Nosił rapier tak ogromny, że nie pasujący nawet do jego wzrostu, a posługiwał się nim sprawnie i chętnie. Miał pociąg do wyrafinowanego, niezłomnego okrucieństwa i brudu. Dłonie, czarne przeważnie jak ziemia święta, nie różniły się kolorem od mankietów koszuli. Kiedy zarzucał zwyczaj noszenia peruki, do czesania włosów służyły mu wyłącznie własne palce. Kwatery dobierał sobie Karol w najbardziej cuchnących dzielnicach zdobywanych miast, jedna i ta sama derka służyła mu za materac i kołdrę. Nieprawdopodobnie wytrzymały na trudy, jadł tudzież pił mało i byle co. Odważny naprawdę do szaleństwa, uważał ponadto za konieczne ciągle popisywać się niepoczytalnym męstwem.” Źródła szwedzkie w jednym tylko korygują obraz Jasienicy. Pił otóż Karol rzeczywiście byle co, ale bynajmniej nie mało. Orgie pijackie nie pozostawiały na nim natomiast żadnych śladów następnego dnia, czyli, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, nigdy nie miewał kaca.

Co do wzrostu Piotra I trwają historyczne dyskusje, w których szacunki wahają się między 205 i 225 cm. Potężnie zbudowany, lubił popisywać się niezwykłą siłą i równie niezwykłym okrucieństwem.

Po sflumieniu buntu strzelców (1698) nie tylko asystował przy torturach, ale chętnie brał w nich udział i wymyślał oryginalne sposoby zadawania mąk. Zamieszanej w spisek, przyrodniej siostrze Zofii kazał powiesić tuż przed oknami sypialni trzech jej współników. Gnijących zwłok nie zdejmowano przez miesiąc, aż dostała, nieboże, nieuleczalnej depresji. We wczesnej już młodości założył z przyjaciółmi „Najbardziej Pijany Sobór”, nabożeństwa w którym polegały na pijackich, a z upływem czasu i seksualnych orgiach. „Protodiakonem” owegoż „Soboru” pozostał aż do śmierci, promując niejednokrotnie jego „biskupów” na najwyższe stanowiska państwowe. Mocna głowa pozwalała mu wypić (jak z Wilhelmem Garmensonem w 1697) i baryłkę piwa non stop. Jadł dużo, ale prząśnie. Poczęstowany w Luwrze (1717) ośmiuset (sic!) potrawami i dwustu gatunkami trunków, ograniczył się do przegryzienia kieliszka wina kawałkiem biszkopta. Odbił to sobie wieczorem, w pałacu Le Digiere, popijając kielichami wódkę, zagryzaną słoniną i swojskimi ogurcami.

Sprawnością fizyczną nie odbiegał August II od Karola i Piotra. Popisywać się lubił zwijaniem w rękach metalowych talerzy i sztuców, a nawet ponoć łamaniem podków. Nieprzeciętnie odporny na zmęczenie, w tym to wywołane spożywaniem trunków przede wszystkim, lubił podejmować pijackie zakłady i wyzwania, choćby nawet, na odwadze zaiste mu nie zbywało, narazić miały na szwank jego życie. Jadł dużo i z gustem. Przypisywano mu też nadzwyczajną potencję seksualną. Historycy naliczyli mu zaledwie ośmioro nieślubnych dzieci, stugębna plotka mówiła jednak o trzystu sześćdziesięciu pięciu. Liczba ta (jeden bachor na każdy dzień roku) jest oczywiście za piękna, żeby mogła być prawdziwa. Kompromis między legendą a ascetyczną niechęcią archiwistów dawałby coś około stu osiemdziesięciu... W każdym razie kochanek miał wiele, w tym i egzotyczne; oprócz chłopek i mieszczyk trafiła się nawet Turczynka Fatima. — Zresztą to na z nią właśnie poczęte dziecko — hrabiego Rutowskiego, obok Anusi Orzelskiej, przelał August II najwięcej ojcowskich uczuć. A kochał, jak żył, porywczco, niestale i do zapamiętania...

Kiedy się tacy spotkali, anegdota musiała być na randez-vous. Powiadają, że podczas uczyty u Radziwiłłów birżańskich (1701) skręcił August srebrny talerz w rurkę. Natychmiast car Piotr zrobił to samo z pucharem...

Karol, acz świetny wódz, był politycznym i cywilizacyjnym prymitywem. Umiał bić i na tym ostatecznie kończyły się jego horyzonty.

Zwyciężał i nie wiedział co ze swoimi zwycięstwami zrobić. Owszem, nakazywał ryc pamiątkowe medale i rozświetlać niebo fajerwerkami. Trochę to mało, jak na kogoś realnie trzęsącego pokazną częścią kontyentu...

Piotr był konsekwencją wcieloną. Nakreśliwszy raz, i to już we wczesnej młodości, wizję swojej Rosji, dążył do niej nie licząc hektolitrow krwi, nie przejmując się oporem materii, ani najdotkliwszymi nawet niepowodzeniami. Okrucieństwo nie zawsze było dlań przyjemnością, a przeważnie tylko instrumentem. Gardził subtelnościami, gdyż religią była mu skuteczność.

August był spośród trzech na pewno najbardziej wykształcony i najsubtelniej inteligentny. Niestety na swoją niekorzyść. Gdzie Karol bez namysłu rzucał wojska do akcji, gdzie Piotr z góry i tak wiedział, czego chce; August hamletyzował, próbował przeintelektualizowanych, skomplikowanych manewrów. Starał się grać na subtelnościach kompromisów: dwa kroki do przodu, jeden w tył, a częściej niestety odwrotnie. Rozumiał potrzebę reform i miał ich koncepcję. Nie dobrej woli mu brakło, ale woli tout court. Toteż wszystko przepływało mu przez ręce i rozmywało się w niebyt. Czy jednak mogło być inaczej?

Niebieski scenarzysta, pokazawszy nam najpierw ich, sugerujące walkę przyszłych tytanów, pyszne miny, nabrzmiałe bicepsy i harde kroki; zaraz potem precyzyjnie rozpiisał role. Karol zwyciężał, Piotr i tak wygrał, Augustowi zarezerwowana została trudna gorycz nieudacznictwa.

Czy być tak musiało? Czy cud genialnej jakiejś improwizacji mógł zmienić wysokie wyroki i układ figur na dziejowej szachownicy? — Odwieczne to pytanie o fatalizm losów, który w racjonalnym naszym języku, unikającym nadprzyrodzonych skojarzeń, zowie się często geopolityką.

Za Karolem stała Szwecja — odgradzony fosą Bałtyku od Europy dziki i nędzny kraj wojowniczych Wikingów. Polska jest opóźniona w stosunku do Zachodu o kilkadziesiąt lat, Szwecja w stosunku do Polski co najmniej o wiek. Za wyjątkiem siły pięści rzecz jasna — do tego nie trzeba harmonii renesansu. Co wartościowe na murach szwedzkich pałaców owego wieku, to zrabowane w Polsce przez żołdaków Gustawa Adolfa lub Karola Gustawa. Tak jak w Hiszpanii XVI wieku, horda żądnych łupów i nie mających nic do stracenia kondotierów czeka tylko na spuszczenie ze smyczy. To nie rozpieszczone pospolite ruszenie, lecz zahartowana bieda, armia wyćwiczonych zabijaków, którym nic się

nie oprze. Lecz cóż dalej? — Cóż wysnuć z demograficznej bezsiły i cywilizacyjnego ubóstwa?... Zwycięzać można. Lecz trwać? — Jakim cudem!?

Piotr to Rosja. Już sięgająca za Ural. Niewysłowiony potencjał cierpienia, ale i mocy. Jedyne kraj w Europie mogący sobie pozwolić na pogardę dla elementarnego, ludzkiego istnienia przemnożoną przez miliony. Uboga zaiste wyobraźnia sprowadzających rzeczywistość Rusi do megalomańskich, nigdy nie strzelających car — puszek. Toż kaprys to tylko, a nie sens. Niewyczerpanie rzucić można na kolana. Ale dobić...? — Niejeden próbował. To nawet nie Feniks wyłął się z napoleońskich popiołów Moskwy; to ruszył się Omsk, Tobolsk, Igarka... — O czym mógł marzyć Karol? — Zrobił więcej właściwie, niż było wyobrażalne. Zuchwała żądza jego rajtarów sprawiła cuda. Lecz czymże jest żądza wobec bezmiaru?!

I August wreszcie. To już wiemy: utalentowany, chcący dobrze, zdecydowany nawet niekiedy. Za nim zanarchizowany miazmat państwowości, bezsilny w wewnętrznych rozdarciach, ale też i nieskończenie przeświadczony o swojej dumnej roli w niebotycznych przeznaczeniach dziejów. Naród bezrządny i zakleszczony w prymitywnych wąśniach, pogardzający jednak wszystkim i wszystkimi dookoła, przekonany, choćby cała doczesność przeczyła, że powołany został do udzielania innym lekcji, cierpienia za miliony, czy patetycznej reewangelizacji. Myślący o misji, a nie zadający sobie nawet najtrywialniejszego pytania o sposoby jej urzeczywistnienia...

Przeważająca część historyków polskich potępiła Augusta. Odmówiono mu wszystkiego. Nawet siłę fizyczną i operetkowe, zgódźmy się, łamanie podków, podano w wątpliwość. Nawet mu bękartów odmówiono... — Skąd ta, chciałoby się zapytać, zajadłość jeśli nie wręcz nienawiść?

— Z lustra. — To jedyna rzetelna odpowiedź. Z owych upokarzających poranków, kiedy gołąc się oglądać musimy swoje gęby pokraczne i nade wszystko bezsilne. Jakże chce się wtedy uwierzyć, że to nie my, a tylko lustro fałszywe. A czemu fałszywe? Widać je siepacze wykrzywili. Wtedy wszystko już jasne i słuszne. Sztandar lub transparent w łapę: „Łapaj siepacza!”

I wtedy znajduje się ON. Ten, który niczym magik przemieni w zaślęgę naszą małość, unieważni dyktat geopolityki, wcielił zło. Już dobrze. Już zawsze byliśmy doskonali (to zresztą akurat z samej definicji wynika) i nie z naszej winy się nie udało.

I w ostatecznym paroksyzmie tchórzostwa wyciągamy oskarżycielski paluch: — To ON! — To przez niego! Szczęśliwi i odprężeni wracamy do domów. Jak dobrze i bezpiecznie mieć winnych z góryznaczonych, winnych wszystkimu...

Takie były z grubsza losy Augusta w historiografii narodowej.

Zresztą metoda okazała się skuteczna i od jego czasów demonicznie — spiskowa wizja historii zakorzeniła się u nas na dobre. Nauczyliśmy się potępiać. Nie geopolitykę oczywiście, czy dziejową przemożność... ICH — to przecież o ileż łatwiejsze.

O jakże chciałbym znaleźć ONEGO, odpowiedzialnego za moje zwątpienia, słabości i lęki. Mojego Augusta. Niestety, nie umiem. Patrząc więc z podziwem na rozstrzygających o prawdzie i słuszności w dziejach, wydających minionym, ba! — i żyjącym nawet, autorytatywne laurki dziejowe lub szubieniczne wyroki.

Z podziwem, ale i odrobiną pogardliwej nieufności.

A Augusta po prostu mi szkoda.

Stanisław na swoją miarę

Kariera polityczna Stanisława Leszczyńskiego zaczyna się 12 lipca 1704 pośród kordonów szwedzkiej piechoty otaczających opustoszałe pola elekcyjne. Nie ma na nim jedynie władnego obwołać nowego władcę prymasa, przybyła zaledwie garstka senatorów. Ale młodziutki król szwedzki Karol XII nie ma zwyczaju cofać rozkazów. Stanisław ma być koronowany i to natychmiast. Biskup poznański Mikołaj Świącicki odgrywa więc samozwańczo interrexę, rola marszałka koronnego powierzona zostaje pierwszemu z rzędu kanonikowi, którego nazwisko nawet się w protokołach elekcji nie ostało. Nikt już nie dba o pozory. Były to „farsa, parodia i potwarz dla narodu” — napisze Zahorski, „zdeptano honor i niepodległość narodu” — sekunduje mu Feldman. Otwiera się w historii Polski smutna seria monarchów narzuconych przez obcą przemoc.

Rządy ze szwedzkiej łaski, o ile rządami, a nie pokornym podporządkowaniem się szwedzkim fanaberiom, nazwać je można, nie trwają długo. Klęska Karola XII pod Połtawą 8 lipca 1709 zadaje śmiertelny cios Stanisława Leszczyńskiego ambicjom. Ucieczka na Pomorze, potem do Sztokholmu, nominalne dowództwo nad wojskami szwedzkimi w walkach z Danią, niespodziewana podróż do Konstantynopola... to już bardziej malownicza pogoń za utraconymi złudzeniami, niż realna polityka. Stąd pomyłka historyków, którzy zarzucają mu zdradę, gdy w zamian za przywrócenie korony proponuje sułtanowi Ukrainę. Daje wszakże Turkom, co nie jego, jak ongiś Zagłoba Niderlandy, w rzeczywistości marzy już tylko o ocaleniu rodzinnych włości i wygodnej emeryturze.

Niestety, nawet to ostatnie staje się coraz mniej prawdopodobne. Lojalny Karol wyznacza mu rezydencję w swojej dziedzicznej posiadłości, Dwóch Mostach, w Pałacyńcu Nadreńskim, cedując wielkodusznie

pełny dochód z księstwa. Czymże jednak niemieckie ksiąstewko dla polskiego magnata. Toż odmawiał Bogusław Radziwiłł satysfakcji francuskim nawet arystokratom, jako że potykać się zwykł tylko z „równym stanem”. Leszczyński z tej samej jest gliny. Długi, długi, długi... Gorączkowa przeprowadzka do Bergzabern wszelkie ma pozory panicznej ucieczki przed wierzycielami. Z Bergzabern do Landau, z Landau do Wissemburgu we francuskiej Alzacji, na — szczyt to upokorzenia — gościnny garnuszek nie szlachcica nawet, a bogatego mieszczanina Mikołaja Webera. W międzyczasie, pod odległymi murami Friderikshall w Norwegii ginie wierny protektor Karol XII. Co zrobić, do kogo się zwrócić?

Niedostatek, mordercza nuda Wissemburgu i rozpaczliwe wiadomości z Polski o serdecznych przyjaciółach przejmujących właśnie kolejne jego „opuszczone” ziemie. Stanisław miota się, pisze na lewo i prawo żebracze, upokarzające petycje. Bez skutku. Wreszcie sprzedać postanawia, co mu jeszcze zostało. Jest przecież królem, córka więc królowną. Cóż z tego, że bez grosza i, chcemy nie wierzyć zjadliwym świadkom, bez jednej niepoątanej koszuli? Małóż to snobów, co pieniądze wymienią na tytuł i parantellę?

Pisze grzecznie Feldman: „uwaga Stanisława ogniskowała się coraz wyłącznie w jednym punkcie: wydać córkę jak najświetniej za mąż.” W rzeczywistości był to istny handel żywym towarem. Towarem zresztą nie najwyższej jakości. Panienska ani ładna, ani nazbyt mądra, a co gorsze — rozpoczyna się właśnie okres oświeceniowego libertynizmu — zasadnicza i bigoteryjnie religijna; i jakby tego jeszcze było nie dość, zamieszana w beznadziejne meandry odległych, mogących jednak szkodzić doraźnym interesom, dynastycznych komplikacji. Kolejni więc wysłannicy z listami mniej lub bardziej grzecznej odmowy. Już i nawet wychodzić do gońców się nie chce. Lecz znów tętent po bruku. — Jakież wieści waszmość przynosisz? — Jego Królewska Mość, Ludwik XV, suzeren Francji i Nawarry prosi o rękę waszej Miłościwy Królu córki, której imię Marii na chrzcie bożym dano. Podług źródeł polskich zemdłał Leszczyński u progu; podług francuskich wszedł na górę: — Ojczy — zawołała córka, widząc jego wzruszenie — czy wezwano cię z powrotem na tron polski? — Nie córko — odpowiedział — jeszcze łaskawsze jest niebo, będziesz królową Francji! I wtedy zemdleli obydwójce.

Kto zemdłał, ten zemdłał. Faktem jest jednak, że sensacja była w całej Europie ogromna. Dodajmy przecie, że była Maria Leszczyńska o

siedem lat od piętnastoletniego Ludwika starsza. Paradoksalnie, to właśnie grało na jej korzyść. Obawiając się bowiem o zdrowie Ludwika, szukano mu żony mogącej od razu zapewnić potomstwo, co z list siedemnastu kandydatek, pośród których była Maria na szesnastym (sic!) miejscu, eliminowało od razu jedenaście nieletnich. Potem pomogły jej podobno intrygi markiza de Prie, według zaś Orieux korzystna opinia o żonach — Polkach, wyniesiona przez dworzan francuskich z otoczenia Jana Sobieskiego. Żaden z tych argumentów nie wydaje się nam zadowalający. Jedno jest tylko racjonalne tłumaczenie: Pretty Women, Kopicuszek, stał się cud pewnego razu... Tak zresztą rozumiał wydarzenie, zanim zemdlął, i sam Stanisław Leszczyński. Bardziej jeszcze poseł pruski, który pisał: „To jakieś absolutne błazeństwo.”...

Następują zaślubiny per procuram w Strasburgu i fajerwerków pełna podróż do Wersalu. Stanisław nurza się w zaszczytach i honorach. Jest oto teściem najpotężniejszego monarchy cywilizowanej Europy. Cóż z tego, że wytłumaczono mu jasno, że małżeństwo Ludwika z Marią nie ma politycznego charakteru, niech więc sobie planów i mrzonek nie snuje. Bo i na co mu mrzonki, kiedy Wersal u stóp. Komu król mówi „papa”, temu każdy, czy książę, czy literat, czy biskup pcha się do mankietu. I to nie byle jaki książę, czy literat, ale, panie — francuski! Pamiętajmy o spontanicznym wykrzykniku: „jeszcze łaskawsze jest niebo...” Nie darmo też mówi panna młoda znacznie lepiej po francusku, niż po polsku. Uczty, ordery, splendory. Meduzy i w trzech smakach drób.

Złoty sielanki czas przerywa kurier znad Wisły. August Mocny umarł, tron jest do wzięcia. Okazja i dla Wersalu. Stanisław wezwany więc zostaje do Chambord, gdzie pobiera intensywne wykłady z dziedziny interesów francuskich w Polsce. Zamiast pędzić do kraju, słucha pokornie jałowych korepetycji. Ale właśnie: pędzić do kraju... I w tej mierze zostało wszystko zadecydowane. Wybierze się Leszczyński w podróż w przebraniu kupieckiego subiekta, dotrze do Warszawy, ukryje się w ambasadzie francuskiej i tam... czekać będzie na dalsze rozkazy. W tym samym czasie hrabia Thianges wyruszy z eskadrą wojenną w kierunku Danii i przebrany w kontusz udawać będzie pretendenta. Pomysł z Moliera rodem, upokarzający dla Stanisława? Ale cóż ma on po prawdzie w tym wszystkim do powiedzenia?

Dziwnym zrządzeniem losu operetkowy podstęp się udał. 8 września 1733 przybywa Leszczyński do Warszawy i już trzy dni później ambasador Antoine Felix Monti wyjmuje swojego królika z kapelusza. Wprowadzony dyskretnym przejściem do kościoła św. Krzyża, przedstawiony zostaje Stanisław zgromadzonej tu, a uprzednio starannie wyselekcjonowanej szlachcie. W tradycyjnym kontuszu i z wielkim ryngrafem Matki Boskiej Częstochowskiej na piersiach, budzi zgiełkowy entuzjazm, który jednak niewiele ma zapewne z osobą wspólnego. Ot, poprzemieszczały się symbole. Inne teraz, niż w 1704 stoją wojska w granicach Rzeczypospolitej. A cóż szkodzi okrzyknąć choćby i królem, panowie bracia, kiedy jutro i tak rozjedziemy się do domów...

Nowe panowanie Stanisława I trwało niewiele ponad miesiąc. Ucieczka do Gdańska, stąd w chłopskim przebraniu do Prus... Z każdego etapu swoich peregrynacji wypisuje sążniste i malownicze sprawozdania do Ludwika. Są w nich i wspomnienia łowcy przygód: „przez kilka prawie godzin szliśmy piechotą po bagniskach i błotach, grzęznąć często do kolan i jedni drugich wydobywając z grzęzi” i wyrazy nieutulonej tęsknoty za och, jakże stąd daleką, kulturą prawdziwą. Choćby w błocie i po pas, może się już wygnaniec rozchmurzyć. Sukces towarzyski w Wersalu więcej, niż murowany. Długo i sztuczno — rzęse markizy wysłuchujące dziejów dostojnego safari z wypiekami, których domyśleć się można nawet pod trzykrotną powłoką bielideł: wytworny synowiec kwitujący wieczór rozkosznym: „Olała papa, fi-donc!” Jest gdzieś jednak prawdziwe życie.

Dyplomacja wersalska nie była głupia. „Wojna polska”, jak się ją nazywa we francuskich podręcznikach, a w której ani o Polskę, ani Stanisława Leszczyńskiego ani przez chwilę nie chodziło, przyniosła Francji Lotaryngię. Ze względów propagandowych i symbolicznych powierzono ją dożywotnio (wspaniałomyślność ma swoje granice) niefortunnemu teściowi.

Rządził tam nie rządząc. Za politykę odpowiedzialny był bowiem intendent francuski, wicehrabia de la Galaiziere. Dla siebie — napisze Orioux — „zachował tylko prawo czynienia dobra”. W tej roli był znakomity. Przebudowywał miasta, zakładał szkoły, fundował sierocińce i szpitale, interesował się melioracjami i komasacją ziem w pojedynczych nawet przysiółkach. Miał łatwe łzy, więc zjednywał ludzi płacząc na widok chłopskiego nawet pogrzebu. Na jego dworze, w Luneville, najważniejszymi postaciami byli: niemoralna, grzesznie piękna i dowcipna

kochanka markiza de Boufflers; surowy spowiednik i pogromca rozpusty, jezuita, ojciec Manou i cyniczny mizogin, karzeł książęcy zwany Bebe. Zestaw ten śmieszył poddanych, ale też podtrzymywał w przekonaniu o tolerancji i szerokości spojrzenia suzerena. Za życia opowiadali o nim życzliwe anegdoty, po śmierci postawili pomnik.

Maria Leszczyńska urodziła Ludwikowi dziesięcioro dzieci, w tym piątkę w ciągu czterech lat. Nie wtrącała się do polityki, tolerowała królewskie kurtyzany. Z Madame de Pompadour była nawet zaprzyjaźniona. Historycy francuscy, acz wytykają jej seksualną oziębłość (ładna mi oziębłość — dziesiątka bachorów — czym tu zadowolić żabojada?), w sumie oceniają Leszczyńską pozytywnie.

Na cokole pomnika Stanisława w Nancy czytamy: „A Stanislas le bienfaisant, la Lorraine reconnaissante” — „Stanisławowi dobroczyńcy, wdzięczna Lotaryngia”.

Napisał Feldman, iż Karol XII „Pojawieniem swym pchnął Leszczyńskiego na nowe tory, zwycięstwami wyniósł na wyżyny, klęską skazał na tułactwo, zgonem wtrącił w nicość.” Dodajmy Ludwika XV, który parantellą go z nicości wydobył, wyniesieniem na tron politycznie unicestwił, aż wreszcie zepchnięciem na margines dziejów uszczęśliwił. I jego i Lotaryngię.

Obce ręce lepiły zawsze glinę stanisławowego losu.

Był królem, a powinien być laufrem lub skoczkiem może. Nie ma w tym nic pejoratywnego. Nie ma szachów życia bez laufrów i bez pionków nawet, bez kompletu figur.

Wszyscy jesteśmy sprawni i mądrzy w jakiejś mierze i w tej też mierze, tylko tej, słuszni i użyteczni. Ta nasza miara nie zawsze dorównuje jednak mierze epoki. Niestety, do tego właśnie ogromnie nie lubimy się przyznać, a może i naprawdę nie zdajemy sobie nieraz sprawy.

Nie każdy musi być na świeczniku. Grunt, by snobizm zaspokoić, a i dobre wino mozelskie nie bez znaczenia.

Historia Leszczyńskiego najlepszym tego dowodem.

Dlatego trzeba ją opowiadać dzieciom.

Dla dobra ojczyzny.

Sic.

August III kanonizacji bliski

Saskie zapusty. Barwne lata, soczyści ludzie.

Karola Stanisława Radziwiłła „Panie Kochanku” unieśmiertelnił Rzewuski: „Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica z obdartą czapką, zdjął mu ją, na swoją głowę włożył, a dał mu swoją aksamitną. Na to hasło wszyscyśmy zaczęli mieniać sobie czapki, a pić, ale tak, że co momentu inną czapkę nosiliśmy. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbierać besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał pas złoty, mówiąc: „Darując durniu!” — drugiemu kontusz: „Na, świnió!” — a temu szpinkę brylantową: „Trzymaj ośle!” — a innemu żupan: „Weź, kpie!” — tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszu-
li, na której wisiał ogromny szkaplerz; i tak siadł na wozie, na którym była ogromna beczka, napełniona winem. On siadł na beczce, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilkanaście kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nadstawiał, a książę czop od beczki odykał i perorował...”

Inny Radziwiłł — Marcin, krajczy Wielkiego Księstwa Litewskiego, utrzymywał w pałacu harem „porwanych i ukradzionych” piękności oraz rezerwę „kadetek” — małych dziewczynek dojrzewających dopiero do zapałów jaśniepana. Żeby było śmieszniej, obwołał się starozakonnym, chodził w chałacie i celebrował uroczyście wszystkie święta żydowskie. Natomiast żonę i synów trzymał uwięzionych „w wielkiej niewygodzie i smrodzie, gdyż w jednej izbie spać, jeść i inne potrzeby natury czynić musieli”.

Innego rodzaju fantazję miał „starosta żydejkański”, a w rzeczywistości prosty szlachcic, Stanisław Pióro. W marcu 1752 zgłosił się w Petersburgu do kancelarii Aleksego Bestużewa Riumina i oświadczył, że, ni mniej ni więcej, jest przyjacielem carycy Elżbiety z lat jej młodości, kiedy to namiętnie tańczyła z nim poloneza i życzy być jej zaprezentowany. Życie imperatorowej nazbyt obfitowało w skandale i

alkowiane tajemnice, by cokolwiek można było z całą pewnością wykluczyć. Na wsiakij pożarnyj słuczaj załatwiono mu więc audiencję. Odważnym szczęście sprzyja. Elżbieta Pietrowna przeżywała akurat okres, jak to elegancko określał saski radca legacyjny von Funcke: „cielesnego niedouzycia”. Z godziny na godzinę został więc polski szlachetka oficjalnym Jej Wysokości utrzymankiem i mógł pisać z dumą do rodaków: „Na jedno ubranie wydałem dziewięćset tynfów; tak tu paradowałem, jak żaden pan w Polsce lepiej paradować nie może! Bóg zesłał mi swą łaskę i uczynił cud; niech się wściekają nieprzyjaciele moi, a i przyjaciółom wolno pozazdrościć.” Jak widać, podług Stanisława Łaska Boża może się konkretyzować i poprzez cudzołóstwo. Powracającego na ojczyzny łono czekało najprawdziwsze tym razem starostwo rumszyckie i nader intratna posada komisarza prowiantowego wojsk rosyjskich. W Snipiszkach wystawił sobie pałac i nazwał go Pióromontem.

Nie tylko dobrze urodzeni wczuć się umieli w ducha epoki. Zbójnik Józef Baczyński w ciągu jednego tylko lata 1735 dokonał szesnastu napadów i odpowiedniej ilości morderstw fetowanych każdorazowo hucznymi pijaństwami, od których radość była w okolicy. „Naszli w farze na Obidzy Wojciecha Łysopola, go strasznie spiekli, że kiszki pomiędzy żebra widać było” (...) „Krupinę w piec rozpalony kładli dwa razy, aby się przyznała, która im o sześciu półtorakach tylko powiedziała i tak dalece zgrzędeczona i spalona była, że czwartego dnia po spowiedzi świętej umarła” (...) „gdy go pytano, czemu by z jego przyczyny kobieta spalona umarła, powiedział Józef Baczyński na inkwizycji: «Ach, bo jej czas przyszedł, bo stara była»,».

Byłyby to anegdoty, gdyby nie stawali się w tych czasach Radziwiłłowie — szlacheckimi, Baczyńscy zaś — ludowymi bohaterami i legendami. Patologia zapustów saskich — pisał Jasienica — to temat nie do wyczerpania; co wcale jeszcze nie oznacza, że ziemianin natychmiast po pacierzu porannym przystępował do katowania chłopów, kończył zaś dzionek Boży zabójstwem sąsiada. (...) Było bardzo źle, bo zatarła się, przestała istnieć granica, oddzielająca uczciwe życie od występku. Łostrostwo nie degradowało, splamione ręce nie wywoływały obrzydzenia...” Innowierców, odmieńców, „francuzików” — tych tylko trzeba się było wystrzegać. Wonny dym kadzidel krył znojne kałuże krwi, szmer pacierzy mieszał się niefrasobliwie z pijackim wrzaskiem i szyderczym śmiechem puszczyka. Dopełniało się dzieło Zygmunta III.

„Piliśmy z trzewiczka panny Agnieszki, piliśmy także z buta księcia wojewody i naprzemian szły tańce: mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Dopiero o samej północy na zakończenie ostatków, poszliśmy drabanta, po skończeniu którego natychmiast muzyka się rozeszła, a zwykłym obyczajem ksiądz gwardjan bernardynów miał do nas egzortę. (...) Wszyscy my wtórowaliśmy mu „Gorzkie żale”, aż ściany się trzęsły. Klęczeliśmy cztery godzin ciągle, aż dopiero wszyscy poszliśmy za gwardjanem do cerkwi unickiej, niedaleko dworu będącej, i tam ojciec gwardjan miał mszę, pańską nazwaną, o samej czwartej zrana. Gdy przyszło do tych słów: Cum jejuniatis, nolite fieri sicut Pharisaei, wszyscyśmy do pół szable z pochew wydobyli, na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy, księżę wojewoda z JW. kasztelanem, a potem stan rycerski, urzędnicy wprzód, dalej my szlachta ordynkiem przystąpiliśmy do ołtarza dla przyjęcia popielca; tak, że kiedyśmy wrócili do dworu, to już było koło szóstej, i jako w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin. A gdy zebraliśmy się w sali obiednej, posililiśmy się postnym obiadem: wszystko było na oleju. (...) W dniu tym wina na stole nie było widać, tylko miody i piwo...”

Na tym tle prezentuje się August III zgoła niespodzianie. Wstawał między trzecią i czwartą rano, by po wypiciu szklanki czekolady przystąpić niezwłocznie do pracy. Przez następne trzy godziny czytał bieżącą korespondencję, depesze dyplomatyczne, a często i petycje. Po krótkim śniadaniu, między ósmą a jedenastą udzielał posłuchania ministrom, których miał podwójny: saski i polski garnitur. Teraz następowała pora przyjmowania suplik i zażaleń. Szedł August długim korytarzem z gabinetów do kaplicy, „z rękami wyciągniętymi, w które go szeregi panów i szlachty, z obu stron uszykowane, całowały. Kto z pospolitych obywatelów miał jaką suplikę do króla, podawał mu ją podczas tego marszu, nisko schylony albo na jedno kolano przyklękawszy”. Po mszy, około dwunastej, a więc jakby nie patrząc, po dziewięciu godzinach wytężonej pracy, szedł wreszcie na pokoje. I tu jednak zatrzymywali go, często na dłużej, co bezczelniejsi lub bardziej zdeterminowani interesanci.

Religijność króla jest nieco ambiwalentna. Owszem bierze czynny udział w najważniejszych uroczystościach kościelnych: w wielki czwartek myje nogi biedakom, w Boże Ciało podąża sumiennie w procesji. W Zielone Świątki 1759 „przez dwie godziny klęczał bez przerwy na gołej

posadzce nabawiając się tak dotkliwej boleści w prawej nodze, że potem przez dwa dni leżał w łóżku i nie pokazywał się publicznie”... Z drugiej jednak strony zauważali ze zdumieniem współcześni, że na dworze odprawia się tylko ciche msze; „nie ma kazań, nieszpórów, litanii ani nawet śpiewu”. Rzecz tak wyjątkowa, że gorsząca omalże. Na prywatny aliści użytek.

Kochanek nie miał. Ożeniony z Marią Józefą Habsburżanką, o której mówiono najdelikatniej, że jest „niewypowiedzianie brzydka”, prowadził z nią przez trzydzieści osiem lat wzorowe życie małżeńskie. Również po jej śmierci pędził precz rajfurów, których nie brakowało. Kitowicz opowiada pikantną historyjkę, jak to podesłano królowi do sypialni piękną Lubomirską w samej tylko przezroczystej koszuli. Ten zerwał się i krzyknął do hajduka: „Zamknij drzwi, niech mi tu nicht nie chodzi!” I tyle.

Krażyło o Augustcie III szereg pokrzepiających przypowieści. „Gdy razu jednego w Piotrkowie wyrócił go z królową postyilon, tak, iż oboje jedno przez drugie wytoczyli się z karety na bruk, i ze strachu uciekać począł, złapanego przez ułanów król przed siebie przyprowadzić i roześmiałwszy się do niego oraz dawszy mu za tę sztukę czerwony złoty jeden, usiąść na konia i jechać dalej z sobą kazał”.

Nic dziwnego, że podsumowuje Kitowicz: „Nie miała Polska i nie będzie miała tak dobrego, tak wspaniałego i tak hojnego króla, jak miała Augusta III (...) Panował August nad Polską lat 30, godzin wspomnienia słodkiego i pamięci nieśmiertelnej.”

Jedyne bodaj, co ratuje Sasa przed natychmiastową kanonizacją, to stół. Mawiano wtedy w Rzeczypospolitej: „Zjeść jak u króla”, oznaczało to zjeść suto, wystawnie i dobrze popić. Na obiad podawano na zamku co najmniej dwadzieścia dań, nie licząc wetów i cukrów, popijano licznymi rodzajami trunków... Lecz właśnie. Gdy zajrzemy do jadłospisu ukaże nam się z całą jaskrawością rzeczywisty charakter „saskich zapustów”. Otóż w tym samym czasie, w którym szlachta francuska prześciga się w komponowaniu niezwykłych i nowych smaków: markiz de Bechamel wynajduje sos swojego imienia, książe de Richelieu — majonez, prezydent Henault — zupę z raków; na stole Augusta III wciąż te same widzimy tłuste pieczenie, dziczyznę, przasne, mączne sosy... Goście wychodząc mówią, że pili burgunda, nieświadomi zgoła jakiego... Oto smakoszostwo pomyłone z żarłocznością, bawienie podniebienia z obżarstwem.

Taką samą pomyłką całe jest saskie, obyczajowe rokoko. W miejsce wyrafinowanego libertynizmu — prymitywna rozpusta, w miejsce magnetyzmów Cagliostro i subtelnych bluźnierstw — błazeńskie udawanie Żyda, w miejsce szlachetnej gry zanietrzeźwień — tępe pijaństwo na umór z pana Radziwiłłowej beczki, panny Agnieszki trzewika, wprost z gąsiora i z czego jeszcze popadnie.

Daje się to łatwo wytłumaczyć. Francuski wiek XVIII kultywował różnicę, perwersję intelektualną, nowość, ciekawość świata i indywidualność przede wszystkim. Stąd znajduje się w nim miejsce i dla wolnomyślicielstwa Woltera i mistycyzmu jansenisty Franciszka de Paris; libertynizm jest tu sztuką miłości, wypędzenie Jezuitów niewiele mającym wspólnego z religią aktem protestu przeciw ujednocnianiu szkolnictwa... Polski wiek XVIII aż po lata siedemdziesiąte to apoteoza jednorodności. Kонтreformacja polska dbała o deklaratywność, zewnętrzny sztafaż dewocyjny i obronę duszy narodowej przed niestosownym zagranicznym nowinkarstwem, którym żywią się zazwyczaj mędrkowie i niedowiarkowie. Odwoływała się toteż do tradycji narodowej. Nie tej oczywiście — tolerancji, czy kosmopolityzmu rycerskiego — które właśnie niszczyła, ale tej na poziomie elementarnym: „Kupą panowie bracia!” podniesionej do rangi cnoty, a z biegiem czasu i misji.

„Przestała istnieć granica oddzielająca uczciwe życie od występku”? — Raczej roztopiła się w stęchłym sosie wszechobecnego swojactwa. Chłopi kochali swojego Baczyńskiego (co wcale się nie tłumaczy walką klas, bo on na żadnego szlachcica napaść się nie odważył), szlachta swoich Radziwiłłów i Piórow. A co im tam ich korupcje, zdrady, zabójstwa, pieczeniарstwa i arywizmy; kiedy potem upili się, chwacko porzygali i poszli w żmudnym kacu na uroczystą sumę do fary. Toż tak samo, jak my. Swoje chłopy. I Polacy i katolicy. Krwi dla nich nie szczędzić.

August III był władcą żądnym. Nie chodzi o to, żeby przez dziewięć godzin czytać dokumenta, ale cokolwiek z nich zrozumieć. Cnota seksualna monarchy też państwu w niczym nie pomaga. Ale był też władcą sprytnym. Chodził w kontuszu i zrozumiał niezbywalną w Polsce rękomię popularności:

Schlać się jak bela, i głośno, a publicznie śpiewać „Gorzkie żale”; tak najlepiej, żeby „aż ściany się trzęsły”.

Przyznać trzeba, że nie taka to znowu przestarzała recepta.

Stanisław, czyli koniec

Niedzielnym wieczorem 3 listopada 1771 wracał król z wizyty u chorego księcia kanclerza. Gdy karetą znalazła się u wylotu Koziej, uliczki wąskiej, w której nijak nie można zawrócić, nagle posypały się strzały. Nieliczna ochrona królewska rozpierzchła się natychmiast w haniebnym popłochu. Porwali się do szabel trzej dworzanie, lecz widząc przewagę napastników łacno zrezygnowali z walki. Rozpaczliwy opór stawili tylko dwaj prości hajducy — Bützow i Mikulski. To dzięki nim zdążył król wyskoczyć z powozu i zakoałać do najbliższej bramy. Otworzyć nie zdążono. Już padł Bützow, już ciężko ranny osunął się na bruk Mikulski. Król cięty lekko szablą i osmolony od o włos niecelnego wystrzału oderwany zostaje od klamki. Pługawe przekleństwa, ciosy płazami szabli. — „Nie szarpcież mnie waszmoście już sam pójdę tam gdzie chcecie, wszak jestem w waszym ręku.” Popędzono go do koni. Kopyta zadźwiewały po bruku. Kawalkada kilkunastu jeźdźców z porwanym Stanisławem Augustem Poniatowskim po środku pogalopowała ostro Miodową i Długą ku granicom miasta. Z tyłu coś tam krzyczano, pomstowano... Nikt nie odważył się gonić. Dopiero po pół godzinie rzucili się w noc księżę podkomorzy Wincenty Potocki i pisarz Piotr Ożarowski. Znaleźli tylko koło okopów konia ze złamaną nogą i skrwawiony płaszcz. Tak oto dostał się władca w niewolę u konfederatów barskich.

Niemależ trzeba determinacji, by porwać się na świętość majestatu, tym bardziej w środku stolicy, dwieście metrów od Zamku. Są jednak determinacji i animuszu granice. Zresztą — najtrudniejsze zrobione, teraz niech radzą sobie inni... W pędzącej ku Bielanom grupie jeźdźców coraz to ktoś zatacza konia i bez pożegnania niknie w ciemnościach. Koło klasztoru bielańskiego zostało ich już tylko dwóch: król i niejaki Jan Kuźma, tytułujący się ze szlachecka Kosińskim. Porzucili konie

i szli piechotą. Zaczęła się rozmowa. — Pozwól mi odejść. — „Nie mogę, bom przysiągł albo zabić Waszą Królewską Mość, albo do komendy doprowadzić” Ale komenda konfederacka daleko i droga do niej niepewna. Już zaczynają błądzić. Z Bielan cofnęli się pomyłkowo do Marymontu. Dyskusja o obowiązku przysięgi. Czy ważniejsza złożona Rzeczypospolitej i jej władcy, czy też konfederackim komilitonom. Kuźma jest mocny w pięści. Gdzie mu jednak iść w szranki z wygadaniem i perswazją wykwintnego intelektualisty. Już go zasypał Stanisław argumentami i paradoksami. Układ sił się odwrócił. Już Kuźma ugnieciony jak wosk. Pozostaje już tylko instynkt samozachowawczy: „Ale jeśli ja Waszą Królewską Mość zaprowadzę do Warszawy, to mnie wezmą i będzie już po mnie.” — „Jeżeli nie wierzysz mojej obietnicy, więc uchodź i ratuj siebie, póki masz czas. Pikiety moskiewskie są po lewej ręce, udaj się w prawą, byś je minął. Jeśli mnie spotkają, upewniam, że im pokażę inną cale drogę, nie tę, którą ty pójdziesz.” I dzieje się, co gdy już do bajeru doszło stać się musiało. Dzielnym przywódcą konfederackich zamachowców kłęka na ściernisku i ślubuje Najjaśniejszemu Panu wiekuiste oddanie. Widać światełko w mroku. To młyn. Zaraz opłacony sowicie młynarczyk pobiegnie do miasta z listem do Karola Coccei — generała gwardii, zmęczony wrażeniami wieczora król zaśnie słodko w ciepłym łóżku młynarki, we wrotach zaś do młyna z krucicą w dłoni zaciągnie straż Jan Kuźma, by nikt majestatowi w zasłużonym odpoczynku nie ważył się przeszkadzać.

Za parę godzin przybywa Coccei w sto pięćdziesiąt koni. Rozpoczyna się powrót do Warszawy. Na zamku, mimo że to piąta rano, czeka na króla tłum żołnierzy i „państwa obojej płci”. Gratulacje, okrzyki, całowanie po brudnym płaszczu. Stanisław, acz „włosy miał rozczochrane, suknie poszarpane i zwalane w błocie”, promienieje. Zaprasza co znacniejszych przybyłych do gabinetu, gdzie długo i barwnie opowiada im o ekstraordynaryjnych przypadkach minionej nocy. Szmer podziwu i oklaski witają co cenniejsze fragmenty. Gdy dochodzi do nawrócenia Kuźmy piękne panie nie kryją łez. Skończył król tymi pamiętnymi słowami, „iż jest w sobie przekonany, że ten smutny przypadek wyjdzie na dobro miłej jego Ojczyzny.”

Nie wyszedł jednak na dobro, bo i wyjść nie mógł. Powszechnie oburzenie na konfederatów nie zrównoważyło obrazu kompromitującej słabości władzy. Utrwaliło się za granicą postrzeżenie Polski jako kraju

ostatecznie zanarchizowanego, gardzącego prawem i świętością pomazania, niezdolnego *mutatis mutandis* do samodzielnego trwania. „Rien n'egale la fourberie, l'intrigue et l'artifice des Polonais” — donosił w swym sprawozdaniu ambasador August Franz von Essen. „Nic nie dorównuje podstępności, intrygantwu i niestałości Polaków.”

W czerwcu rozpoczął się proces „królobójców”. Dziwny proces, w którym sądzono tylko bezpośrednich sprawców zamachu — nic nie znaczące pionki, a spośród ich popleczników jedynie (i to zaocznie) Kazimierza Pułaskiego, który zdemaskował się jednoznacznie w nieostrożnym liście. Dalej sięgać najwyraźniej nie chciano, co nie świadczy najlepiej o czystości poselskich sumień. Król dwoił się i troił, aby ocalić sądzonym życie. Wpierw im uroczyście przebacza, potem przed sądem sejmowym całego swojego używa oratorskiego kunsztu, by wyjednać łagodny wyrok. Wbrew zwyczajowi popada nawet w patos, odwołuje się i do miłosierdzia chrześcijańskiego i racjonalnej wspianiałości będącej fundamentem obywatelskiego państwa... Nikt go nie słucha. Każdy ma swoje zadnie myśli w głowie. Jedni chcą właśnie zohydzić władcę jako mściwego tyrana, inni widzieliby w łagodności słabość, inni jeszcze wolą zamknąć definitywnie usta obwinionym... Łukawski, Strawiński i zaocznie Pułaski skazani zostają jako „bezecni” na ścięcie, ćwiartowanie i spalenie ciał, wreszcie rozwianie popiołów poza granicami miasta.

Jednego Kuźmę udało się władcy uratować. Skazany na banicję, osiadł we Włoszech, gdzie żył dostatnio z przyznanej mu przez Stanisława dożywotniej pensji, gwarantowanej na dobrach ziemskich rodziny Poniatowskich.

Pułaski, jak wszystkim wiadomo, przez Saksonię, Francję i Turcję dotarł wreszcie do Ameryki, gdzie objął stanowisko generała kawalerii. Zginął nieostrożnie, czyli bohatercko, podczas oblężenia Savannah. Jest do dziś w USA najlepszym bodaj naszym artykułem eksportowym. Ma pomniki w Waszyngtonie, Savannah i West Point, oraz wódkę swojego imienia.

5 sierpnia 1772, w niecałe dwa miesiące po warszawskim procesie, Austria, Prusy i Rosja podpisały w Petersburgu konwencję o I rozbiórce Polski. W tym samym czasie paryskie i londyńskie damy zaczytują się pełne wzruszenia tłumaczeniami mowy obrończej Stanisława. Jan Jakub Rousseau w odległym Hermenoville zachwyca się tymi „nobles mots” („szlachetnymi słowy”). Tym gorzej dla tych, którzy je zlekceważyli. Właściwie im się należy.

Nie próżno rozpisujemy te lata na migawki pojedynczych zdarzeń i losów.

Brzydko umiera Rzeczypospolita.

W obliczu gromadzących się, ba!, już piętrzących się nad głowami burzowych chmur, nie zdobywa się społeczeństwo na jakąkolwiek jedność, na cień solidarności, na elementarną lojalność. Historia konfederacji barskiej to skomplikowany splot intryg, rywalizacji, kłamstwa i demagogii. Historia dworu Stanisława też wypełniona jest przede wszystkim ambicjonalnymi gierkami, pokątnymi spiskami z udziałem zagranicznych ambasad, nieszczerością i podstępem. Czy warto jeszcze dorzucać potępiénce swary politykujących, każdy na własną rękę, można-władców; pijanego szlagona, którego nic nie obchodzi i księdza Marka proponującego cuda w miejsce uczciwości i rozumu... O chłopach nie wspominam, bo też bydłał roboczych nikt i przez wiek następny o zdanie nie będzie pytał. Na równi zdumieliby się i król Stanisław i konfederaci, gdyby im powiedziano, że w głowie wieśniaczej odbywają się procesy zbliżone do myślenia...

Samą osobę Stanisława Augusta Poniatowskiego oceniała potomność bardzo różnie. Negatywnie przeważnie, bo trudno oderwać władcę od epoki, która nie tylko jest plugawa, ale — co gorsze jeszcze spointowana zostaje tak ostateczną, rozpaczliwą i niebywałą klęską. A może by tak i tym razem odpowiedzialnego znaleźć?

Jedną okoliczność ująć wszakże nie może naszej uwadze. To ten sam kraj, który ciężko nie porównać do ciasnego zaścianka partykularyzmów tak nadętych, że pękających od czasu do czasu z jazgotliwym pierdnięciem. Ten sam kraj zdobędzie się już za dwadzieścia lat na przykład dającą Europie konstytucję. Nic się nie dzieje *Deus ex machina*. Gdzież więc podziewały się ziarna, gdzie kiełkowała myśl? — Na pewno nie pośród patriotycznego pohukiwania konfederackich watah, ani w bachanalnej czeredzie Radziwiłła Panie Kochanku... To jednak ten dwór sprostytuowany, ten król — kochanek carycy, te snobistyczne i przeintelektualizowane obiady czwartkowe... To tam rodziło się nowe...

I dzisiaj, wciąż nie chcąc się do tego przyznać, kogóż sławim, podnosząc dzień 3 maja do święta narodowego rangi? — Tego króla kontrowersyjnego, który wierzył tak naiwnie szczerze w wyższość rozumu i perswazji nad bezrozumną siłą. Miał rację w przypadku Kuźmy; kłam mu zadała zła geopolityka. Czy winą jest wierzyć w rozum? — Każdy winny, który przegrywa.

Dobrze się składa, że jest Stanisław August w pocie naszym ostatni. Stawia bowiem jego los pytania ostateczne. Czegóż trzymać się, gdy miotają nami dzieje: rozumu? mitu? wiary?

Rzecz jasna nie ma na te pytania odpowiedzi i nie udzielią ich nam też indywidualne wybory. I złudną się okaże magia skuteczności, w niczym zresztą nie gorsza od szarlatanerii „wielkich idei”.

Czymże bowiem jest naprawdę historia? — Cierpieniem i wątpliwością i także przygodą czasem ludzi ciekawskich. Przestańmy w niej poszukiwać paradygmatów tożsamości, definicji i nauki życia. Jest historia opowieścią o takich samych jak my; szukających nieistniejących prawd, heroiczych i cynicznych, pewnych swoich na końcu nosa idei i rozpaczliwie zagubionych. Zresztą i my też za chwilę już tylko historią będziemy.

O tym była ta książka.

Spis treści

Jadłospis Piasta	5
Mieszko I, czyli przyszłość za miedzą	11
Bolesław i Przecława, czyli geopolityka	15
Mieszko II wykastrowany	21
Kazimierz i dylematy	26
Bolesław Szczodry — przyczyna paradoksu	31
Ojciec i synowie	36
Przemysław II, czyli proces poszlakowy	42
Żal za Wacławem	47
Łokietek i prawdziwi Polacy	52
Kazimierz Wielki	58
Ludwik Niedoceniony	65
Ofiara Jadwigi	70
Jagiełło pod Grunwaldem	76
Władysław przez oszustwo Warneńczyk	82
Proporcje Kazimierza Jagiellończyka	88
Aleksander na tydzień przypomniany	94
Olbracht inteligent	98
Zygmuntowski przełom	102
Na dworze Zygmunta Augusta	108
Henryk a Polska	114
Stefan Batory między literą i praktyką	120
Zygmunt III ideolog	126
Władysław IV, czyli o radości życia	132
Jan Kazimierz pod Mątwami	137
Michał Korybut, czyli śmierć o jeden dzień za wcześniej	142
Za panowania króla Jana	147
August II, czyli tytan przegrany	153
Stanisław na swoją miarę	158
August III kanonizacji bliski	164
Stanisław, czyli koniec	169